

**Andre Norton**

**Lampart**

**Przełożyła Ewa Witecka**  
**Tytuł oryginału The Jargoan Pard**

## **O świątyni Gunnory i o tym, co tam się wydarzyło w Roku Rudego Dzika**

Dzieje Arvonu spisano w wielu kronikach, gdyż jest to kraj starożytny ponad ludzkie wyobrażenie, nawet ponad wyobrażenie ludzi starszych ras. O niektórych opowieściach prawie zapomniano, tak że tkacz pieśni dysponuje tylko zachowanymi w pamięci ich strzępami. Inne zaś ułożono i znane są w najdrobniejszych szczegółach. W kraju, którego mieszkańcy znają moc czarodziejską i posługują się nią, jeden cud goni drugi, tak jak długowłose owce z Krainy Dolin biegną tuż za grającym na fujarce pasterzem. I chociaż wiele szczegółów dotyczących Siedmiu Wielmożów i tych, którzy rządili przed nimi, zaginęło, to wydane przez nich wyroki nadal obowiązują. Nawet władający mocą nie wiedzą wszystkiego i nigdy nie będą wiedzieć.

Kim była Gunnora? Czy Mądrą Kobieta tak potężną, że po jej śmierci niektórzy ludzie zaczęli mówić, iż nigdy nie była człowiekiem, tylko duchem? Jeśli nawet tak się rzeczy miały, to ta część prawdy o niej od dawna przesłonięta jest mgłą zapomnienia. Lecz wpływ Gunnory pozostał ku pokrzepieniu serc, o czym wiedzą wszystkie kobiety. Jej to symbolem jest snop dojrzałego zboża opleciony winoroślą o gotowych do zerwania gronach. Każda dziewczyna nosi amulet Gunnory, kładzie na nim dłoń w chwili poczęcia dziecka i będzie ścisnąć go mocno, gdy nadejdzie czas porodu.

Do świątyni Gunnory przychodzą kobiety, którym źle się ułożyło w życiu, chcące wyleczyć się z bezpłodności albo pragnące łatwiejszego porodu. I wszyscy zaświadczą, iż Gunnora ma moc uzdrawiania.

Dlatego właśnie w świątyni Gunnory zaczyna się kronika Kethana czy też - jeśli mam mówić nie tyle jako tkacz pieśni, ile jako zwykły mieszkaniec Arvonu - moje własne dzieje. Prawda o tym, co się wydarzyło w świątyni przy moich narodzinach, przez długi czas była ukryta przed światem i trzymana w tajemnicy. W końcu dopiero czary wyrwały ją na światło dzienne.

Wedle zwyczajów Czterech Klanów - Czerwonych, Żółtych, Niebieskich i Srebrnych Płaszcy - dziedziczenie odbywa się zgodnie ze starożytnym prawem: nie syn wodza zostaje jego następcą, ale syn jego rodzonej siostry, oczywiście jeśli urodzi chłopca. Dziedziczenie w linii żeńskiej uznaje się bowiem za najprawdziwsze. W Domu Car Do Prawn to pani Heroise miała wydać na świat dziedzica rodu. Jej brat Erach, Pan Na Zamku, ożenił się wcześniej i miał już syna Maughusa oraz córkę

Thaney (znajdującą się jeszcze w kolebce). Heroise mimo to jednak nie zdradzała chęci wzięcia do swego łóżka żadnego mężczyzny. Była bardzo dumną kobietą, obdarzoną pewnym talentem władania mocą. Jako młoda dziewczyna uczyła się u Mądrych Kobiet z Garth Howel i kiedy wezwano ją do powrotu, zabrała ze sobą jedną z nich, Ursillę.

Dobrze pamiętała, że powinna we właściwym czasie urodzić syna, który zajmie krzesło wodza klanu. Przysięgła też sobie, że poświęci wszystko dla takiego ukształtowania umysłu i ciała tego chłopca, żeby od dnia, w którym drużynicy podniosą go na tarczach i wykrzyczą jego imię na cztery strony świata, to jej wola kierowała postępowaniem syna. Dla realizacji tego projektu sprzymierzyła się z Ursillą, ta zaś dysponowała całą wiedzą swego rzemiosła.

Nikt nie wiedział, kto był ojcem dziecka, które poczęła wczesną wiosną w roku Rudego Dzika. Miała prawo wstąpić w taki czasowy związek, jeśli tego chciała. Szeptano, że to Ursilla wybrała dla niej partnera, lecz nie starano się zgłębić tajemnicy jego pochodzenia w obawie, by nie okazało się, iż przyszły dziedzic może być kimś gorszym - lub lepszym - od zwykłego człowieka. Pani Heroise była pewna, że urodzi chłopca, a Ursilla utwierdzała ją w tym przekonaniu.

W miesiącu Śnieżnego Ptaka pani Heroise i jej dworki razem z Ursillą wyruszyły do świątyni Gunnory, ponieważ Mądrą Kobietę zaniepokoiła niepomyślna wróżba. Jej niepokój udzielił się matce przyszłego dziedzica Car Do Prawn, która postanowiła zapewnić sobie wszelką dostępną pomoc, by rezultat tych zaplanowanych działań był zgodny z jej gorącym pragnieniem. Dla wygody podróżując etapami, gdyż połacie śniegu nadal niejednolicie pokrywały ziemię (mimo że przynajmniej w południe wyczuwało się w powietrzu tchnienie nadchodzącej wiosny), przybyły do świętego miejsca.

Gunnora nie ma ani kapłanek, ani służek świątynnych. Kobiety szukające jej pomocy stają przed Istotą, którą mogą wyczuć, ale nie zobaczyć. Dlatego nowo przybyłych nie powitały tu żadne kobiety. Natomiast w stajni, zbudowanej przy świątyni, znajdowały się dwa konie, a na dziedzińcu jakiś mężczyzna chodził tam i z powrotem jak śnieżny kot w klatce, nie ośmielając się wejść do wnętrza sanktuarium.

Nieznajomy spojrział na brzemienną Heroise, która wkroczyła niezdarnie na dziedziniec. Potem odwrócił się szybko, jakby w obawie, iż zachował się nieuprzejmie. Dlatego nie zauważył Ursilli, która mijając go, rzuciła nań długie, badawcze spojrzenie. Zmarszczyła lekko brwi, jakby przyszła jej do głowy jakaś

niepokojąca myśl.

Ursilla śpieszyła się jednak bardzo - musiała zająć się swoją panią i podopieczną, gdyż wydawało się, że pani Heroise źle obliczyła swój czas i właśnie chwyciły ją bóle. Ulokowaną w jednym z wewnętrznych pokoików obsługiwała tylko Ursilla, inne kobiety czekały na zewnątrz.

W powietrzu rozszedł się intensywny zapach, jakby wszystkie kwiaty późnego lata zakwitły jednocześnie, i rodzącej wydało się, że spaceruje między klombami w wielkim ogrodzie. Wprawdzie czuła ból, ale był tak daleki, tak nie związany z jej ciałem, że nic nie znaczył. Rosła w niej ogromna radość, jakiej jej chłodny i przebiegły umysł nigdy dotąd nie zaznał.

Nie zdawała też sobie sprawy, że w sąsiedniej komnacie leży inna pątniczka, przy której czuwa jedna z Mądrych Kobiet z pobliskiej wioski. Ona również śniła radośnie, oczekując dziecka, które pragnęła wziąć w ramiona, a miłość do niego już teraz przepelniała jej serce.

Żadna z nich nie wiedziała, że zbliża się burza. Mężczyzna, który snuł się po dziedzińcu, podszedł do wejścia, spojrzął z niepokojem na gromadzące się ciemne chmury i zadrżał. Jakkolwiek dobrze znał kaprysy natury i obserwował je przez wiele lat, to ta nieruchoma cisza, która rozpostarła się nad ziemią pod czarnym niebem, nie przypominała niczego, co widział w życiu. Z powodu swojej natury był wyczulony na działanie sił, które nie pochodziły z Arvonu ludzi, ale z Arvonu Mocy. Możliwe, iż teraz Moc miała się objawić w sposób, który zagrażał wszystkiemu w dole.

Sięgnął rękami do pasa i palcami przebiegł po nim, jakby szukał czegoś. Trzymał dumnie głowę, gdy wyzywająco przyglądał się chmurom i temu, co, jak przypuszczał, mogło nimi kierować. Ubrany był skromnie, w brązowy kaftan bez rękawów i zieloną jak las koszulę. Jego opończa leżała na dziedzińcu. Na nogach miał brązowe buty do konnej jazdy i zielone bryczesy. Od razu rzuciło się w oczy, że nie był wieśniakiem ani nawet wójtem jakiejś małej i niezbyt ważnej osady, jak mógłby sugerować ten strój. Jego gęste, ciemne włosy rosły w szpic nad czołem, a oczy dziwnie nie pasowały do ogorzalej twarzy - były bowiem zielone jak ślepia jakiegoś wielkiego kota. Każdy, kto kiedykolwiek rzuciłby na niego jedno spojrzenie, zrobiłby to po raz wtóry, urzeczony bijącym odeń autorytetem, mężczyzna ten bowiem wydawał się kimś, kto rządzi się tylko własną wolą.

Teraz jego wargi wypowiedziały jakieś słowna, lecz nie uczyniły tego głośno. Nakreślił ręką w powietrzu niewielki znak. W tej samej chwili ze stajni dobiegło

donośne rzenie. Nieznajomy odwrócił się szybko. Kiedy rzenie powtórzyło się, mężczyzna podniósł opończę i pobiegł do koni.

W stajni zastał ludzi z orszaku z Car Do Prawn, spiesznie wprowadzających przed burzą własne wierzchowce. Lecz oba konie zastane tam stanęły dęba i zarżały, bijąc przednimi kopytami jak rumaki bojowe tresowane do walki w Krainie Dolin. Słudzy i strażnicy zakłęli głośno i dotknęli harapów, ale podejść bliżej się nie odważyli.

Wierzchowce, które najwyraźniej broniły swej kwatery przed obcymi, wydały im się dziwne: były jabłkowej maści, siwe z czarnym, plamy mroku na ich sierści, pozbawione wyraźnych konturów, zlewały się z tłem i zamazywały. Bez trudu mogłyby się ukryć w zalesionym terenie przed każdym wrogiem. Były wyższe i lżejszej budowy niż większość koni.

Teraz zwróciły głowy w stronę biegnącego mężczyzny i zarżały, witając i jednocześnie się skarżąc. Nieznajomy bez słowa minął przybyszów i podszedł do zwierząt. Uspokoili się, tylko sapały i parskwały. Ich pan przesunął dłońmi po grzbietach, po czym ujął za uzdy i zaprowadził do przeciwległego końca stajni. Umieściwszy razem w dużej przegrodzie, odezwał się:

- Nie będzie kłopotów, ale trzymajcie się waszej strony...

Powiedział to sucho, rozkazującym tonem. Dowódca eskorty pani Heroise popatrzył na niego spode łba. Oburzyło go, że ktoś tak niepozorny odważa się przemawiać tak wyniośle w obecności jego podwładnych; gdyby się znajdowali w każdym innym miejscu, zaraz by go osadził.

Byli jednak w świątyni Gunnory. Tutaj żaden mężczyzna nie ośmieliłby się sprawdzić, co by się stało, gdyby ktoś obnażył miecz - śmiercionośną broń w miejscu poświęconym życiu. Mimo to spojrzenie, jakim obrzucił zuchwalca, nie wróżyło nic dobrego na przyszłość.

Wśród przybyszów z Car Do Prawn pewien strażnik nie odrywał oczu od nieznajomego, który stał pomiędzy swoimi dziwnymi końmi, położywszy dłonie na ich szyjach. Wierzchowce pochylały ku niemu wąskie głowy, a jeden z nich szczypał mu włosy. Pergvin służył w minionych latach pani Eldris, tej, która urodziła pana Eracha i jego siostrę Heroise. W jego pamięci odżyły dalekie wspomnienia, lecz nimi nie podzieliłby się z nikim z obecnych. Jeśli te podejrzania były słuszne, to jakież kaprys losu doprowadził do nieoczekiwanego spotkania właśnie tego dnia i o tej godzinie? Bardzo pragnął zbliżyć się do nieznajomego, wypowiedzieć zapamiętane

imię i zobaczyć, czy obcy się zachowa. Ale dawno temu przysiągł dochować tajemnicy, po tym, jak pewien wygnaniec opuścił zamek Car Do Prawn, żeby nigdy tam nie wrócić.

- Pergvin! - Ostre napomnienie dowódcy przywróciło go do rzeczywistości: musiał pomóc swoim towarzyszom przy niepokojących się koniach. Rozszalała na zewnątrz nawałnica zdolna była zmiażdżyć każdą nędzną istotę ludzką.

Lał nawałny deszcz, tak że z wejścia do stajni nie widzieli świątyni Gunnory, chociaż znajdowała się tak niedaleko. Wiatr spadł na nich, chłoszcząc lodowatymi strugami, dopóki nie zamknęli i nie zaryglowali wrót. Zdawało się, jakby przez stajnię przebiegł ostrzegawczy dreszcz.

Nieznajomy zostawił konie, podszedł do wrót i położył dłoń na ryglu. Jednakże Cadoc, dowódca eskorty pani Heroise, szybko przeciął mu drogę i wsunął się między podniesioną rękę a klamkę.

- Zostaw to w spokoju! - Musiał niemal krzyknąć, gdyż ryk wiatru zagłuszał słowa. - Chcesz dać dostęp żywiolom?

Tamten znów opuścił rękę do pasa, przesunął po nim palcami, jakby czegoś tam szukał. Nie wyciągnął jednak z pochwy krótkiego miecza, który bardziej przypominał kordelas leśnika niż oręż używany na wojnie.

Pomimo wrzącego w piersi gniewu Cadoc przestąpił z nogi na nogę pod spojrzeniem, które zwrócił na niego nieznajomy. Mimo to nie ustąpił i tamten po dłuższej chwili wrócił do odległej przegrody, stanął między końmi i oparł dłonie na ich karkach. Tymczasem Pergvin, spoglądając ukradkiem zauważył, że dziwny mężczyzna zamknął oczy i poruszał wargami, wymawiając słowa, których nie mógł lub nie śmiał wypowiedzieć na głos. Stary strażnik poczuł się nieswojo, prawie się zawstydził, jakby obserwował coś bardzo osobistego. Odwrócił się więc szybko i dołączył do towarzyszy niedoli. Pochylali głowy i kulili się wraz z każdym uderzeniem wiatru w stajnię, która obecnie wydawała się nader wątlym schronieniem.

Ich konie wpadły teraz w panikę, w przeciwieństwie do wierzchowców nieznajomego, które stały spokojnie. Starając się je uspokoić, po części zapomnieli o własnych lękach i obawach.

Pani Heroise nie miała pojęcia o nawałnicy szalejącej za murami świątyni. Ale czuwająca przy niej Ursilla przysłuchiwała się gwałtownym podmuchom i zawodzeniu wiatru, czuła pulsowanie dzikich sił natury docierających do wnętrza starożytnej budowli. Rósł w niej strach i zdumienie; nie mogła wyzbyć się

przekonania, że to zły znak. Pragnęła posłużyć się mocą, odczytać wróżbę kryjącą się za wściekłością żywiołów. Nie odważyła się jednak uszczuplić skoncentrowanej na pani Heroise energii, żeby nie przeszkodzić w spełnieniu się ich wspólnego życzenia.

Śpiąca w sąsiedniej komnacie pątniczka ocknęła się z zesłanej przez Gunnorę drzemki. Spochmurniała i wyciągnęła przed siebie obronnym gestem ręce, jakby chcąc oddalić jakąś groźbę. Czuwająca przy niej Mądra Kobieta ujęła jej dłonie i starała się ją uspokoić. Nie władała ona wielką mocą. W porównaniu z siłami, które mogła przywołać Ursilla, jej działania przypominały niezdarne próby dziewczynki nie znającej jeszcze starożytnej wiedzy. Mimo to za pośrednictwem jej rąk spokój i otucha spłynęły na półprzytomną pątniczkę i przegnały strach. Nieokreślony, lekki cień, który ją dotknął, znikł, rozpułnął się.

W szczytowym momencie burzy rozległ się krzyk nowo narodzonego i dobiegł z obu izdebek jak echo. Ursilla spojrzała na dziecko, które trzymała na rękach. Jej twarz wykrzywił grymas.

Pani Heroise otworzyła oczy i rozejrzała się dokoła, szybko odzyskując przytomność. Jej walka była skończona, zdobyła wszystko, czego pragnęła i nad czym pracowała tak długo.

- Daj mi popatrzeć na mojego syna! - zawołała. Kiedy Ursilla zawahała się, Heroise uniosła się wyżej na pościeli.

- Dziecko, co jest z dzieckiem? - zapytała.

- Nic... - odrzekła powoli czarownica - tylko to, że urodziłaś córkę.

- Córkę?! - Wydawało się, iż Heroise nie może wydusić z siebie tego słowa.

Tak mocno zacisnęła ręce na okryciu, jakby chciała podrzeć tkaninę na kawałki. - To niemożliwe! Rzuciłaś wszystkie czary w noc, w którą... w którą... - Zakrzuszyła się. Wściekłość malowała się na jej twarzy. - Tak było we wróżbach... Przysięgałaś, że tak się stanie!

- Tak. - Ursilla owinęła niemowlę pieluszką. - Moc nie kłamie. Wobec tego musi być jakiś sposób... - Jej twarz stężała. Utkwiła wzrok w swojej pani, a jej oczy były puste i martwe. Wydawało się, iż dusza czarownicy opuściła ciało w poszukiwaniu potrzebnej wiedzy.

Heroise patrzyła na nią w napięciu, ale bardzo spokojnie. I nawet mimochodem nie spojrzała na dziecko kwilące na kolanach Ursilli. Skupiła całą uwagę na Mądrej Kobiecie. Wyczuła Moc. Z nauk pobieranych „w Garth Howel zapamiętała tyle, że orientowała się, iż jej powiernica rzucała teraz czary. Lecz choć

już nie robiła jej wyrzutów, skrzyła w dłoni i szarpnęła okrycie, nawet nie próbując uspokoić palców.

Błysk życia na nowo pojawił się w oczach czarownicy, która odwróciła lekko głowę, wskazując podbródkiem na ścianę z lewa.

- To, czego pragniesz, jest tam. Chłopiec urodzony w tej samej chwili, co twoje dziecko...

Heroise jęknęła. To był sposób... To był jedyny sposób!

- Jak...

Ursilla gestem nakazała jej milczenie. Nadal trzymając niemowlę w zgięciu ramienia, zwróciła się twarzą do ściany. Jej prawa dłoń uniosła się i opadła, kiedy czubkiem palca nakreśliła na tej zaporze jakieś znaki i symbole. Niektóre z nich zaświeciły na chwilę czerwienią, jakby żarzył się w nich ogień. Innych Heroise nie rozpoznała, gdyż Mądra Kobieta gestykulowała bardzo szybko.

Kreśląc czarodziejskie znaki Ursilla śpiewała zaklęcia i wymawiała Wielkie Imiona, ale zawsze tylko szeptem. Mimo to Heroise słyszała je wyraźnie wśród wycia wichury. Na dźwięk jednego lub dwóch Wielkich Imion wzdrygnęła się i zadrżała, lecz nie zaprotestowała. Obserwowała tylko wszystko uważnie, czekając na spełnienie swoich pragnień.

Wreszcie czarownica zakończyła czary.

- Stało się - powiedziała. - Rzuciłam czar zapomnienia. Obie kobiety śpią. Kiedy się obudzą, obok będzie dziecko, które uznają za prawdziwie przez tamtą narodzone.

- Tak, zrób to szybko! - ponagliła ją pani Heroise.

Ursilla odeszła, a Heroise osunęła się znów na łożo.

A więc spełniła swoje zamiary: urodziła dziedzica Car Do Prawn. W przyszłości - jej oczy zabłysły - to ja... to ja będę tam panią! I dysponując bogactwami całej posiadłości, a przy tym władzą nad posłusznym sobie dziedzicem, i mając do pomocy Ursillę - czegoż z czasem nie osiągnę! Roześmiała się głośno, gdy czarownica wróciła, trzymając w ramionach zawinięte w pieluszkę dziecko. Podała je Heroise.

- To twój przystojny syn, pani. - Wypowiedziała starożytną formułkę używaną przez położne. - Popatrz na niego i nadaj mu imię, żeby mu się dobrze wiodło w życiu.

Pani Na Zamku niezdarnie wzięła niemowlę. Spojrzała na jego twarzyczkę z



zaciśniętymi mocno powiekami o ciemnych rzęsach, na włożoną do ust piąstkę. Miał ciemne włosy. To dobrze. Jej własne miały niemal ten sam odcień. Odsunęła pieluszkę, żeby obejrzeć małe ciało. Tak, był prawidłowo ukształtowany i nie miał żadnego znamienia, które później mogłoby posłużyć do zakwestionowania jego pochodzenia.

- Nazywa się Kethan - oświadczyła szybko, jakby w obawie, że ktoś jej w tym przeszkodzi. - To mój syn, dziedzic Car Do Prawn, przysięgam na Moc.

Ursilla pochyliła głowę.

- Zawołam twoje dworki - odparła. - Kiedy burza się skończy, powinniśmy ruszyć w powrotną drogę.

Heroise wyglądała na lekko zaniepokojoną:

- Powiedziałaś, że one - ruchem głowy wskazała na ścianę - nigdy się nie dowiedzą.

- To prawda, przynajmniej na razie. Ale im dłużej tu pozostaniemy, tym większe ryzyko, że coś może pokrzyżować nasze plany, mimo że wsparłam je potężnymi czarami. Ona... - Ursilla zawahała się. - Ta, która jest matką, wydała mi się dziwna. Ma nieco talentu...

- A więc dowie się! - Heroise przytuliła chłopca do piersi tak mocno, że obudził się i krzyknął cicho, wymachując piąstkami, jakby chciał uwolnić się z jej uścisku.

- Może mieć talent, ale nie może się równać ze mną - wyniośle odparowała czarownica. - Wiesz, że potrafimy ocenić kogoś takiego jak my same.

Jej pani skinęła głową.

- Lepiej oddalmy się stąd. Przyślij do mnie moje dworki. Chciałabym, żeby zobaczyły to dziecko, żeby uznały je od pierwszej chwili jego życia za Kethana, który jest tylko mój!

W sąsiedniej komnacie prawdziwa matka chłopca drgnęła. Na jej twarzy malował się lekki niepokój. Poruszyła opartą na poduszce głowę i otworzyła oczy. Tuż przy niej leżało dziecko. Mądra Kobieta pochyliła się nad nią.

- Tak, pani, to twoja córeczka. Tak, naprawdę nią jest. Twoja śliczna córeczka, pani. Popatrz na nią i nadaj jej imię, żeby wiodło jej się w życiu.

Matka z radością wzięła dziewczynkę w ramiona.

- Ona nazywa się Aylinn, jest córką moją i mego małżonka. Och, przyprowadź go szybko, gdyż teraz, gdy już nie jestem pod opieką Gunnory, odczuwam niepokój.

Przyprowadź go szybko!

Przytuliła córkę i zanuciła miłośnie kołysankę. Aylinn otworzyła oczy, a potem buzię i wydała cichy okrzyk, jakby nie była pewna, czy świat jest dostatecznie sympatyczny. Kobieta roześmiała się radośnie.

- Ach, córeczko, jesteś po dwakroć, po trzykroć upragniona. Będziesz miała lepsze życie niż ja, kiedy byłam dzieckiem. Będą cię chronić moje ramiona i miecz mojego małżonka - a ty będziesz trzymała w rączkach nasze serca!

Burza cichła. Nieznajomy mężczyzna wy dostał się ze stajni i spotkał w drzwiach świątyni Mądrą Kobietę, która asystowała przy porodzie. Śpiesząc do swej małżonki usłyszał jakieś poruszenie w sąsiedniej komnacie, ale nie zwrócił na to uwagi. Nie patrzył nawet wtedy, gdy następnego dnia rano orszak z Car Do Prawn opuścił święte miejsce; Pani Na Zamku jechała w konnej lektyce, trzymając w ramionach swego syna.

Troje pozostałych w świątyni jakiś czas później również wyruszyło w drogę. Skierowali się na północ, ku najdzikszym lasom, które były dla nich domem.

## O życiu Kethana jako dziedzica Car Do Prawn

Car Do Prawn nie jest ani największym z zamków, które składają hołd naczelnemu wodzowi Klanu Czerwonych Płaszczy, ani też najbogatszym. A jednak miło popatrzeć na to, co znajduje się w jego granicach: sady pełne wiśni i jabłek, z których się robi jabłecznik i znany w całym Aryonie kordiał wiśniowy, pola uprawne zawsze wydające obfite plony zbóż, rozległe łąki z mnóstwem owiec i liczne stada bydła. W samym środku tej pięknej i żyznej krainy wznosi się Zamek, obok którego przycupnęła mała wioska, grzejąca się w promieniach słońca. Domy są pokryte dachami o ostrych szczytach i rzeźbionych fantazyjnie okapach. Ściany mają z jasnoszarego kamienia, dach z dachówki łupkowej, a rzeźby splatają się z pomalowanymi zielenią i złotem runami.

Lecz sam Zamek, chociaż zbudowany z identycznego surowca, pozbawiony jest owych pełnych wdzięku ozdób. Wieże zawsze otacza cień. Może rzucają go niewidzialne chmury? Nawet w środku lata w zamkowych murach wszystko przenika chłód, którego nikt poza mną zdawał się nie zauważać. Często odnosiłem wrażenie, że jego prastarymi korytarzami wędrowały jakieś istoty mające niewiele wspólnego z ludźmi, że wynurzały się z kątów zaciemnionych komnat.

Od czasu gdy zacząłem cokolwiek rozumieć, pani matka dała mi do zrozumienia, że w przyszłości to ja będę tu rządził. Lecz ta obietnica nie napełniła mnie dumą. Wręcz przeciwnie, zacząłem się zastanawiać, czy jakikolwiek człowiek może rościć sobie pretensje do władania nawiedzanym przez duchy miejscem. Możliwe, iż moja powściągliwość stała się moją najlepszą obroną, ponieważ nigdy nie opowiedziałem pani matce ani Ursilli (której wielce się obawiałem) o tych dziwnych i niepokojących fantazjach dotyczących Car Do Prawn.

Do ukończenia sześciu lat mieszkałem w Wieży Dam razem ze swoją jedyną rówieśniczką: była nią starsza ode mnie o rok panienka Thaney, córka pana Eracha. Wcześniej powiedziano mi też, że nasze dalsze losy będą wspólne i że kiedy osiągniemy odpowiedni wiek, weźmiemy ślub, przypieczętowując w ten sposób przyszłość naszego Domu. Wtedy niewiele to dla mnie znaczyło, a może również i dla niej.

Thaney była wysoka jak na swoje lata, bardzo rozgarnięta i dość sprytna. Szybko przekonałem się, że jeśli oboje coś spsociliśmy i wszystko się wydało, wina zawsze spadała tylko na mnie. Ani jej nie lubiłem, ani nie czułem do niej niechęci. Po

prostu zaakceptowałem jej obecność tak jak ubranie na ciele i pokarm na talerzu.

Inaczej rzeczy się miały z jej bratem Maughusem. Był starszy ode mnie o jakieś sześć lat i mieszkał w Wieży Młodzieńców, a do nas przychodził od czasu do czasu, żeby odwiedzić swoją babkę, panią Eldris. Mówię „jego babkę”, chociaż była też i moja. Jednak pani Eldris dała jasno do zrozumienia, kogo z nas woli; gdy tylko dostrzegła mnie w pobliżu, ignorowała mnie albo miała do mnie o wszystko pretensje, trzymałem się więc z dala od jej komnat.

Nasz dwór był dziwnie urządzony. Początkowo nie zdawałem sobie z tego sprawy, bo nie znałem innego. Długo byłem przekonany, że wszystkie rodziny żyją tak jak nasza. Pani Eldris posiadała własne komnaty i Thaney powinna w nich przebywać, ale moja kuzynka przeważnie robiła to, co chciała. Jej dworka była stara, gruba i trochę leniwa, więc nie pilnowała Thaney tak, jak nakazywał obyczaj.

Odwiedziny Maughusa w ich pokojach „były dla mnie sygnałem, że muszę się mieć na baczności. Jeśli kiedykolwiek znaleźliśmy się sam na sam (a dbałem o to, żeby zdarzało się to jak najrzadziej), wręcz nie skrywał, że źle mi życzy. Był bardzo dumny i pożerała go (o czym dobrze wiedziałem) niemal taka sama ambicja jak ta, która kierowała postępowaniem mojej matki. Świadomość, że nie zostanie Panem Na Zamku po swoim ojcu, napełniała go goryczą, która rosła z każdym rokiem. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że mnie nienawidzi nie jako człowieka, lecz za to, że byłem dziedzicem Car Do Prawn.

Moja matka pani Heroise i Mądra Kobieta Ursilla miały również swoje komnaty, które znajdowały się na najwyższym piętrze Wieży Dam. Pani Heroise bardzo interesowała się sprawami dworu. Nigdy się nie dowiedziałem, czy kiedyś w przeszłości doszło do starcia z panią Eldris, z którego wyszła zwycięsko moja matka. W każdym razie, podczas nieobecności pana Eracha to jego siostra wydawała rozkazy i sprawowała sądy w Wielkiej Sali. Przy takiej okazji zawsze trzymała mnie przy sobie: siedziałem na stołeczku tuż za wysokim krzesłem Pana Na Zamku z przewieszonym przez oparcie czerwonym płaszczem naszego klanu, przysłuchując się wydawanym przez nią wyrokom. Później tłumaczyła mi powody tej lub innej decyzji - czy została podyktowana zwyczajem, czy też była rezultatem jej rozumowania.

Jeszcze jako małe dziecko wyczuwałem instynktownie, że pragnęła zająć to miejsce na zawsze. Wydawało się, jakby w jej kobiecym ciele ujawniły się przypisywane mężczyźnie cechy, musiała się więc buntować przeciw naszym zwyczajom ograniczającym jej prawa. Tylko pod jednym względem była całkiem

wolna: mogła bez przeszkód posługiwać się mocą.

Ursilla była jedyną osobą w całym Zamku, której wyższość uznawała moja matka. Wiem, że zazdrościła Mądrej Kobiecie jej wiedzy i talentu. Chociaż pani Heroise sama posiadała podobne zdolności, to były one niewielkie i brakowało jej biegłości, którą może dać długoletnia nauka i wewnętrzna dyscyplina. Tylko dzięki nim mogłaby dorównać swojej nauczycielce, ale była na tyle mądra, że zdawała sobie z tego sprawę. Nigdy jednak nie przyznała się do braku zdolności w jakiegokolwiek innej dziedzinie.

Moja matka nie rozwinęła w sobie siły charakteru niezbędnej do ujęcia w karby własnych pragnień i uczuć. Nie mogłaby zatem otrzymać pełnego wykształcenia czarownicy, nawet gdyby nie stała się naczyniem, którego zadaniem było urodzenie dziedzica Car Do Prawn. A kiedy człowiek bardzo czegoś pragnie i nie może tego uzyskać z powodu jakiejś wewnętrznej niedoskonałości, zdarza się, że z czasem gorzknieje.

Skoro pani Heroise nie mogła zdobyć władzy w jednej dziedzinie, postanowiła zrealizować swoje ambicje w innej.

Powiedziałem już, że obawiałem się Ursilli i wolałem jej unikać. Ale podobnie jak moja matka zmuszała mnie do nauki rządzenia, tak Mądra Kobieta w takim samym stopniu zajmowała się moimi sprawami. Mimo że czarownica włada inną częścią mocy niż ta, którą może przywołać czarownik, Ursilla uczyła mnie tego, co uważała za korzystne i dobre dla mnie. Dopiero później zorientowałem się, że jej nauki były starannie oczyszczone ze wszystkiego, co pomogłoby mi uniknąć przyszłości, jaką dla mnie wybrały. To Ursilla nauczyła mnie odczytywać runy, to ona położyła przede mną wyselekcjonowane starożytne pergaminy - dotyczyły głównie dziejów Czterech Klanów, historii Arvonu i Car Do Prawn. Gdybym się tym nie interesował, uznałbym jej lekcje za nudne i zniechęcił się do tych przymusowych i żmudnych zajęć. Jednak Kroniki, które Mądra Kobieta uznała za pożyteczne dla kształtowania mojego charakteru, polubiłem i chętnie się uczyłem. Historia Arvonu nie zawsze toczyła się gładko i sennie. Złote dni tylko pozornie zdawały się bez końca. W przeszłości (nie wiadomo dokładnie, kiedy, ponieważ ci, którzy spisywali wydarzenia, nie byli zainteresowani dokładnym podliczeniem minionych pór roku) szalała tu wielka wojna, która doprowadziła do niemal całkowitego zniszczenia struktur społecznych.

Przed tym okresem chaosu nasza posiadłość nie graniczyła z górami na

wschodzie i południu, ale rozciągała się znacznie dalej, sięgając na wschodzie do legendarnego morza, a na południu do dziś już zapomnianych ziem. Mieszkańcy Arvonu w mniejszym lub większym stopniu mieli dar przywoływania niewidzialnych sił, więc często nasi wielmoże i władcy byli również panami mocy. Zaczęli eksperymentować z samą siłą życia, stwarzając istoty, które by im służyły i rozprawiały się bezlitośnie z ich wrogami. Wielu z nich zżerała ambicja równie wielka jak ta, która kierowała postępowaniem mojej matki, prześcigali się zatem w próbach ustanowienia własnych rządów w kraju. Przekroczyli wszelkie granice źle pojętych eksperymentów: otworzyli Bramy do dziwnych i straszliwych wymiarów. Później walczyli ze sobą, niszcząc całe połacie kraju. Niektóre z sił przez nich wyzwolonych okazały się plagami niszczącymi nawet samą moc. Kłótniwi magnaci, w miarę jak malała ich liczba, po kolei wycofywali się i powracali właśnie tu, do serca swej ojczyzny. Niektórzy przybyli szybko, zaniepokojeni i przerażeni przejawami działania energii, których nie mogli kontrolować. Inni zwlekali jak najdłużej, gdyż tak głęboko zapuścili korzenie w swych włościach, że z najwyższą niechęcią zdobyli się na coś, co w ich pojęciu było wygnaniem. Niewielka część tych ostatnich nigdy nie wróciła do Arvonu.

Być może oni sami albo ich potomkowie wiodą teraz nędzny żywot w położonej na południe od Arvonu Krainie Dolin, którą obecnie zamieszkuje inny rodzaj ludzi. Nikt jednak tego nie wie na pewno. W pewnym momencie drogi do Arvonu zostały zamknięte za pomocą czarów i nikt już się nie zapuszczał do Krainy Dolin.

Nie wszystkich zadowoliła ucieczka przed rezultatami własnego szaleństwa. Nadal rzucali sobie wzajemnie wyzwania aż do dnia, w którym przeciw nim wystąpiło Siedmiu Wielmożów. Doszło wtedy do ostatniej, straszliwej konfrontacji pomiędzy tymi, którzy wybrali walkę, a tymi, którzy chcieli tylko pokoju i - może - zapomnienia. W jej wyniku większość Wielkich Adeptów albo wygnano za Bramy prowadzące do innych wymiarów i epok, albo zgładzono po pozbawieniu ich siły woli. Ich zwolenników również skazano na banicję na pewien określony czas.

Kiedy dotarłem do tego miejsca w Kronikach, zapytałem Ursillę, czy któryś z owych banitów kiedyś wrócił. Nie wiem, czemu wydało mi się to ważne, może dlatego, iż poraziła mnie myśl, że i ja mógłbym zostać wygnany z Arvonu i błąkać się bez celu w obcym świecie.

- Niektórzy wrócili - odrzekła krótko. - Ale tylko pomniejsi. Wielcy Adepce

nigdy nie wróć. Teraz to już nie ma znaczenia, Kethanie. Zresztą nie powinno cię to interesować, chłopcze. Ciesz się, że urodziłeś się tu i teraz.

Zawsze przemawiała do mnie ostrym głosem i miałem wrażenie, że tylko czyha, aż popełnię jakieś przewinienie, za które będzie mogła mnie ukarać. Czytając często podnosiłem głowę i napotykałem wpatrzona we mnie oczy Mądrej Kobiety. Wówczas przypominałem sobie wszystkie swoje najdrobniejsze nawet grzeszki i kręciłem się na krześle czekając, kiedy samą tylko siłą woli zmusi mnie do ich wyznania. Nigdy jednak do tego nie doszło.

Zmiana w moim życiu nastąpiła wtedy, gdy osiągnąłem wiek, w którym, zgodnie ze zwyczajem, musiałem przenieść się do Wieży Młodzieńców i rozpocząć tam naukę wojennego rzemiosła (choć od wielu lat nie było wojny poza zdarzającymi się od czasu do czasu napadami dzikich ludzi ze wzgórz). W noc poprzedzającą to wydarzenie Ursilla i Heroise zabrały mnie do wewnętrznej komnaty, która była prawdziwym sanktuarium czarownicy.

Gobeliny nie zdobiły jej kamiennych ścian, na których przed wiekami wymalowano - wyblakłe dziś i niezrozumiałe dla mnie - znaki i runy. Na środku stał prostokątny kamienny blok, długi jak męskie łóżce. Oświetlały go ustawione na obu końcach cztery świece grubości ramienia małego chłopca, osadzone w wysokich srebrnych świecznikach, ze starości pokrytych plamami i wżerami. Nad stołem wisiała kula świecąca srebrzystym blaskiem podobnym do księżycowego. Łańcucha, który mógłby utrzymywać ją w powietrzu, nie dojrzałem. Po prostu unosiła się w powietrzu. Na podłodze wokół kamiennego bloku namalowano pięcioramienną gwiazdę, która połyskiwała świeżą farbą, jakby dopiero co położoną.

Na końcach wszystkich ramion gwiazdy stały wysokie świeczniki, dużo wyższe niż ja. Świece stojące na kamiennym bloku były czerwone, a te na krańcach gwiazdy - żółte.

W kątach komnaty stały przenośne piecyki z takiego samego zniszczonego przez czas srebra jak świeczniki. Z każdego buchał wonny dym, który wił się ku górze, tworząc pod sufitem szarą chmurę.

Ursilla odrzuciła dziś swoją codzienną matowoszarą szatę i plisowany w drobne fałdki płócienny czepiec, zawsze okalający jej chudą twarz o ostrych rysach i zasłaniający włosy. Stała teraz z obnażonymi ramionami, a jej ciemne, przetykane siwizną pukle opadały na niebieską suknię, która połyskiwała olśniewająco w blasku lampy.

Na piersiach Mądrej Kobiety widniał wielki srebrny wisior w kształcie miesiąca w pełni wysadzany kamieniami księżycowymi, niebieskawymi jak lód w otocze mlecznobiałych.

Moja matka również ubrała się inaczej. Zawsze nosiła bogate stroje, lecz tej nocy - w przeciwieństwie do Ursilli - wydawała się odziana skromniej niż zwykle. Jej suknia miała pomarańczową barwę płomieni, a włosy okrywały ją ciemnym płaszczem. Wisior na jej piersi był gładkim miedzianym owalem bez żadnych ozdób.

To ona zaprowadziła mnie do sanktuarium Mądrej Kobiety. Stała przed pięcioramienną gwiazdą i zacisnęła mi mocno ręce na ramionach, jakby obawiała się, że zechcę uciec. Byłem tak onieśmielony tym, co tutaj zobaczyłem, iż nie zastanawiałem się, jaką rolę przyjdzie mi odegrać.

Ursilla okrążyła kamienny blok, wskazując palcem na każdą ze świec. Zapalały się w odpowiedzi na jej gesty. W końcu tylko świeca stojąca przede mną i moją matką pozostała nie zapalona.

Pani Heroise popchnęła mnie lekko do przodu i oboje znaleźliśmy się w obrębie namalowanej na podłodze gwiazdy. Potem szybko mnie podniosła i położyła na kamiennym bloku. Ledwie się tam znalazłem, ogarnęła mnie nagła senność. Nie mogłem się poruszyć, ale wcale się nie bałem.

Płomyk ukoronował ostatnią ze świec na krańcach gwiazdy. Teraz Ursilla zapaliła w ten sam sposób świece przy mojej głowie i stopach. Czekała w górze chmura dymu zaczęła się obniżać. Musiałem zamknąć oczy. Z daleka, bardzo daleka dobiegł mnie cichy śpiew, ale nic rozumiałem słów pieśni. Zapadłem w sen.

Obudziłem się wcześniej rano w moim własnym łóżu. Nie pamiętałem żadnego ze snów, zachowałem jedynie w pamięci ów początek nocy. Choć byłem jeszcze bardzo młody, to jednak wyczułem, że była to tajemnica, o której nie należało wspominać. Nikt nie mógłby mi wyjaśnić znaczenia tego, co mnie spotkało.

Mój wuj, pan Erach, kapitan Cadoc i większa część drużyny Car Do Prawn opuścili zamek. Wyruszyli z Ofiarą Plonów z wina i ziarna do włości Wodza Klanu Czerwonych Płaszczy. Dlatego owego poranka przyszedł po mnie niejaki Pergvin, woj, którego już wielokrotnie widziałem, ponieważ zawsze towarzyszył pani Eldris, ilekroć wyjeżdżała z Zamku.

Był mężczyzną w średnim wieku, niezbyt rozmownym. Zajmował niezłą pozycję wśród żołnierzy jako mistrz szermierki i dobry jeździec. Wydawało się jednak, że nie zamierzał awansować w służbie pana Eracha i że zadowalało go obecne



zycie. Nie ucieszyłem się na widok Pergvina, bo chociaż byłem podniecony i dumny z faktu, że w końcu promowano mnie do Wieży Młodzieńców, pamiętałem, iż odtąd znajdę się na łasce i niełasce mojego kuzyna Maughusa. A ponieważ Pergvina uważano za członka świty pani Eldris, przypuszczałem, że stanie po stronie nienawidzącego mnie dręczyciela.

- Witaj, paniczu Kethanie - odezwał się uroczyście i zaszalutował jak oficerowi. Później przeniósł spojrzenie na moją matkę, która stała wyprostowana, bez cienia emocji na młodzieńczej twarzy. Tylko jej oczy zdradzały, jak doświadczony miała umysł.

- Pani, twój brat, pan Erach, na jakiś czas powierzył mi opiekę nad paniczem Kethanem. Nic mu się nie stanie...

Pani Heroise skinęła głową.

- - Wiem o tym, Pergvinie. Synu - zwróciła się do mnie. - Znoś dobrze to, co cię czeka, przestań być dzieckiem i szukaj tego, co zrobi z ciebie mężczyznę.

W moim sercu podniecenie ustąpiło miejsca obawie. W owej bowiem chwili wcale nie czułem się przyszłym mężczyzną, lecz dzieckiem pozbawionym jakiegokolwiek oparcia. Oto Pergvin zabiera mnie z bezpiecznego gniazda, które dawało mi dotychczas schronienie, i przenosi do innego świata, świata, gdzie władzę ma Maughus. Będę bezbronny. Nie wierzyłem, że zdołam się przeciwstawić terrorowi kuzyna, gdyż za dobrze poznałem jego podstępne intrygi podczas krótkich wizyt, kiedy nie mogłem uniknąć jego towarzystwa. Nigdy nie chciałem prosić o pomoc mojej surowej matki i zdecydowałem, że teraz też nie poproszę o nią tego obcego wojownika. Bo chociaż byłem mały, postanowiłem w duchu, iż nikt, a przede wszystkim Maughus nigdy nie odgadnie, że się boję. Nie dopuszczę do takiej hańby.

- Będiesz czuł się samotny, paniczu. - Zauważyłem z wdzięcznością, że Pergvin nie wziął mnie za rękę i nie ciągnął na miejsce kaźni. Gdy zaś przemówił, zwrócił się jak do równego sobie żołnierza, a nie do onieśmiałego chłopca. - Panicz Maughus wyjedzie razem z tymi, którzy powieźli Ofiarę Plonów, będziemy więc mieli Wieżę Młodzieńców tylko dla siebie.

Miałem nadzieję, że nie zauważył ulgi, z jaką przyjąłem tę nowinę. Łaskawy los dał mi trochę czasu na zapoznanie się z nowym życiem bez narażania się na złośliwości Maughusa. Pragnąłem zadać nowemu opiekunowi wiele pytań, ale powstrzymała mnie obawa, że wyjdę na dzieciucha.

Gdy przeszliśmy przez dziedziniec i znaleźliśmy się w pobliżu wejścia do

Wieży Młodzieńców, nagle rozległo się głośnie szczekanie. Nie wiadomo skąd wyskoczył wielki cętkowany pies. Był bardzo duży; ściągnięte wargi odsłaniały groźne kły. Ale zamiast rzucić się na mnie, nagle przypadł do ziemi, a jego ostrzegawcze warczenie zamieniło się w skowyt. Chociaż bardzo mało wiedziałem o psach, gdyż widywałem je dotąd tylko z daleka, nie miałem wątpliwości, że nie zachowuje się naturalnie. Wciąż skowycząc, ze śliną kapiącą z pyska, pies przyglądał mi się długą chwilę. Potem głośno zawył i wycofał się kłapiąc zębami i warcząc, jakby przed potężnym wrogiem, którego nie śmie zaatakować. Wreszcie uciekł z podwiniętym ogonem.

Patrzyłem na niego oniemiały z zaskoczenia. W pierwszej chwili ogarnął mnie strach, ale przerażenie i pośpieszna ucieczka psa wprawiły w osłupienie. Może to Pergvin w jakiś sposób uchronił mnie przed atakiem?

Kiedy jednak zwróciłem na niego wzrok, ujrzałem na twarzy Pergvina takie samo zdumienie, jakie zapewne malowało się na mojej. Spojrzał na mnie tak, jakbym na jego oczach zamienił się w jakiegoś potwora. Potrząsnął lekko głową.

- To doprawdy dziwne... - powiedział powoli, ale raczej myślał na głos, niż zwracał się do mnie. - Dlaczego Latchet tak się zachowuje? - Zasepił się lekko, ale na jego twarzy wciąż widać było zakłopotanie. - Tak, to naprawdę dziwne. Ach, lepiej chodźmy na górę, paniczu. Zbliży się południe, a po południu musimy wybrać dla ciebie wierzchowca...

Jedzenie, które przyniósł mi Pergvin, było mniej wyszukane niż u mojej matki; składało się z zimnych zrazów, chleba i sera. Wszystko bardzo mi smakowało i nie zostawiłem ani okruszka. Kiedy umyłem ręce po posiłku, nabrałem ochoty na nowe lekcje, które miały zacząć się od konnej jazdy.

Pani Heroise niemal cały czas spędzała ze mną w murach Zamku. Gdy zdarzało mi się opuszczać komnaty, to tylko po to, by w towarzystwie którejś z dworek pospacerować w ogrodzie lub po polach. Ani matka, ani Ursilla nie zachęcały mnie do odkrywczych wypraw. Pomyślałem, że jeśli nauczę się jeździć konno, to zobaczę trochę świata, a może w przyszłym roku będę mógł towarzyszyć wujowi w takiej podróży, w jakiej teraz wziął udział Maughus. Pełen zapału udałem się z Pergvinem do stajni.

Stary żołnierz poprowadził mnie wzdłuż długiego szeregu boksów. Konie przyglądały mi się ponad przegrodami. Wyciągały szyje, potrząsały łbami, parskały i rżały ogłuszająco i przenikliwie. Ich zachowanie zdziwiło mnie bardzo, gdyż

obserwując krążących po dziedzińcu jeźdźców, nie zauważyłem ani takiego niepokoju, ani takiej wrzawy.

Kilku stajennych, którzy dotąd przyglądali mi się z ciekawością, pośpieszyło uspokoić rumaki, które tymczasem poczęły stawać dęba i kopać drewniane ścianki. W stajni zrobiło się wielkie zamieszanie. Poczułem na ramieniu ciężką dłoń Pergvina, który odwrócił mnie w stronę wejścia.

- Wyjdź stąd, paniczu! - rozkazał pośpiesznie. - Zaczekaj na zewnątrz.

Nie pobiegnę, powiedziałem sobie w duchu, ale pójdę. Wyczuwałem wokół siebie gęstą mgłę strachu, oddychałem szybko i serce waliło mi jak młotem. Szedłem więc powoli, spokojnie, mając nadzieję, że stajenni nie zauważą, jak bardzo się boję.

## O kupcu Ibycusie i o pasie z lamparciej skóry

Pomyślałem, że mój nauczyciel wybrał dla mnie dziwnego wierzchowca, ale nie kwestionowałem tego. Była to stara, powolna klacz w podeszłym wieku, stąpała ciężko i niezdarnie. Lecz w owej chwili każdy koń był dla mnie prawdziwym cudem.

Klacz parsknęła i grzebnęła raz czy dwa kopytem, ale stała spokojnie, gdy Pergvin pokazywał mi, jak należy jej dosiąść. Kiedy jednak znalazłem się w siodle, podniosła wysoko głowę i głośno parsknęła. Mój opiekun chwycił wodze i przemówił cicho, głaszcząc po nasadzie szyi, by ją uspokoić.

Klacz nagle pokryła się potem i kwaśny zapach zakręcił mi w nosie. Pergvin wyprowadził ją za bramę na wygon, gdzie ujeżdżano wierzchowce. Chłonałem każde słowo starego żołnierza, gdyż siedząc w siodle poczułem się swobodnie jak nigdy w życiu. Była to dobra wróżba na przyszłość, nawet jeśli teraz Pergvin szedł obok stąpającej ospale klaczy, z ręką na uździe, podczas gdy ja trzymałem niezdarnie wodze.

Spotkał mnie zawód, gdy mój nauczyciel skierował się do bramy Zamku. Przykro było zamienić rozległą przestrzeń na jego ciasne wnętrze. Pergvin zatrzymał się w bramie i zdjął mnie z siodła. Wskazawszy palcem drzwi Wieży Młodzieńców, polecił mi przy nich zaczekać, sam zaś odprowadził mojego wierzchowca do stajni.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że nas obserwowano. Na dziedzińcu zgromadziło się wielu stajennych i żołnierzy. Schodzili mi z drogi, nie patrząc na mnie. Kiedy dotarłem do drzwi, gdzie miałem czekać, zadrżałem, gdyż mimo młodego wieku nie byłem głupim chłopcem. Zrozumiałem, że odgrodziła mnie od świata jakaś bariera, która dostrzegali zarówno ludzie jak i zwierzęta, jakkolwiek ja sam nie mogłem ani jej zobaczyć, ani wyczuć. Wróciłem myślą do dziwnej nocy spędzonej w komnacie Ursilli. Czy to tam wydarzyło się coś, co tak mnie zmieniło?

Po raz pierwszy oprócz lęku przed Ursillą i moją matką poczułem oburzenie. Jeżeli za pomocą sztuki, którą uprawiały, odgrodziły mnie od życia Zamku, to byłem na straconej pozycji. Nie chciałem ich opieki, nawet jeśli miała mnie bronić przed Maughusem.

Na widok Pergvina parobcy i żołnierze szybko się rozproszyli, chowając się po kątach, widać nie chcąc, by zauważył, że się nami interesują. Nigdy w życiu nie czułem się taki samotny. Trzymałem jednak wysoko głowę i rozglądałem się wokoło spokojnie, jakby nie targały mną złe przeczucia. Już wcześniej nauczyłem się ukrywać

swoje myśli przed Ursillą i panią Heroise. Teraz także będę musiał nosić maskę.

W taki to sposób wszedłem do świata mężczyzn z Car Do Prawn. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie Pergvin, który dyskretnie udzielał mi rad lub pomagał. Bardzo szybko przekonałem się, iż wszystkie bez wyjątku zwierzęta nie cierpiały mojego towarzystwa. Kiedy zbliżałem się do psów, najpierw szczeakały jak na widok wskazanej przez myśliwego zdobyczy, po czym zaczynały skomleć, śliniły się i uciekały.

Nie mogłem też wsiąść na żadnego konia, dopóki mój opiekun nie uspokoił go za pomocą napoju z ziół, który potajemnie przygotowywał. Zresztą nawet wtedy zwierzę obficie się pociło i drżało na całym ciele.

Natomiast we władaniu bronią nie sprawiłem opiekunowi zawodu. Byłem znacznie lżejszy od Maughusa, ale nadrabiałem ten brak celnym okiem i pilną nauką. W ciągu roku stałem się mistrzem w strzelaniu z kuszy, posługując się lżejszą jej wersją. Przyniósł mi ją Pergvin.

Kusza ta sprawiła mi tyle samo radości, co miecz znaleziony przez niego gdzieś w zbrojowni, lekki i smukły, jakby specjalnie dla mnie wykuty. Zapytałem kiedyś, czy miecz i kusza należały niegdyś do Maughusa, gdy był małym chłopcem. Nie chciałem bowiem używać jego broni, nawet jeśli jej już nie potrzebował, żeby nie wywoływać nowych tarć między nami. Pergvin odpowiedział, że pochodzą z dawniejszych czasów i że posługiwał się nimi inny młodzieniec.

Zmarszczył przy tym lekko brwi i chociaż patrzył na mnie, wyczułem, iż przed oczami ma kogoś innego. Więc choć rzadko go o coś pytałem, teraz się ośmieliłem.

- Kto to był, Pergwinie? Czy go znałeś?

Przez dłuższą chwilę sądziłem, że mi nie odpowie. Odniosłem też wrażenie, iż przekroczyłem jakąś dozwoloną granicę - tak jakbym odważył się zapytać Ursillę o coś z jej zakazanej wiedzy.

Później Pergvin rzucił okiem w lewo i w prawo, jakby sprawdzał, czy nikogo nie ma w pobliżu. Lecz o tej porze Zamek był prawie pusty. Mój wuj wyjechał na polowanie do północnych lasów, a już wcześniej okazało się przecież, że nie mogę brać udziału w takich wyprawach, bo żaden koń ani pies nie robił, co do niego należało, kiedy byłem w pobliżu.

- To był syn z rodu Car Do Prawn - powiedział niechętnie mój opiekun. - A raczej syn półkrwi...

Wahał się tak długo, że odważyłem się go ponaglić:

- Dlaczego nazywasz go synem półkrwi, Pergvinie?

- Było to dawno temu, kiedy pani Eldris była młodą dziewczyną. Rzucono na nią czar miłosny i odpowiedziała na jego zew...

Naprawdę mnie zadziwił. Pani Eldris żyła długo jak wszyscy ludzie naszej rasy i upływ lat niewiele dla niej znaczył. Lecz dla mnie była surową babką, która nie miała w sobie nic młodego. Wiadomością, że niegdyś uległa legendarnemu czarowi miłosnemu, byłem tak zaskoczony, jakby mi kto powiedział, iż pewnego wiosennego poranka zachodnia Wieża ruszyła z posad do tańca zasiewów.

Pergvin wyczytał niedowierzenie na mojej twarzy i powiedział ostrzejszym tonem:

- Wszyscy byliśmy kiedyś młodzi, paniczu Kethanie. Na pewno nadejdzie dzień, kiedy to ty będziesz snuł wspomnienia, które kogoś zdumieją. Tak, pani Eldris posłuchała miłosnego wezwania, ale to nie mężczyzna z naszego klanu rzucił na nią ów czar.

- Było to w czasach Ostatniej Walki. Cztery Klany i ich sojusznicy spotkali się, żeby radzić o obronie i walce z Czarnoksiężnikiem z Ragaardu Mniejszego. Ponieważ ci, którzy odpowiedzieli na wezwanie do boju, musieli ogołocić swoje Zamki, pozostawiając tam tylko nieliczne załogi, zabrano kobiety i dzieci do twierdz Wodzów - rzecz jasna, tylko te, które wyraziły na to zgodę. Jak dobrze wiesz, bywały damy, które wkładały zbroje i dowodziły pospolitym ruszeniem ze swych włości.

- Kiedy pani Eldris schroniła się w twierdzy Klanu Czerwonych Płaszczy, zobaczył ją tam i zapragnął jej pewien Jeździec Zwierzołak. Rzucił na nią czar i sprowadził do swego łoża. Działanie czarów nie trwało długo; nie połączyło ich też prawdziwe uczucie. Dlatego z czasem wróciła ona z małym synkiem do Car Do Prawn...

- Mówiono, iż odeszła w chwili, gdy jej małżonek Zwierzołak i cały jego klan przebywali gdzieś w wirze walki, jak zawsze, taką już mieli naturę. A gdy dowiedział się, co zaszło, było już za późno. Nie mógł jej odzyskać.

- Jej brat, pan Kardis (który kilka lat później zginął w bitwie pod Thos), dobrowolnie zrezygnował na rzecz siostry i jej syna z klanowego prawa sukcesji. Ale kiedy chłopiec podrósł, okazało się, że przeważa w nim krew jego ojca. W końcu odszedł do Szarych Wież, gdzie mógł znaleźć pobratymców, przyjaciół i towarzyszy broni. Później, gdy Siedmiu Wielmożów wywalczyło pokój dla Arvonu, Jeźdźcy Zwierzołacy zostali wygnani, gdyż mieli gorącą krew i trudno im było żyć w świecie

bez wojen. Dopiero kilka lat temu powrócili z dalekich wędrówek. Nie sądz jednak, iż pani Eldris zachowała smutne wspomnienia. Z czasem wyszła znów za mąż i urodziła swemu małżonkowi pana Eracha i twoją matkę. I czas zatarł tamte wydarzenia w pamięci. Lecz jej starszy syn mieszkał tutaj w młodości i ta broń należała do niego. Ale teraz lepiej zapomnieć o tym wszystkim, paniczu.

- Jeździec Zwierzołak... - powtórzyłem; pragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej o tym nieznanym wuju, ale nie odważyłem się pytać. Zresztą zorientowałem się, że Pergvin nie chciał dłużej rozmawiać na ten temat.

W Arvonie mieszka wiele najrozmaitszych ludów i plemion. Nie wszystkie należą do tego samego gatunku. Współżyją z nami plemiona całkowicie odmienne ciałem i duchem. Jeszcze inne łączą w sobie podobieństwo do nas z cechami tak dziwnymi i nam obcymi, że nie jesteśmy w stanie ich zrozumieć. Wreszcie są ci, którzy nie tylko są od nas różni, ale i wrogo nastawieni, a wśród nich istoty tak niebezpieczne, że ludzie z Czterech Klanów unikają ich i ich terytoriów.

Widywałem leśnych ludzi przychodzących na nasze święta zasiewów i uroczystości dożynkowe czy winobrania. Witamy ich chętnie, ponieważ bliżsi są światu roślin niż my. Spotykałem też stworzenia łądząco do nas podobne i wzdragałem się przed kontaktem z nimi jak przed podmuchem mroźnego wiatru.

Jeźdźcy Zwierzołacy, podobnie jak leśne plemię, łączą w sobie dziedzictwo dwóch gatunków: czasami są ludźmi, kiedy indziej zaś zwierzętami. Kroniki, które dała mi Ursilla, zawierały sporo wzmianek o takiej przemianie postaci, ale wtedy mało mnie to interesowało. Teraz jednak usłyszawszy opowieść Pergvina, robiłem sobie wyrzuty, że nie zwracałem więcej uwagi na tamte fragmenty. Historia Zwierzołaka, który przede mną używał miecza i kuszy, obudziła mą ciekawość. Zapragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej. Czy i jego odgradzała od innych mieszkańców Car Do Prawn taka sama niewidzialna bariera jak mnie?

Czułem się strasznie samotny i coraz bardziej zamykałem się w sobie. Gdyby nie Pergvin, byłoby ze mną całkiem źle. Lecz mój opiekun - pod pozorem nauki wojennego rzemiosła - prawie nie rozstawał się ze mną. Z czasem zaczął zabierać mnie na krótkie wycieczki poza Zamek, poznałem więc coś więcej niż okoliczne pola. Reguły narzucone przez moją matkę nigdy nie pozwalały mi na spędzenie nocy poza Car Do Prawn.

Nadal wzywano mnie do Wielkiej Sali podczas sprawowania sądów przez wuja. Siadywałem za wysokim krzesłem, tak jak wtedy, gdy zajmowała je moja

matka. Pan Erach na swój sposób był dla mnie sprawiedliwy, ale zbytnej życzliwości mi nie okazywał. Martwiło go, że nie mogłem polować i nienawidziły mnie konie i psy. Posunął się nawet do tego, iż zasięgnął rady Ursilli w tej sprawie: Nigdy nie dowiedziałem się, co mu odpowiedziała. W każdym razie po tym spotkaniu traktował mnie z jeszcze większą rezerwą. Unieszczęśliwiało mnie to.

Maughus nie dokuczał mi otwarcie jak wtedy, gdy byłem dzieckiem, ale przy lada okazji zaznaczał, że nie zdołałem dostosować się do życia w Zamku.

Mijały lata. Osiągnąłem już wiek młodzieńczy. Pewnego lata mieliśmy wyjątkowo dobre zbiory, co wszystkich cieszyło, a cieszyłoby jeszcze bardziej, gdyby nie był to złowróżbny Rok Wilkołaka. Zgodnie ze zwyczajem powinienem był właśnie teraz ożenić się z Thaney. Ponieważ jednak ślub w Roku Wilkołaka mógł być złym znakiem na przyszłość, Ursilla uznała, że uroczystość należy przełożyć. Poparła ją w tym pani Heroise, chociaż bardzo pragnęła sfinalizować swoje plany. Postanowiono więc wyprawić wesele na początku nowego roku, Roku Rogatego Kota.

Bardzo rzadko widywałem Thaney, którą jeszcze dzieckiem wysłano do Garth Howel, żeby nauczyła się od Mądrych Kobiet leczniczej i ochronnej magii. Okazało się, że przejawiała w tej dziedzinie pewne zdolności. Nie spodobało się to mojej matce, ale nie mogła protestować przeciw rozwijaniu talentu bratanicy.

Także i Maughus często opuszczał Car Do Prawn i jako wysłannik swego ojca brał udział w zgromadzeniach klanowych. Wszystkie Cztery Klany prowadziły coraz bardziej ożywioną działalność.

Dla Arvonu niepostrzeżenie nadszedł czas niepokoju. Już same nazwy lat wskazywały, iż równowaga mocy została lekko zachwiana. Był więc Rok Lamii, Chimery, Harpii i Żarłocznego Delfina. Pewne oznaki wskazywały - ku zdumieniu wszystkich, którzy się nad tym zastanawiali - że złoty pokój mojego dzieciństwa dobiegał końca. Wysyłano więc poselstwa do Głosów Mocy, prosząc o odczytanie przyszłości. Przyznały one, że przyszłość nie rysuje się pomyślnie. Nadal jednak nie pojawiło się żadne konkretne niebezpieczeństwo, na które ludzie mogliby skierować wzrok i powiedzieć: to właśnie to nas niepokoi.

Pewnego wieczora, gdy siedzieliśmy razem przy posiłku, Pergvin tak ocenił sytuację:

- Ten przyływ i odpływ mocy jest jak pływy morskie. Kiedy jest jej za dużo, w kraju budzi się dziwny niepokój i zniecierpliwienie. - Wpatrzył się ponuro w



cynowy kufel z zeszłorocznym jabłecznikiem. - Zawsze tak się zaczyna. Ziemia wydaje bardzo obfite plony, jakby ostrzegała nas, że powinniśmy napelnić spichlerze i przygotować się do oblężenia. My sami stajemy się niespokojni, jakby coś szeptało nam do ucha zachęty do działań, których nie chcemy się podjąć. I wtedy nadciąga Cień - tak jak pływy morskie - lecz nie tak często.

- Pływy morskie? - podchwyciłem żywo dwa słowa, które powtórzył. - Pergvinie, czy ty widziałeś morze?

Ale mój opiekun nie podniósł na mnie wzroku. Zapytał tylko:

- Paniczu, jak ci się zdaje, ile ja mam lat?

Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, miałem go za starego. Lecz gdy i mnie przybyło lat, doszedłem do wniosku, że jest średniego wieku. Trudno było odgadnąć wiek mieszkańców Arvonu aż do chwili, gdy zbliżali się do końca swoich dni. Naturalna śmierć i poprzedzające ją stopniowe osłabienie sił witalnych przychodziły do nas po wielu, wielu latach życia. Oczywiście można było umrzeć wcześniej na jakąś chorobę, z powodu przekleństwa albo zginąć w walce.

- Nie wiem - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Byłem wśród tych, którzy wyruszyli Drogą Pamięci przez Ziemie Spustoszone w Krainie Dolin - powiedział powoli. - Przeżyłem Okres Wielkich Niepokojów i to, co po nim nastąpiło. Tak, widziałem morze, ponieważ urodziłem się w zasięgu szumu jego fal.

Ogarnął mnie teraz taki sam lęk, jaki zawsze odczuwałem w obecności Ursilli. Miałem wrażenie, jakby:któryś z bohaterów Kronik opuścił pergaminowe zwoje i stanął przede mną. To, że Pergvin pamiętał Czasy Wagnania, było niepojęte i cudowne.

- Pamiętam za dużo - dodał chrapliwie mój nauczyciel i dopił jabłecznika. Zamknął się w sobie. Nie odważyłem się dalej pytać.

Głos rogu przerwał nam wieczrę. Ktoś zagrał przed bramą Zamku, oznajmiając przybycie wędrownego kupca. Zjawił się wcześniej, by otworzyć swój kram na naszym Świącie Plonów. Powitaliśmy go ciepło, gdyż kupcy, którzy przemierzali Arvon wzdłuż i wszerz, przywozili zewsząd wiedzę o miejscach widywanych przez nas bardzo rzadko albo nigdy.

Nasz gość najwidoczniej był kimś znacznym w swoim zawodzie. Nie prowadził za sobą mizernego konika z jukami, ale przybył z całą gromadą sług i zwierząt jucznych. Były wśród nich nie tylko konie podobne do naszych, lecz także

kilka dziwnych zwierząt o długich nogach i wielkich garbach na grzbiecie. Tobały przywiązano po obu stronach tych garbów.

Z rozkazu pana Eracha kupcowi oddano na obozowisko najbliższy wygon za murami Car Do Prawn. Jego słudzy szybko przywiązali zwierzęta juczne do palików, oddzielnie konie, oddzielnie garbate wierzchowce, a potem rozbili namioty. Kupiec z zadowoleniem przyjął zaproszenie na wieczerzę w Wielkiej Sali. Został zaproszony, gdyż damy i ich dworki spragnione były wszelkich nowin.

Przybysz, który przedstawił się jako Ibycus (nigdy dotąd nie słyszeliśmy takiego imienia), był niewysokim mężczyzną. Ale choć zbywało mu na wzroście, prezentował się okazale. Miał dworne maniery jak wychowanek wielkiego rodu i najwyraźniej był przyzwyczajony do wydawania rozkazów.

Im dłużej go obserwowałem, tym bardziej wątpiłem, że należy do naszego ludu. Wydawał się niewiele starszy od Maughusa (który jeszcze nie wrócił z ostatniej jakiejś specjalnej misji), ale emanowała od niego aura dojrzałego wieku, a także mądrość i opanowanie. Zastanawiałem się, czy był kimś więcej niż bogatym kupcem. Może to jakiś Mędrzec posługujący się kupiectwem jak ciepłym płaszczem w niepogodę?

Jeżeli nawet tak się rzeczy miały, był życzliwie do nas nastawiony. Podczas wieczerzy panowała wesołość i wszyscy byli w różowych nastrojach. Cień, który zdawał się stale kryć w zakamarkach Car Do Prawn, znikł na jakiś czas. Słuchaliśmy opowieści Ibycusa, a miał wiele do powiedzenia o ziemiach, przez które niedawno przejeżdżał. Opowiadał nam też o naszych krewnych i o tym, jak im się wiedzie w ich twierdzach.

Początkowo obserwowałem tylko jego. Później Ursillę. Spojrzałem na nią przypadkiem i zaintrygował mnie wyraz jej twarzy. Było wielkim ustępstwem z jej strony, że uczestniczyła w wieczerzy z naszym gościem. Rzadko odwiedzała Wielką Salę i na ogół przebywała tylko w swoich komnatach.

Wydała mi się lekko zaniepokojona, jakby dostrzegła w przybyszu jakąś groźbę. Jej palce, na poły ukryte za talerzem, raz czy dwa poruszyły się w skomplikowanym geście. Może chciała użyć czarów do wykrycia owej groźby. W pewnej chwili nagle zrozumiałem, że jeśli taki był jej zamiar, to się nie powiodł.

Kiedy zabrano ze stołu naczynia, kupiec polecił przynieść spory kufer. Później klepnął wieko i powiedział:

- Mam wiele towarów, panowie i panie. Ale tu są najpiękniejsze. Jeśli

pozwolicie, pokażę je wam.

Panie głośno wyraziły zgodę. Ich wysokie głosy mieszały się z niższymi głosami mężczyzn, którzy także byli ciekawi towarów. I otwarto ów kufer.

Ibycus wyjął z niego zwój czarnego materiału. Rozłożył go na stole, wygładził, po czym jął ustawiać na nim jedwabne woreczki i najróżniejsze pudzeczki: rzeźbione w drewnie, kości lub kryształy. Wysypał ich zawartość na stosiki. Nie chciało się wierzyć, że takie bogactwa istnieją, oczywiście poza starożytnymi legendami o skarbach Ognistego Smoka.

Były tam wyroby ze złota, srebra i miedzi, a wszystkie wysadzane szlachetnymi kamieniami. Nie sądzę, żeby ktokolwiek z obecnych mógł wymienić nazwy choćby części z nich.

Zapadło milczenie, jakbyśmy wszyscy jednocześnie wstrzymali oddech. Dopiero po chwili rozległy się okrzyki zdumienia. Siedzący dalej biesiadnicy wstali i stłoczyli się wokół kupca, chcąc napaść oczy tymi wspaniałościami. Nikt jednak nie ważył się tknąć drogocennych przedmiotów. Widok ten onieśmiał i przytłaczał. Chyba wszyscy wiedzieliśmy, iż możemy na nie tylko patrzeć. Nikt się nie łudził, że coś z tego może się stać jego własnością.

Byłem wśród tych, którzy podeszli bliżej, oszołomieni bogactwem i różnorodnością towarów. Skupiłem uwagę na przedmiocie, który leżał najbliżej mnie.

Pas ze złocistego futra, gładki i lśniący, błyszczał nawet wśród rozsypanych wokół kosztowności, a przynajmniej tak mi się wydawało. Zapięcie z nie znanego mi dużego żółtobrazowego kamienia wyrzeźbiono w kształcie kociej głowy. Przyjrzawszy się klamrze zauważyłem, iż nie był to nasz domowy oswojony łowca, ale krewniak śnieżnego kota ze wzgórz, najgroźniejszego drapieżnika w całym Arvonie.

- Czy to cię interesuje, paniczu Kethanie?

W owej chwili nawet się nie zdziwiłem, że Ibycus zwraca się do mnie po imieniu i że znalazł się obok mnie. Pozostali biesiadnicy wciąż kłębili się przy stole z kosztownościami i dopiero teraz wyciągali ręce po ten, to ów przedmiot. Wszyscy naraz mówili o tych, które najbardziej im się spodobały.

Kupiec podniósł pas i wyciągnął go ku mnie.

- To piękny wyrób, paniczu. Klamra jest z cyrkonu. To dość pospolity kamień, ale wyrzeźbił ją mistrz, który dobrze znał swoje rzemiosło.

Coś podkusiło mnie, żeby zapytać:

- A futro?

- Futro... Ach, futro jest lamparcie. Ostatnio dość rzadko widuje się te zwierzęta. Są równie groźnymi myśliwymi jak ich śnieżni kuzyni, tylko nieco od nich mniejsze.

Palce aż mnie swędziały, żeby dotknąć pasa. Opanowałem się całą siłą woli, bo czułem, że gdybym to zrobił, nigdy już bym go nie odłożył. A nie miałem za co go kupić.

Ibycus uśmiechnął się i skinął głową, jakby odpowiedział sobie samemu na zadane w myśli pytanie. Potem zaś odwrócił się do pana Eracha.

Wycofałem się z kręgu światła przy stole i szybko opuściłem Wielką Salę. Chęć posiadania tego pasa tak paląca, że traciłem nad sobą kontrolę, przeraziła mnie. Stałem w ciemności, zastanawiając się, czy takie właśnie szaleństwo popycha człowieka do kradzieży.

## **O podarunku pani Eldris i o tym, co się wydarzyło podczas pełni księżyca.**

Udałem się do mojej komnaty, do głębi wstrząśnięty uczuciami, jakie wzbudził we mnie piękny pas. Wyciągnąłem się wprawdzie na łożu, ale wcale nie chciało mi się spać. Blask księżyca w nowiu jeszcze nie wpadał do wnętrza. Leżałem więc w ciemności, tak jak robiłem to przez wiele lat w tej samej nieco pustawej komnacie.

Ten pas! Wystarczyło, że zamknąłem oczy, a widziałem go w wyobraźni. Lśnił zupełnie tak samo jak w Wielkiej Sali. Przyszła mi do głowy dziwna myśl, że ten kawałek futra, który nie dawał mi spokoju, żyje własnym życiem. Gorąco pragnąłem pogłodzić jego miękką powierzchnię, wziąć do ręki misternie rzeźbioną klamrę, zajrzeć w głąb kamienia, wzorem Mędrców zobaczyć tam przyszłość.

Wreszcie nie mogąc uleżeć w łożu - tak mnie zdenerwowała owa dziwaczna żądza posiadania - wstałem i podszedłem do wąskiego okna. Oparłem łokcie o wysoki parapet. Stałem tak jakiś czas, wpatrując się w ciemność.

Wieża Młodzieńców była najdalej wysuniętą na północ częścią Zamku. Widziałem niewyraźnie pobliskie pola i sady (wioska leżała na południe od Car Do Prawn). Za nimi rósł las, prawdziwy żywy mur odgradzający nas od wysokich wzgórz, w których kryło się tak wiele niesamowitości, że instynktownie unikaliśmy tych miejsc.

Tam właśnie uciekli ci, którzy wywołali w przeszłości wielką katastrofę. Nie mogli już opuścić gór i lasów, gdyż uwięziła ich niewidzialna zaporą Mocy tak silnej, jaka mogli przywołać tylko Mędrzy i Siedmiu Wielmożów. Nikt nie wiedział, czy ktoś z nich tam pozostał, czy też wrogowie otworzyli Bramy między światami (a bardzo dobrze umieli nimi manipulować) i opuścili nasz świat.

Pomniejsi z ich sług nadal nam zagrażali. Ponieważ jednak, zgodnie ze swą naturą, byli związani z pewnym terytorium i rzadko oddalali się poza ów „wybieg”, mogliśmy ich się wystrzegać. Zresztą niektórzy z nich na swój sposób stali się częścią systemu obronnego naszej ojczyzny: krążyli wzdłuż granicy pilnując, by żaden przybysz z Krainy Dolin nie zapuścił się na północ.

Kraina Dolin! Przypomniałem sobie słowa Pergvina - mój nauczyciel był jednym z tych, którzy podążyli Drogą Pamięci, Drogą Smutku, którzy wycofali się do Arvonu w dniach grozy. Jej obecni mieszkańcy, nie należący do naszej rasy i nie władający mocami, byli barbarzyńcami i tylko kilka pokoleń oddzielało ich od

chaosu. W porównaniu z nami żyli bardzo krótko: wydawało się, że podczas jednego tylko dnia dorastali i umierali ze starości, która znaczyła ich zgubnym piętnem już w chwili narodzin. Nie zadawaliśmy się z nimi.

Noc była ciemna, gwiazdy połyskiwały w górze jak klejnoty, które pokazał nam Ibycus. Północny wiatr wpadł w okno i zmroził lodowatymi palcami moje nagie ciało. Mimo to nie ciągnęło mnie do łoża pod ciepłe okrycia.

Podniosłem wysoko głowę, chłonąc rozdętymi nozdrzami wiatr. Czułem dziwne podniecenie. Nocny mrok przyciągał i wabił. Uderzyła mnie nagła myśl: jak by to było, gdybym biegł nago przez wysoką trawę i na oslep rzucił się w wody strumienia?

Podniecenie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Zadrzałem. W mroku kryło się zło, a nie dobro. Odszedłem od okna i usiadłem na łożu. Nagle poczułem senność. Ziewnąłem, oczy mnie zapiekły, jakbym długo nie spał. Położyłem się i zasnąłem.

Przyśnił mi się jakiś sen i obudziłem się w jednej chwili. Serce biło mi szybko i pot mnie zalewał, a przecież w komnacie wcale nie było gorąco. W wąskim oknie dostrzegłem szarość przedświtu. Usiadłem na łożu. O czym, śniłem?

Nie mogłem nic sobie przypomnieć, nie pamiętałem, dlaczego obudziłem się taki... taki... Czy zawładnął mną strach, czy też inne gwałtowne uczucie? Nie wiedziałem. Zdałem sobie sprawę, że już nie zasnę.

Po cichu umyłem się w misce. Woda była chłodna, lecz nie lodowata. Ubierałem się, usiłowałem dotrzeć do zablokowanych wspomnień, natrafić na jakiś ślad snu. Wprawdzie zapomniałem, co mi się przyśniło, ale bez wątpienia ów sen był bardzo ważny. Muszę...

Kiedy tak wykonywałem rutynowe czynności, niezrozumiały impuls począł słabnąć i, gdy bezszelestnie wyszedłem z mojej małej komnatki, nie pozostał już po nim ślad. Czułem się głupio, jakbym śpieszył na spotkanie z kimś, kto nie chce mnie widzieć.

Na środku dziedzińca stał kupiec Ibycus i spoglądał na drzwi, z których wyszedłem. Uśmiechał się lekko. Na mój widok skinął głową. W owej chwili rozumiałem, że to spotkanie było zaplanowane. Nie umiałbym jednak powiedzieć, w jakim celu.

- Choć jeszcze jest wcześnie, zapowiada się piękny ranek, paniczu Kethanie - odezwał się cicho, ale wyraźnie.

Nie wiedziałem, co począć. Kupiec zachowywał się tak, jakby czekał na starego przyjaciela. Gotów byłem przysiąc, że Ibycus wcale nie był kupcem, lecz kimś zasługującym na najwyższy szacunek, jak Naczelny Wódz mojego klanu albo ktoś zajmujący podobne stanowisko.

- Piękny, panie - odzyskałem w końcu mowę.

- Panie? - Ibycus przechylił lekko głowę, przyglądając mi się błyszczącymi oczami, jak towarowi, którego wartość należy ustalić. - Jestem kupcem, a nie Panem Na Zamku.

Ja jednak żywiłem w głębi ducha pewność, że nie zajmowałem się wyłącznie handlem. Spojrzałem mu więc prosto w oczy, czekając na wyjaśnienie.

Ibycus potarł ręką podbródek. Na wskazującym palcu nosił duży pierścień. Owalne, ciemnoszare oczko było matowe, nie przypominało żadnego z drogich kamieni, które nam wczoraj pokazał. Mógłby to być kawałek odłupany z przydrożnego kamienia, osadzony chyba w srebrze. Ale jeśli było to srebro, metal już ściemniał. Ten pierścień był dziwnie ubogi, nie pasował do właściciela takich skarbów.

- Zdaje się, że masz dobry wzrok, paniczku Kethanie - rzekł z uśmiechem kupiec.

Zaczerwieniłem się. Czyżby tak łatwo można odczytać moje myśli? Mówiono, że tylko co potężniejsi władcy mocy mają takie zdolności. Nagle Ibycus wyciągnął ku mnie rękę, nie po to wszakże, by ująć moją dłoń, lecz by zbliżyć ją do moich oczu.

- Co widzisz? - zapytał.

Przesunąłem językiem po wargach. Nie mogłem wprawdzie odgadnąć, czego ode mnie chciał, ale byłem pewny, iż to spotkanie ma jakiś głębszy sens. Posłusznie spojrzałem na pierścień.

Matowoszare oczko zaiskrzyło się i zafalowało jak powierzchnia stawu, gdy wrzuci się do niego kamień...

A potem...

Chyba krzyknąłem głośno, tak bardzo byłem zaskoczony. Przez mgnienie oka widziałem głowę kota, śnieżnego kota szczerzącego ostrzegawczo kły. Obraz ten miał w sobie tyle życia, że trudno mi było go skojarzyć z rzeźbioną klamrą futrzanego pasa.

- Co zobaczyłeś? - powtórzył Ibycus tak władcym tonem, że bez wahania powiedziałem prawdę.

- Ja... ja zobaczyłem głowę śnieżnego kota!

Teraz zbliżył rękę do swoich oczu i sam bacznie się przyjrzał szaremu oczku dziwnego pierścienia. Nagle skinął głową.

- Nie najgorzej, paniczu Kethanie, nie najgorzej.

- Może nie najgorzej dla ciebie - odważyłem się powiedzieć. - Ale co to wszystko znaczy?

- W odpowiedniej chwili, paniczu, wszystko się wyjaśni. I ja dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego przybyłem do Car Do Prawn. Myślisz, że to ja stwarzam tajemnice? - roześmiał się. - Jako mały chłopiec uczyłeś się odczytywać runy poczynając od ich najprostszych połączeń. Czy bez takiego przygotowania umiałbyś przeczytać jakąkolwiek kronikę, gdyby dano ci ją do rąk?

Potrząsnąłem przecząco głową. Chciałem rozgniewać się na kupca za to, że tak mnie traktuje, za jego aluzje i tajemniczość, ale miał w sobie coś, co kazało mi trzymać język za zębami.

- Na pożegnanie dam ci radę, paniczu: kieruj się tym, czego najbardziej pragniesz, a nie tym, czego żądają od ciebie inni. Nawet ja nie mogę odczytać pewnych run. Ich znaczenie wyjaśni się w odpowiednim momencie, a bywa, że czas płynie szybko. Wkrótce otrzymasz pewien dar - ciesz się nim.

Odwrócił się nagle i odszedł, zanim zdążyłem wykrztusić z siebie jakies słowo. Stałem z otwartymi ustami jak ryba wyrzucona z sadzawki. Nie mogłem pójść za nim i zażądać wyjaśnień; coś mnie zatrzymało i kazało milczeć.

Ibycus poszedł prosto do Wieży Dam. Najwidoczniej go tam oczekiwano, bo drzwi otworzyły się natychmiast, gdy zapukał. Ja zaś pozostałem w miejscu, zastanawiając się nad jego słowami.

Nie spotkałem się już z nim na osobności. O zmroku zebrał swoich ludzi i zwierzęta i opuścił Car Do Prawn. Pewne było, że sprzedał część towarów, bo długo bawił u mojej matki i pani Eldris. Pewnie zastanawiały się, na co mogą sobie pozwolić. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, iż tylko niewielka część jego skarbów pozostała w naszym Zamku. I bardzo żałowałem pięknego pasa.

Powtarzałem sobie, że i tak nie mógłbym go kupić. W dodatku w całym Car Do Prawn nie było nikogo, kogo mógłbym prosić o pomoc. Chociaż byłem oficjalnym następcą pana Eracha, nie miałem własnej sakiewki, do której mógłbym sięgnąć.

Trzy dni później przypadał dzień moich urodzin. Kiedy mieszkałem z panią Heroise i Ursillą, nigdy nie urządzały w tym dniu biesiady. Odbывała się tylko



poważna uroczystość, podczas której Mądra Kobieta przy pomocy mojej matki rzucała na mnie jakieś czary. Jak mi tłumaczyły, miały mi one dodać sił i chronić.

Jeżeli nawet obchodziły moje urodziny nadal w taki sam sposób od chwili, gdy przeniosłem się do Wieży Młodzieńców, to nie żądały mojej obecności. Dzień ów stał się dla mnie taki jak inne, tyle że teraz byłem starszy i wymagano ode mnie więcej mądrości i siły.

Byłem więc zaskoczony, kiedy pani Eldris wezwała mnie do siebie, a jako powód podała moje urodziny. Poprzedniej nocy wróciła Thaney, eskortowana przez Maughusa, ze stosownym orszakiem dworek i służebnych. Ubierając się w najnowszy i najpiękniejszy z moich odświętnych kaftanów (z wyhaftowanym herbem, oznaką dziedzica Car Do Prawn), zastanawiałem się, czy zamierzano tego dnia ogłosić nasze zaręczyny.

Do Wieży Dam udałem się późnym popołudniem. W jej wnętrzu panował już półmrok, więc służebna, która mi otworzyła, trzymała w dłoni jasną i wonną lampę. Poszedłem za nią na pierwsze piętro do komnat, w których królowała moja babka. Znałem je słabo, znacznie lepiej pamiętałem wyższą kondygnację, gdzie kiedyś był mój dom. Światło dzienne w ogóle nie docierało do sali audiencyjnej, gdyż ściany zasłonięto wyblakłymi draperiami. A jednak tu i ówdzie blask lamp wyławiał z mroku wyhaftowaną ludzką twarz lub groteskowe zwierzę i nadawał im pozory życia.

Pały się wszystkie lampy, wydzielając ciepło wraz z wonnym dymem. Tuż po wejściu do komnaty zrobiło mi się duszno. Miałem ochotę zerwać draperie, znaleźć okno i puścić do środka trochę świeżego powietrza...

Pani Eldris siedziała na krześle z wysokim oparciem między dwiema wysokimi kolumnowymi lampami. W jej grubych, ciemnych warkoczach, które sięgały jej poniżej pasa, nie dostrzegłem siwizny. Połyskiwały w nich złote i zielone nici i jasnożółte kamienie. Ona także była ubrana w odświętny sztywny kaftan. Wielki zielony kamień spoczywał na jej czole jak trzecie oko.

Podobnie jak Pergvin niewiele się postarzała; wyglądała na kobietę w średnim wieku. Dostojeństwo i powaga cechowały jej każdy gest; w przeciwieństwie do mojej matki umiała skryć swą arogancję i żądzę władzy.

Zachowywałem się nienagannie. Ukłąłem i musnąłem wargami rękę, którą mi podała - zimną pomimo panującego w komnacie ciepła. Pochylając dwornie głowę, doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie spogląda na mnie z zadowoleniem jak na Maughusa, ale wyniośle i z niechęcią, jak zwykle.

- Witaj, Kethanie - powiedziała sucho.

- Niech los ci sprzyja, a słońce długo i jasno świeci, o pani - odparłem zgodnie z obyczajem.

- Wstań, chłopcze. Pokaż, na co wyrosłeś! - rozkazała z irytacją. Z jakiegoś powodu zgodziła się na to spotkanie, lecz nie zamierzała uczynić go łatwiejszym ani dla siebie, ani dla mnie.

Podniosłem się z kolan i dopiero teraz zauważyłem, że pod ścianą stały dwie dworki mojej matki. Pani Heroise i Ursilla były nieobecne. Na znak dany przez panią Eldris i podeszła do nas jakaś dziewczyna. To nie mógł być nikt inny, tylko Thaney.

Wykapana pani Eldris. Wyglądała tak jak jej babka przed wielu, wielu laty, kiedy nieznany Zwierzolak rzucił na nią czar miłosny. Dorównywała mi wzrostem, a sztywne fałdy sukni i kaftana osłaniały dojrzałe, gotowe do małżeństwa ciało. Miała takie same ciemne włosy jak jej babka, lecz uczesane w wielki kok i spięte zdobionymi drogimi kamieniami szpilkami i grzebieniami.

Tak jak pamiętałem, miała regularne rysy twarzy, ale wykrzywione niechęcią usta wydawały się zbyt małe i cienka zmarszczka już rysowała się między brwiami. Nie uśmiechała się, była nadaśana, jakby pragnęła być w tej chwili w zupełnie innym miejscu.

Wiedziałem, jak powinienem się zachować, ale budziło to we mnie coraz większą niechęć. Nie miałem jednak wyboru. Ująłem więc jej dłonie i pocałowałem w policzek. Była bardzo spięta i zrozumiałem, że robiąc to, co nakazywał zwyczaj, ściagam na siebie jeszcze większą niechęć mojej kuzynki.

- Jest prześliczna!

Moja narzeczona nie zareagowała, nie wymówiła nawet mojego imienia na powitanie. To pani Eldris przerwała milczenie, które zapadło po moich słowach.

- No dobrze, dziewczyno - zwróciła się do Thaney. - Nie będzie ci tak źle. Jemu też nic nie brakuje...

To wcale nie był komplement. Przez cały czas wyczuwałem, jak bardzo mną pogardzają w duchu. Równie dobrze mogłyby to wykrzyczeć głośno. Postanowiłem jednak, że żadna nie dowie się, iż je przejrzałem. Zaręczyny - chociaż były uroczystą ceremonią - to jeszcze nie ślub. Uczepiłem się tej myśli, ponieważ zrozumiałem, iż nigdy nie ożenię się z Thaney. Muszę znaleźć jakiś sposób na odzyskanie wolności.

Pani Eldris nie czekała na naszą odpowiedź. Otworzyła leżącą na kolanach jedwabną sakiewkę i wyciągnęła z niej...

Pas z lamparciej skóry!

Na jego widok ożyła we mnie piekąca chęć, by zdobyć go na własność, uczucie, o którym zdążyłem już w części zapomnieć.

- To odpowiedni dar, to symbol twojej przyszłości, dziewczyno. Tworzy zamknięty krąg, jakim powinno być twoje małżeństwo. Podaj go - ze słowami przysięgi na ustach - twemu przyszłemu małżonkowi!

Thaney nie od razu sięgnęła po trzymany przez babkę pas. Czy obawiała się, że jeśli zrobi to, czego żąda od niej pani Eldris, nieodwracalnie zwiąże się z przyszłością, której nie akceptuje? Wszelako nie odważyła się zignorować tego rozkazu.

Wzięła pas i odwróciła się do mnie, a w jej głosie brzmiała irytacja, która wykrzywiła jej usta, gdy mówiła:

- Panie, przyjmij ode mnie ten symbol naszej przyszłej jedności.

Słuchałem jednym uchem. Liczył się tylko pas. Opanowałem się jednak i nie wyrwałem go z jej ręki. Zachowałem też dość przytomności umysłu, żeby podziękować obu paniom.

Thaney nawet nie skłoniła głowy, kiedy skończyłem mówić, a jej babka uśmiechnęła się drwiąco.

- Pilnuj go dobrze, Kethanie - rzekła. - To naprawdę wielki skarb. Możesz teraz odejść. Wypełniłam warunki umowy i jestem już zmęczona...

Odprawiła mnie tak nagle, że wpadłem w gniew. Lecz tak naprawdę był on powierzchowny, ledwie zadraśnięto moją dumę. W istocie z ulgą opuściłem duszną komnatę, okręciwszy wokół ręki mój skarb. Wracając do siebie gładziłem futro, rozkoszując się jego jedwabistą miękkością. I nie włożyłem go do kufra wraz z odświętną odzieżą. Przyszła mi bowiem do głowy myśl, żeby nałożyć go na gołe ciało i ukryć pod kaftanem. Nie dostrzegłem nic dziwnego w swoim postępowaniu. Wręcz przeciwnie, czułem, że to, co robię, jest dobre i właściwe.

Nawet kładąc się do łóża nie zdjąłem pasa. I znów nie mogłem zasnąć. Podniosłem się i długo stałem przy oknie wpatrując się w mrok. A kiedy wzeszedł księżyc, uświadomiłem sobie, że muszę stąd wyjść - odzyskać wolność - opuścić tę kupę zniszczonych przez czas kamieni.

Ubrałem się w spodnie i buty do konnej jazdy, nie tracąc czasu na włożenie koszuli ani kaftana. Wymknąłem się z Zamku przez bramę, której w czasie pokoju nie strzegli wartownicy. Targała mną dzika radość, upojony gnałem wciąż dalej i dalej.

Przebiegłem przez pola i znalazłem się wśród krzaków na skraju lasu. Szedłem trzymając się brzegu strumienia, a drżąca w księżycowej poświacie woda śpiewała u mego boku. W końcu dotarłem do polany, gdzie miesiąc srebrzył gładź leśnego jeziora. Zdarłem z siebie ubranie, wskoczyłem do wody, nabrałem jej w dłonie, ochlapałem się. Pas ciemniał na moim ciele, a jego klamra dosłownie zapaliła się od księżyca. Nigdy dotąd nie widziałem podobnego zjawiska. Żółtobrazowy kamień świecił coraz jaśniej, aż otoczyła mnie ognista chmura. Byłem jak oszalały, widziałem tylko jarzącą się głowę lamparta.

## O ostrzeżeniu Ursilli i o ciemnej chmurce nad Arvonem

Kiedy obudziłem się o świcie, ptaki śpiewały w gałęziach drzew. Woda już nie płonęła w miesięcznej poświacie, chociaż blednący srebrny dysk nadal wisiał na zachodzie. Mrugałem oczami, oszołomiony otoczeniem, a w pamięci wciąż miałem dziką, upojną noc, kiedy to lepiej widziałem i słyszałem, odbierałem więcej zapachów niż kiedykolwiek dotąd i czułem, że naprawdę żyję. Oddychałem wolnością, za którą tak długo tęskniła jakaś częśćka mojej istoty. Musiałem wrócić do Zamku. Czułem, iż będzie to powrót do klatki, ale nie miałem wyboru.

Instykt ostrzegł mnie, że gdyby dowiedziano się o moim nocnym szaleństwie, nie pozwolono by mi go powtórzyć. Należało więc wrócić niepostrzeżenie. Usiadłem szybko, sięgnąłem po leżące w zasięgu ręki spodnie i buty i włożyłem je na mokre od rosy ciało. Pas był teraz tylko pasem.

Nawet klamra wydawała się bardziej matowa, niby na wpół wypalona w blasku księżyca. Mimo to pogłaskałem go czule.

Było bardzo wcześnie. Miałem nadzieję, że uda mi się wrócić, zanim w Zamku zacznie się ruch. Skradałem się więc wśród zarośli jak zwiadowca zbliżający się do obozu wrogów. Przemknąłem wreszcie przez bramę. Biegąc do Wieży Młodzieńców musiałem jednak minąć wejście do kobiecych komnat. Ktoś wyszedł z cienia i zastąpił mi drogę.

Ursilla!

Nie sposób było uniknąć tego spotkania. Mądra Kobieta przywołała mnie ruchem ręki, zarazem cofając się pod zwieńczone łukiem drzwi do Wieży Dam.

Nic nie powiedziała, a ja przestępowałem z nogi na nogę. Nagle wskazała na wpół ukryty pas - nie miałem na sobie kaftana.

- Skąd to masz? - szepnęła ochryple. Instyktownie zasłoniłem rękami klamrę. Wydało mi się, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo. Poza tym - była czarownicą czy też nie - czułem złość na sobie, że jak niemowa stoję posłusznie przed Ursillą.

- To dar od pani Eldris i Thaney. Wręczyła mi go jako symbol zaręczyn.

Rysy Ursilli wyostrzyły się, a wargi cofnęły, odsłaniając zęby jak u rozwścieczonego psa.

- Oddaj mi to! - syknęła. Wyciągnęła zgięte niby szpony palce, jakby chciała zerwać ze mnie pas. - Oddaj mi to!

Czas posłuszeństwa przysł.

- Nie! - krzyknąłem. Potem odwróciłem się i pobiegłem, nie bacząc, czy ktoś mnie widzi. Dopiero gdy znalazłem się w swojej komnatce i stanąłem dysząc ciężko, zapanowałem nad paniką, która pchnęła mnie do ucieczki. Osunąłem się na skraj wąskiego łóża i usiłowałem rozeznaczyć się w gmatwaninie uczuć, które mną targwały. Co kazało mi uciekać jak przerażonemu dziecku?

Poczucie swobody, z jakim się obudziłem, zniknęło. Jej miejsce zajęło przykre napięcie zmieszane ze strachem. Byłem w klatce - a Ursilla chciała mnie w niej zatrzymać. Już ona dopilnuje, żebym już nigdy nie przeżył takiej nocy! Było to dla mnie jasne, jakby napisane ognistymi runami na murze naprzeciw mnie. Pas!

Zdjąłem go, zbliżyłem kłamrę do oczu i przyjrzałem się jej. Tak, zmatowiała lekko. Ale Ursilla nigdy mi go nie zabierze - w żaden sposób! Ten pas był prawdziwie mój - i to tak bardzo mój jak nic nigdy do tej pory. Zrozumiałem to już w chwili, kiedy zobaczyłem go wśród skarbów Ibycusa. Nie obchodziło mnie, że pani Eldris posłużyła się nim być może do realizacji swoich celów. Liczyło się tylko to, że mogłem znów go założyć. I zrobiłem to, sprawdzając dobrze zapięcie.

Ursilla może sobie być władczynią mocy, lecz nie odbierze mi pasa. Nie wiem dlaczego, ale byłem o tym całkowicie przekonany.

Niełatwo jednak było wymknąć się czarownicy. Wczesnym popołudniem otrzymałem wezwanie. Ćwiczyłem właśnie szermierkę z Pergvinem i zasłużyłem sobie na jego uznanie. Triumfowałem, ponieważ mój mistrz był bardziej skłonny do krytyki niż do pochwał. Może uczucie pełni życia, jakiego użyczył mi niezwykły pas, zapewni mi szacunek i pozostałych mieszkańców Car Do Prawn? Byłem więc w świetnym humorze, którego nie zwarzyło nawet pośpieszne wezwanie do komnaty mojej matki.

Nie miałem wątpliwości, że musi to być jakaś sztuczka Ursilli i że będę musiał bardzo uważać w komnatach, gdzie miała największą moc. Ale przestałem już być małym chłopcem, któremu kobiety mogły rozkazywać. Poczułem się mężczyzną, panem własnego losu.

Mijając komnaty pani Eldris i Thaney nie zauważyłem ich mieszkańek. Ciężkie zapachy zniknęły, gdy wszedłem na piętro, gdzie królowała moja matka z nieodłączną Ursillą z boku. Pokój, do którego wpuściła mnie jej osobista służebna, nie był obwieszony gobelinami. Przez nie zasłonięte okno wpadało dzienne światło i zapach siana suszącego się na polu.

Komnata była bogato umeblowana, a paradne krzesło mojej matki miało takie

same poduszki i wysokie oparcie, z przewieszonym przezeń czerwonym płaszczem naszego klanu jak u pani Eldris. Na kamiennych ścianach zamiast gobelinów wisały oprawione w ramki kawałki pergaminu z wizerunkami niesamowitych zwierząt i ptaków. Ich namalowane jaskrawymi barwami łuski, pióra, pazury i rogi połyskiwały jak drogie kamienie.

Pani Heroise siedziała przy stoliku, na którym leżał właśnie taki malowany pas pergaminu. Moja matka wypełniała farbą ciemne kontury, ostrożnie znacząc szkarłatne plamki, po czym, już innym pędzlem, dodawała do każdej z nich jedną lub dwie złote kropki. Kiedy wszedłem, nie podniosła głowy, nie powitała mnie.

Od dawna przywykłem do takiego traktowania i wiedziałem, że nie podniesie oczu, dopóki nie skończy tej części obrazu, nad którą właśnie pracowała. Poczuję się zaskoczony, bo była sama, gdy ja spodziewałem się zastać tu Ursillę.

Pani Heroise położyła oba pędzle na wąskiej tacce i odsunęła ją od siebie. Dopiero wtedy przyjrzała mi się. Wzrok miała zimny i krytyczny.

- Jesteś głupcem! - powiedziała w końcu.

Ponieważ już nieraz spotkało mnie takie przyjęcie, nie poczułem się urażony. Chciałem tylko, żeby jak najszybciej przeszła do sedna sprawy i wyjaśniła, pod jakim to względem jestem głupcem.

- Pozwoliłeś im przywołać się do nogi, jakbyś był psem ze sfory pana Eracha - mówiła dalej. - Dlaczego urodziłam syna, który nie ma dość rozumu w głowie, żeby nie zorientować się, kiedy ktoś chce go wykorzystać do swoich celów? - Wzruszyła ramionami i dodała: - Ale na szczęście można naprawić to, co się stało.

Nadal czekałem. Moja matka lubiła zbaczać z tematu robiąc osobiste przytyki. Kiedy byłem dzieckiem, takie wybiegi wywierały na mnie pewne wrażenie: niepokoiłem się, nie wiedząc, w czym zawiniłem. Teraz zaś, po latach, umiałem zapanować nad uczuciami, jakie budziły we mnie jej słowa, i czekać, aż przejdzie do rzeczy.

- Pani Eldrig jest... - zaczęła, po czym zawahała się. Już wcześniej dowiedziałem się, że pani Heroise i jej matki nie łączyła miłość, lecz tylko wątpiła nić sympatii, chociaż gdy się spotykały, były dla siebie bardzo uprzejme i, jak nakazywał zwyczaj, demonstracyjnie tworzyły jednolity front. Jasne było, iż moja matka zastąpiła panią Eldris w rządach nad Car Do Prawn, ale nigdy nie zauważyłem, żeby babka z tego powodu czuła jakąś urazę. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że pani Eldris z ulgą przekazała troski i obowiązki gospodyni swojej córce.

- Wpadłeś w jej sidła - oświadczyła teraz pani Heroise. - Jeżeli na czas nie wyzwolisz się spod wpływu... - Znow się zawahała, ale w końcu zdecydowała się powiedzieć mi prawdę. - Ten pas jest przeklęty.

Wierzyła w to, co mówiła. Ale ja nie wątpiłem, że to Ursilla ją o tym poinformowała.

- Pod jakim względem? - Po raz pierwszy przerwałem milczenie.

- To własność Zwierzotaka. Ursilla zrozumiała to natychmiast, gdy zobaczyła ten pas. Na nasze nieszczęście pani Eldris również o tym wie. Dostrzegła szansę uzyskania tego, czego od dawna pragnie.

- A mianowicie? - zapytałem powtórnie. W dzieciństwie zawsze pozwalałem sobą kierować. Teraz po raz pierwszy w życiu myślałem samodzielnie i byłem sobą. Może dlatego, że jeszcze trwał dzień, w którym zakosztowałem prawdziwej swobody.

- Ona chce, żeby to Maughus został dziedzicem Car Do Prawn.

Moja matka znow powiedziała otwarcie o nie wypowiedzianej wojnie, która toczyła się od lat między nią a panią Eldris.

- Dała ci tę przeklętą rzecz w takich okolicznościach, że nie mogłeś odmówić jej przyjęcia, bo to symbol zaręczyn. Ten pas już zaczął działać... Dokąd pobiegłeś ostatniej nocy i w jakiej postaci, Kethanie? - Pochyliła się ku mnie, a jej oczy zdawały się płonąć, gdy na mnie patrzyła. Wprawdzie nie tak jasno, ale w taki sam sposób jak klamra mojego pasa w księżycowej poświacie.

- Spałem nad leśnym strumieniem. Nigdzie nie pobiegłem. I nie jestem zmiennokształtny, pani.

Tak, to był rezultat wścibstwa Ursilli. Nagle przypomniałem sobie inną twarz, twarz chytrego, sympatycznego kupca. Co mi powiedział podczas naszego spotkania? „Kieruj się tym, czego najbardziej pragniesz, a nie tym, czego żądają od ciebie inni. Otrzymasz pewien dar. Ciesz się nim”.

Odpowiedziałem pytaniem:

- Od kogo pani Eldris dowiedziała się, że w ofiarowanym mi podarunku kryje się moc?

- Od tego kupca, a od kogóż by innego? Ursilla wyczuła w nim władcę mocy. Może to tylko jeden z tych, którzy mają siac niezdolność i niesnaski. Kiedyś było takich wielu. Krążyli wśród naszych ludzi, starając się wpłynąć na nich tak czy inaczej. Ursilla wróżyła z gwiazd. Ich układ nie jest dobry dla Car Do Prawn, a może nawet dla całego kraju.



- Powiedziałaś, że pani Eldris trzyma stronę Maughusa. Wiem o tym. Ale zwyczaj pozostaje zwyczajem. Nie można zmienić faktu, że jestem twoim synem. - Szukałem drogi ostrożnie, jak zwiadowca na obcym terenie, lecz miałem do czynienia ze słowami, nie zaś z plamami cienia wśród pól.

- Głupcze! - Moja matka wstała, niecierpliwie odpychając stolik. Słoik z farbą spadł i rozbił się na kamiennej podłodze. Pani Heroise nie zwróciła na to uwagi. - Zmiennokształtnemu zawsze grozi niebezpieczeństwo. Jeżeli nie jest się wytrenowanym Zwierzolakiem, nie kontroluje się takich zmian postaci. Czy sądzisz, że zaakceptowano by cię jako Pana Na Zamku, gdyby ktokolwiek z Car Do Prawn poznał twoją słabą stronę? To się już kiedyś zdarzyło. Pani Eldris urodziła przed Erachem innego dziedzica. Był on półkrwi Zwierzolakiem, a kiedy to wyszło na jaw, jego matka i wszyscy mieszkańcy Zamku wygnali go. Ty zaś nawet trochę nie jesteś Zwierzolakiem. Noś dalej ten przeklęty pas, a nie zdołasz zapanować nad zmianą postaci! Czy myślisz, że Thaney... Że jakakolwiek panna wyszłaby wtedy za ciebie? Przepędzono by cię tak jak tamtego. I im dłużej będziesz lgnął do tej straszliwej rzeczy - tym większy wywrze na ciebie wpływ! Oddaj mi to! Wyciągnęła rękę władczym gestem. Wierzyła w to, co mówiła. Ale ja nie. Dla mnie to było tylko piwo, które nawarzyła Ursilla. Nie zapomniałem, jak patrzyła na kupca, ani ruchu jej palców, gdy chciała rzucić na niego czar. Nigdy jej nie lubiłem, a od spotkania z Ibycusem strach i zażenowanie ustąpiły miejsca nienawiści, prawie obrzydzeniu.

- To rozkaz Ursilli, nie twój - powiedziałem powoli. Moja matka opuściła rękę. Przesunęła językiem po wargach, jakby zlizywała z nich coś, co jej nie smakowało. Zmrużyła oczy i jej twarz stężała jak maska.

- Masz mnie słuchać!

Aż do tej chwili nie przypuszczałem, że znajdę w sobie dość sił, żeby się przeciwstawić. I kiedy to zrozumiałem, na chwilę ogarnęło mnie to samo uniesienie, z jakim się obudziłem. Cóż mnie obchodziły intrygi?

Kiedy nie odpowiedziałem, pani Heroise nagle uśmiechnęła się, jakby zdołała opanować gniew, który mi okazała.

- Doskonale. - Zmiana tonu nastąpiła zaskakująco i nagle. - Czepiaj się więc swojej zabawki, chłopczyku. Sam się przekonasz, że miałam rację, a wtedy módl się, żeby nie i było za późno i żebyś nie stracił wszystkiego przez własną głupotę. I nie pokazuj mi się na oczy, dopóki nie uświadomisz sobie, jakie są twoje obowiązki.

Usiadła, spokojnie przysunęła do siebie stolik i wzięła do ręki pędzel.

Przestałem dla niej istnieć. A jednak musiała się pogodzić z moim chwilowym zwycięstwem. Dawniej byłoby to nie do pomyślenia.

Głęboko zamyślony opuściłem Wieżę Dam. Czy Ursilla mówiła prawdę? Czy ów dziwny kupiec dla jakichś własnych celów sprzedał pani Eldris narzędzie, którego będzie mogła użyć przeciwko mnie? Jakie argumenty mogłem przeciwstawić słowom mojej matki? Wrażenie, jakie wywarł na mnie Ibycus, nieznaną dotąd stanowczość i pewność siebie, wspomnienie swobody, której zaznałem w księżycową noc? Tak niewiele, a przecież to wszystko sprawiło, iż nie uwierzyłem, że moja matka - albo Ursilla - mogą mieć całkowitą rację.

Pani Eldris nigdy mi dobrze nie życzyła, a Thaney na pewno myślała tak samo. Kto w całym Car Do Prawn żywił dla mnie przyjaźń? Dla mojej matki i Ursilli miałem być tylko narzędziem. Pan Erach nie okazywał mi nawet cienia sympatii i zaledwie mnie tolerował. Maughus na pewno mnie nienawidził. Pergvin? Może tylko on.

A właśnie jego nie mogłem zapytać o pas. Wiedziałem, co mi powie: oddaj go, bo stracisz i tę odrobinę popularności, którą zyskałeś. Idąc przez dziedziniec, czułem się bardzo samotny. Gdy znalazłem się u siebie, rozwiązałem kaftan, wyciągnąłem koszulę ze spodni i sięgnąłem do zapinki pasa. Nie mogłem jej odpiąć!

Szarpałem coraz mocniej. Zapięcie pozostało nienaruszone, jakbym nigdy go nie odpinał. Wpadłem w panikę.

Ma moment uwierzyłem, że pas jest zaczarowany i że może mną zawładnąć.

Chwiejnym krokiem podszedłem do okna i oparłem się o parapet, oddychając gwałtownie zimnym powietrzem. Serce biło mi szybko i palce drżały, kiedy dotknąłem nimi cyrkonowej klamry, starając się opanować. Nie mogę sobie pozwolić na otwarcie wrót dla strachu - powtarzałem w myśli. Spokojnie, tylko spokojnie, muszę obluzować zapięcie...

Wytarłem spocone palce o spodnie i siłą woli je opanowałem. Nie można konwulsyjnie szarpać klamry! Popchnąć... o tak...

Głowa lamparta rozluźniła uścisk, pas osunął się i byłby upadł na podłogę, gdybym w porę go nie złapał.

Zły na siebie, podniosłem go ku światłu. Więc to tak chciano mnie urobić - zmusić, żebym uwierzył w tamte opowiadki. Ledwie zapięcie klamry się zacięło, a mnie już się wydało, że będę nosić „przeklęty” pas po wiek wieków! „Jesteś głupcem!” - powiedziała moja matka. Spoglądając teraz na pas zrozumiałem, że była

w błędzie. Ale będę głupcem na pewno, jeśli pozwolę, żeby mną rządzono.

Niezwykłe odczucia, jakie od pierwszego wejrzenia obudził we mnie pas, powróciły rzeką. To bezcenny skarb! Nie ma w nim nic złego. Wręcz przeciwnie, w chwilach zachwytu nad nim czułem się bardziej wolny niż kiedykolwiek. Jeżeli Ursilla znów zechce zakuć mnie w kajdany, musi mi go odebrać. Ale niedoczekanie!

Z determinacją znów się nim przepasałem i na wierzch nałożyłem koszulę i kaftan. Sznurowałem właśnie kaftan, kiedy zjawił się Pergvin przekazując polecenie pana Eracha, bym nie mieszkając stawiał się w Wielkiej Sali.

Zastałem tam ważne osobistości. Nie znaczy to, bym piastował jakieś funkcje czy mógł wypowiadać swoją opinię, ale jako oficjalny dziedzic Pana Na Zamku musiałem być obecny, gdy w trakcie narad podejmował on decyzje. Przybyli tam: Cadoc, dowódca i marszałek Car Do Prawn, oraz Hergil, spokojny starszy mężczyzna, którego pasją było prowadzenie rejestrów i kronik i który, jak mówiono, dużo wiedział o Zwierzolakach. Hergila przez ostatni miesiąc nie było w Zamku, lecz prawie nie zauważało się nieobecności tego skromnego, nie rzucającego się w oczy człowieka. Rzadko się odzywał, ale kiedy trzeba było przywołać z przeszłości jakieś wydarzenie, to zwracano się właśnie do niego o potwierdzenie.

Maughus bardzo umocnił swoją pozycję. W miarę upływu czasu wydawało się, że różnica wieku między nami nie maleje, a wręcz się powiększa. Niegdyś dręczył mnie i mną pomiatał, obecnie ignorował całkowicie. Wcale mi to nie przeszkadzało. Teraz siedział obok swego ojca. Obracał trzymanym w palcach kielichem, jakby podziwiał zatarty wzór wyryty na jego bokach.

Wślizgnąłem się na miejsce obok Hergila (nikt z obecnych nie dał po sobie poznać, że zauważył moją obecność), jak zwykle przytłoczony panującą w tym miejscu zimną i ciężką atmosferą.

- A więc to prawda, że odbędzie się przegląd wojsk. Staniemy razem z Naczelnym Wodzem Aidanem, podobnie zrobią Czerwone i Zielone Płaszczce. - Monotonna mowa pana Eracha miała służyć podkreśleniu niepomysłnych wieści.

- A co ze Srebrnymi? - zapytał Cadoc.

- Tego nie wie nikt. Wiadomo tylko, że posłańcy krążyli pomiędzy Zamkami z kresów zachodnich a wnętrzem Arvonu.

- Srebrne Płaszczce zawsze wołały zawierać sojusz z Głosami z Gór - zauważył Hergil. - To oni bronili Sokolego Szpona prawie przez pół roku w dniach poprzedzających Wygnanie, kiedy opuściliśmy Krainę Dolin Drogą Pamięci. Połowa

ich krwi należy do Najstarszej z Ras.

- Ale kto mać wodę? - zapytał nagle Maughus. - Jako posłaniec odwiedziłem około dwudziestu Zamków. Ludzie wszędzie są zaniepokojeni. W dalsze podróże wyruszają pod bronią. A przecież nikt nie doniósł o żadnym napadzie Dzikich Ludzi z Wyżyn i nie zagrał róg wojny.

Pomyślałem o słowach Pergvina, że fale niepokojów w Arvonie zachowują się jak pływy morskie i że zbliża się kres długiego pokoju. Nie znając wroga, czuliśmy większy lęk, niż gdybyśmy wiedzieli, kto nim jest.

- Nic nie wiemy - odpowiedział jego ojciec. - Lecz z powodu naszego dziedzictwa możemy wyczuć zbliżającą się burzę. Podobno Głosy Mocy czytają w gwiazdach i przepowiadają przyszłość. Nikomu jednak nie przekazano ostrzeżenia. Równie dobrze może otworzyć się jakaś brama, przez którą wróci coś przerażającego, silniejsze i lepiej uzbrojone, gotowe nas zaatakować.

- Jest jeszcze coś - odezwał się Hergil. Chociaż mówił cicho, wszystkie spojrzenia się nań skierowały. - Ostatnimi czasy stoczono w naszym świecie wiele wojen. Mieszkańcy Krainy Dolin długo walczyli z okrutnymi najeźdźcami i dopiero po latach ich wyparli. Za morzem nasi kuzyni również podjęli walkę i chociaż zwyciężyli, to osiągnęli je kosztem takiego wysiłku mocy, że przez całe pokolenia nie będą mogli z niej korzystać w większym wymiarze. Moc zaś jest podstawą naszej obrony. Niestety wysączyły ją kropla po kropli zarówno nowe ludy, które nie należą do naszej rasy, jak i pokrewne nam narody. Kto wie, czy taki odpływ mocy nie osłabił zabezpieczeń naszego świata, czy ci spoza jakiejś bramy nie wiedzą, że znów mogą przeciw nam wystąpić?

- Nie ma co, przyjemnie to słyszeć! - skwitował mój wuj. - Ale może właśnie gorzka prawda kryje się w mroku. Co do nas, możemy tylko tak się przygotować, żeby wróg nas nie zaskoczył bezbronnych. Zużyjmy więc każdą daną nam godzinę tak, jakbyśmy spodziewali się długotrwałego oblężenia. Musimy być przygotowani na atak nic nie wiedząc o jego rodzaju i istocie. Każdemu przypadnie inne zadanie...

Tu zaczął rozdzielać obowiązki i zlecać prace, które należało wykonać. I tak, w obliczu niebezpieczeństwa, którego nie umieliśmy określić, do pewnego stopnia zapomniałem o złych przeczuciach.

## O spisku Maughusa i o tym, jak otworzyły mi się oczy

Z rozkazu mojego wuja miałem zająć się zbiorem plonów z położonych na północ od Zamku pól. Pracowałem więc razem z naszymi rolnikami, spisując ładunki wozów wysyłanych do spichlerzy czy to pomagając ładować snopy. W tym pośpiechu i niepewności, które wśród nas zapanowały, przestała się liczyć ranga społeczna i wszyscy ciężko pracowaliśmy, żeby - wedle słów pana Eracha - dobrze przygotować się do oblężenia.

Pozostałe Zamki Klanu Czerwonych Płaszczy widocznie postępowały tak jak my, gdyż nie przybył do nas ani jeden posłaniec. Nic też nie planowaliśmy w związku ze Świętem Plonów, jak to było w zwyczaju w minionych latach. Wyczuwało się, że ludzie wolą dla bezpieczeństwa pozostać w domu i nie wyjeżdżać poza granice swoich pól.

Co noc wlokłem się do łoża tak wyczerpany, że myślałem tylko o tym, żeby zasnąć, zanim świtem obudzi nas głos rogu. Nadal nosiłem pas z lamparciej skóry, ale stał się dla mnie jedynie częścią ubioru. Nie utrzymywałem też żadnych kontaktów z matką ani Ursillą.

Prawda, że obie były bardzo zajęte. Do ich obowiązków należało warzenie kordiałów, smażenie konfitur oraz wypiek twardego podróznego chleba (który można było długo przechowywać). Nawet wiejskie dzieci zrywały orzechy z krzewów rosnących na skraju lasu, rywalizując z dzikimi zwierzętami. Potem wlokły do domu worki pełne zdobyczy. Jądra orzechów wyłuskiwano z twardej skorupy, mielono i dodawano do ciasta chlebowego.

Tak mijały dni, a potem tygodnie, i oto znów zbliżyła się pełnia księżyca. Tempo robót osłabło. Większa część płodów naszej ziemi znalazła się już w spichlerzach. Dopisywała też pogoda: nie było ani jednego deszczowego dnia, ani nawet zachmurzonego nieba. Gotowi byliśmy uwierzyć, że to sama Moc okazuje nam łaskę.

Mimo to od czasu do czasu słyszałem utyskiwania rolników. A kiedy wyprostowali się na chwilę dla oddechu, nie rozglądali się wokół z zadowoleniem, ale patrzyli coraz podejrzliwiej. Tego roku wyjątkowa pogoda i urodzaj ułatwiły im zadanie, narastała więc w nich obawa, że jest to zapowiedź wielkich kłopotów.

W przeddzień pełni wracałem z pola ostatnim wozem, a wszystko tak mnie bolało, jakbym nigdy nie wypoczywał. Moi ludzie nie śmiali się i nie płatali sobie

prostactkich żartów, jak to zwykle bywa po ciężkiej lecz wydajnej pracy przy zbiorach. Pierwszy kosiarz upłócił z ostatnich kłosów niezdarną podobizną Zbożowej Panny i zniwiarze pili za jej zdrowie jabłecznik, lecz czynili to bez przekonania i radości, jakby traktowali to tylko jako przykry obowiązek.

Mieszkańcy Zamku również nie okazali wesela, kiedy wjechaliśmy na dziedziniec z wbitą na widły Zbożową Panną. Na widok ostatniego wozu spokojnie odprawiono nakazane obrzędy, a mój wuj dał sygnał do powtórnego toastu na cześć słomianej kukły.

Poznałem dziewczynę, która podała mu kufel. Od czasu do czasu usługiwała w komnatach mojej matki. Teraz ani nie uśmiechnęła się do mnie, ani nic nie powiedziała na powitanie, ale odeszła bez słowa.

Wsparty plecami o ścianę Wieży Młodzieńców, czułem takie zmęczenie ramion, że tylko wysiłkiem woli podniosłem kufel do ust i napiłem się chciwie. W tegorocznym jabłeczniku był posmak goryczki pozostającej długo w ustach, nie dopiłem go więc i odstawiłem naczynie.

Chwiejnym krokiem dowlokłem się do mojej komnaty. Nawet się nie rozebrałem ani nie umyłem, tylko padłem na łożo i zamknąłem oczy. Zasnąłem natychmiast i chyba nic mi się nie śniło, gdyż nic więcej nie zapamiętałem z tej nocy. Budziłem się powoli, oślepiiony blaskiem. Słońce malowało jasną, połyskliwą plamę na podłodze. Powrócił silny ból głowy, który dokuczał mi poprzedniej nocy, teraz zaś aż pulsował. Uniosłem się nieco, a wtedy ściany zafalowały mi przed oczami. Do ust napłynęła gorycz.

Z wielkim trudem dotarłem do kąta, w którym stał wysoki dzbanek z wodą. Ręce tak mi się trzęsły, że więcej wylałem na podłogę, niż wlałem do miski. Zacerpnąłem wody w dłonie i zanurzyłem w niej twarz.

Dobrze mi to zrobiło. Oprzytomniałem i zdołałem jakoś opanować mdłości. Czyżbym był chory? Myślałem niemrawo i przypomniałem sobie gorzki smak jabłecznika. A dziewczyna, która mi go przyniosła, wykonywała polecenia Ursilli.

Nagle zauważyłem, że moja poplamiona i zmięta koszula wysunęła się ze spodni. Zwisła luźno odsłaniając moje ciało i pas z lamparciej skóry!

Dotknąłem go i z ulgą upewniłem się, że jest na miejscu, że mi go nie zabrano. Podejrzewałem jednak, iż ktoś próbował go ukraść. A do jabłecznika dosypano mi czegoś na sen. Przecież Ursilla dobrze знаła zioła, zarówno te pomocne, jak i szkodliwe. Każda Mądra Kobieta musiała to umieć. Nie potrafiłem jednak odgadnąć,

czemu nie skorzystała z mojego uśpienia i nie zabrała pasa. Zresztą; nie mogłem nikogo oskarżać tylko na podstawie podejrzeń. Przekonałem się więc, że nie wolno mi dowierzać otoczeniu. Te podejrzania wzmocniły tylko mój upór i postanowienie, że nie oddam pasa bez względu na to, co kryło się za podarunkiem pani Eldris. Za nic nie dam się do tego zmusić, nie pozwolę się ograbić.

Rozbierając się, myjąc, a potem ubierając w czystą odzież rozmyślałem gorączkowo. Przyszło mi do głowy, że z postępowaniem Ursilli mogły mieć coś wspólnego fazy księżyca. Gdybym tylko wiedział więcej o zmianie postaci! Może zapytać o to Hergila? Czy starczy mi na to odwagi? Nie mogę zrobić nic, co odsłoniłoby Maughusowi moje słabe punkty. Nie omieszkałby tego wykorzystać.

Czy pani Eldris i Thaney czekały teraz, aż się zdradzę? Włożyłem czystą koszulę przesyconą miłym zapachem ziół używanych przeciw wilgoci, pladze zamkowych murów, i zawiązałem mocno tasiemki.

Dzisiaj znów będzie pełnia. Lamparci pas dotychczas tylko raz obudził we mnie dzikie uniesienie - w pierwszą noc pełni. Oszłamiające zioła Ursilli uniemożliwiły mi powtórzenie tego przeżycia ostatniej nocy. Może uda mi się dziś?

Nie mogłem nikomu ufać, nawet Hergilowi. A już na pewno nie mojej matce czy Ursilli. Wobec tego muszę dzisiaj bardzo uważać przy jedzeniu i piciu. To nie powinno być takie trudne. Podczas Święta Plonów nie wydawano uroczystych posiłków w Wielkiej Sali. Ludzie zgłaszali się po podrózny chleb, ser i suszone mięso bezpośrednio do kuchni. Biorąc ponadto pod uwagę ogólne nastroje, nie wierzyłem, aby urządzono jakąś świąteczną biesiadę. A nawet gdyby do tego doszło, będę jadł tylko owoce, unikając potraw, do których można by dodać trucizny.

Wyszedłem z komnaty późnym rankiem: tak długo trzymał mnie w niewoli narkotyk Ursilli. Car Do Prawn sprawiał obecnie wrażenie sennego, czas gorączkowej aktywności ostatnich tygodni minął. Wprawdzie słyszałem głosy dochodzące ze stajni, ale nikt nie wyszedł na dziedziniec. Bóle żołądka i mdłości ustąpiły i teraz czułem dotkliwy głód. Skierowałem się więc do spiżarni po swoją porcję.

Zastukałem w parapet. Z kuchni wyskoczył kuchcik. Po brodzie coś mu ciekło i zlizywał z warg okruchy. Przyjrzał mi się z ukosa, zaczerwieniony po uszy, jakby przyłapano na drobnej kradzieży.

- Czego sobie życzysz, paniczu? - pisnął i omal się nie zakrztusił połkniętym w pośpiechu kawałkiem.

- Chleba i sera - powiedziałem krótko.

- Jabłeczniaka też?

Potrząsnąłem przecząco głową.

- Tylko tego.

Może moje słowa zabrzmiały zbyt ostro, bo na twarzy chłopaka pojawiło się zaskoczenie. Że też tak się zdradziłem. Zirytowałem się. Ostrożnie! Ostrożnie... Powinienem uważać.

Kuchcik wrócił trzymając serwetkę zamiast talerza. Był tam kawał ciepłego chleba z lekko wtopioną bryłką sera. Uznałem, że zasługuje na zaufanie.

Podziękowałem i wyszedłem z Zamku. Słońce jasno świeciło na prawie bezchmurnym niebie. Rosa już dawno zdążyła wyschnąć i rżyska pokryły się samym brązem. Odwróciłem się do nich plecami i ruszyłem starożytną dróżką z omszałych kamiennych bloków do ogrodu, gdzie rosły zioła i kwiaty, uprawiane dla ich urody i leczniczych właściwości.

Ale i tu nie znalazłem samotności. Usłyszałem wysokie głosy. Trzy kobiety zbierały płatki późnych róż, żeby przerobić je na kordiały lub słodkie konfitury. Nie zauważyły mnie, przemknąłem więc na inną ścieżkę, porośniętą z obu stron wysokimi krzewami, teraz prawie ogołoconymi z jagód.

Naraz usłyszałem swoje imię i zatrzymałem się. Właściwie nie miałem zamiaru podsłuchiwać paplaniny tych kobiet, ale niewielu oprze się pokusie wysłuchania, co mówią o nich inni.

- To prawda... posłały starą Malkin do Wieży Młodzieńców... do komnaty panicza Kethana. Wróciła powłócząc nogami i pociągając nosem, jakby się bała, że dostanie po uszach. Nie chciałabym wypełniać poleceń Mądrej Kobiety. Ona...

- Lepiej ugryź się w język, Huldo! Ona ma wszędzie oczy i uszy! - zganiał surowo inny głos.

- Myślę, że dostatecznie dużo oczu pilnuje naszej panienki. Dąsała się przez wiele dni i jej nastrój poprawiał się i pogarszał, zmieniał się razem ze słońcem. Wczoraj rzuciła w Bertholda zwierciadłem i pękło na pół...

Usłyszałem zdumione westchnienie.

- To niesamowite.

- To samo powiedziała pani Eldris - odparowała służebna. - Poza tym nasza pani zwróciła jej uwagę, że zwierciadeł nie znajduje się na drodze i że o tej porze roku może już nie przybędzie do Zamku żaden kupiec, od którego Thaney mogłaby nabyć inne. Potem przyszedł panicz Maughus, a wtedy pani i panienka wypogodziły



się i odesłały wszystkich z komnaty, żeby porozmawiać bez świadków.

- Tak. To dlatego Malkin tak długo stała na schodach. Mówią, że to ona jest okiem i uchem Mądrej Kobiety.

- Jeśli może podsłuchiwać przez drzwi i ściany, to słuch ma doskonały, lepszy niż my. Taka stara, a jeszcze ma siłę tak zwinnie się skradać!

- Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy... - kobieta, która zadała pytanie, zniżyła głos do szeptu. - Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że Malkin może być inna?

- Co masz na myśli?

- Ona służy tylko Mądrej Kobiecie i nikomu więcej. Słyszałam, jak stara Dama Xenia powiedziała kiedyś, że Malkin przybyła do Zamku razem z Mądrą Kobiętą i że w czasach, których żadna z nas nie pamięta, wyglądała tak samo jak dziś, jak trzęsący się ze starości worek pełen kości. Wiecie, że nigdy nie trzyma się razem z nami i nigdy nic nie mówi. Przynajmniej ja nigdy nie słyszałam jej mówiącej. No, chyba że ktoś ją zapyta wprost. Oczy też ma jakieś dziwne.

- I przeważnie trzyma je opuszczone. I nikt nie może odgadnąć ich wyrazu. Mówię wam, że nigdy nie bierze ze sobą świecy czy lampy, żeby sobie świecić po drodze, ale idzie tak pewnie, jakby mrok był dla niej światłem.

- Mądra Kobieta ufa jej. Zastanawiam się, po co poszła do panicza Kethana. Rolf zobaczył ją na schodach, a później widział, jak otwierała drzwi do komnaty panicza. Gdyby miała przekazać jakieś posłanie, to usłyszałby jej głos, a było cicho. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej, ale wezwał go jego pan, więc nie miał okazji...

- Podglądacie, śledzicie, ty i Rolf. Czy chcesz, żeby Mądra Kobieta zwróciła na ciebie oczy, Huldo? Ryzykujesz i postępujesz bardzo niemądrze.

- Tak. A ty nie opowiadaj nam tu tych swoich historyjek! Nie chcę ściągnąć na siebie jej uwagi ani się narazić! Wystarczy, że musimy znosić humory panienki albo wybuchy gniewu pani Eldris. A wy dwie uważajcie na to, co mówicie, i nie zastanawiajcie się, co Malkin robi czy nie robi w nocy!

Usłyszałam szelest ich sukien, jak oddalały się ode mnie. To, co powiedziały, w pełni potwierdziło moje podejrzenia: to Ursilla sprawiła, że przez całą noc byłem nieprzytomny. No cóż, jej służebna nie zabrała mi pasa, ale trudno uważać to za zwycięstwo. Znalazłszy w przeciwległym końcu ogrodu ławeczkę osłoniętą dwiema ścianami krzewów, usiadłem i zjadłem chleb z serem, bardziej skupiając uwagę na nurtujących mnie myślach niż na jedzeniu.

Powziąłem jedną decyzję: tej nocy nie będę więźniem Ursilli. Ale czy właściwe będzie pozostanie na zewnątrz, poza murami Zamku? Wspomnienia cudownej nocy, gdy po raz pierwszy włożyłem lamparci pas, obudziły we mnie tęsknotę za następną. Gdyby jednak zauważono moją nieobecność, pani Heroise rozkaże mnie odszukać. Lepiej zrobić to cichaczem i w tajemnicy.

Promienie słońca nie docierały do ławeczki, a senna atmosfera ogrodu poczęła na mnie działać. Zachciało mi się spać. Wielkie pszczoły, zajęte gromadzeniem swoich zapasów z taką samą energią jak nasza w ostatnich tygodniach, wędrowały obładowane nektarem z kwiatu na kwiat, a ptaki słodko śpiewały. W takim miejscu intrygi i niebezpieczeństwa wydawały się niewiarygodne i nieprawdopodobne.

Powoli uświadomiłem sobie, że moje zmysły wyostają się. Kolory wydały mi się jaskrawsze, kontury kwiatów i roślin ostrzejsze, bardziej wyraźne. Mój węch stał się wrażliwszy, podobnie słuch. Nie wiem, dlaczego, ale byłem o tym głęboko przekonany i zaakceptowałem to bez wahania.

Poczułem potrzebę stopienia się z otaczającą mnie roślinnością. Ukląłem na trawie, gmerając w niej palcami, jakbym głaskał futro jakiegoś uśpionego olbrzymiego zwierzęcia. Pochyliłem głowę chcąc uchwycić delikatny zapach kwiatków zwieszających się z cienkiej niby nitki łądyżki, które zakołysały się w poruszonym przeze mnie powietrzu.

Oszołomiony własnym stanem, zapomniałem o wszystkim. Rad byłem, że znalazłem się w tym miejscu i o tej porze. Lecz takie chwile nigdy nie trwają długo. Wkrótce dawne wątpliwości powróciły z jeszcze większą siłą. Poczułem się wtedy intruzem, który zakłócił spokój tego uroczego zakątka, odszedłem więc.

Tej nocy wieczereć jedliśmy wspólnie. Siedziałem na swoim miejscu, przenosząc spojrzenie z jednej twarzy na drugą, badając wyraz oczu i twarzy w poszukiwaniu dodatkowych informacji. Śmiano się i wznoszono toasty w podzięcie za obfite zbiory. Lecz wszystko to wydawało mi się sztuczne i powierzchowne, zgromadzeni jakby celowo robili gorączkową wrzawę, by zagłuszyć własne myśli.

Jadłem niewiele i bardzo ostrożnie. Byłem zadowolony, że przez metal kielicha nie widać, że tylko dotykam go wargami. Jego zawartość zdołałem ukradkiem wylać do naczynia z kwitnącymi gałęziami, szczęśliwie stojącego tuż za moim krzesłem.

Moja matka zajęła miejsce naprzeciw pani Eldris, Thaney siedziała przy osobnym stole wraz z innymi pannami, Ursilla zaś w ogóle się nie pokazała.

Zdawałem sobie sprawę, że Maughus obserwował mnie ukradkiem. Lecz nie obawiałem się tych spojrzeń, tylko podstęp. Gdyby chciał mi dokuczyć, zrobiłby to przy wszystkich.

Wcześniej skończyliśmy świąteczną wieczerzę. Na zabawę i śpiewy nikt nie miał ochoty. Siedzący w wysokim krześle pan Erach wydawał się nieobecny duchem i tylko co jakiś czas rozmawiał cicho z Hergilem. Miał srogą minę, a jego niezadowolenie wyraźnie rosło wraz z każdą wymianą zdań.

Niecierpliwiłem się. Chciałem być sam, jeszcze raz wymknąć się z Zamku i poszukać swobody. W końcu dłużej nie mogłem wytrzymać. Opuściłem więc chyłkiem Wielką Salę i udałem się w zacisze mojej komnaty. Wolałem, żeby nie widziano, jak uciekam.

Uznawszy, że mogę już bezpiecznie wyjść z pokoju, położyłem rękę na klamce. Niestety, drzwi były zamknięte z zewnątrz! Zakląłem w duchu. Cóż za głupiec ze mnie! Że też tego nie przewidziałem! A może to Ursilla poprzez ściany rzuciła na mnie czar, bym nie przedsięwziął tak prostego środka ostrożności?

Krażyłem niecierpliwie po komnacie. Wąskie okno nie dopuszczało do jej wnętrza chłodnego wiatru. Ściany wokół mnie nadal promieniowały ciepłem. Tymczasem wszedł księżyc i srebrem zalał ziemię. Płonałem cały, dusiłem się...

Zdarłem z siebie niewygodne ubranie i stanąłem nagi. Miałem na sobie tylko pas ze skóry lamparta. Opuściłem wzrok. Cyrkonowe zapięcie rozjaśniało się coraz bardziej, zdawało się wysysać gorąco, które mnie otaczało, i gromadzić energię.

Nagły rozbłysk oślepił mnie na chwilę.

Podniosłem głowę. Wtem odczułem pewną niewygodę. Wszystko widziałem pod zaskakującym kątem. Uświadomiłem sobie naraz, że stoję na czterech łapach, a moje ciało nie dość, że porośnięte jest jasnozłotą sierścią, to jeszcze kończy się drgającym lekko ogonem. Otworzyłem usta do krzyku, lecz spomiędzy szczęk wydarł się dźwięk pośredni pomiędzy pomrukiem a warknięciem.

O przeciwległą ścianę stała oparta wypolerowana tarcza, która służyła mi też za zwierciadło. Ruszyłem ku niej i zobaczyłem odbicie - lamparta!

W pierwszej chwili nie poczułem strachu, nie ogarnęła mnie panika. Uniosłem wysoko głowę, uradowany, rozkoszując się nowym ciałem. Dlaczego ludzie tak źle wyrażali się o zmianie postaci? Przecież nie mają pojęcia, co czuje ktoś, kto posiada wiedzę niedostępną ich gatunkowi - temu tak bardzo ograniczonemu gatunkowi...

Napawały mnie dumą żelazne mięśnie i szybkie, zwinne ruchy, gdy krażyłem

po kamiennej klatce. I wpadłem w taki zachwyt, iż nie usłyszałem, jak ktoś otworzył drzwi. Dopiero gdy światło lampy wyparło blask księżyca, odwróciłem się błyskawicznie z ostrzegawczym warknięciem.

W porę zauważyłem obnażony miecz i zrozumiałem, że Maughus czeka, aż go zaatakuję. Zmieniłem wprawdzie postać, ale mój umysł pozostał ludzki. Nie dam się tak łatwo wciągnąć w gierki mojego kuzyna.

Nie był sam. Za nim stała Thaney w ciemnym płaszczu; kaptur zsunął się jej z głowy. Grymas obrzydzenia wykrzywił jej twarz.

- Zabij go! - szepnęła ochryple. Maughus potrząsnął przecząco głową.

- Nie, musi sam się zdemaskować, gdyż powszechnie jest znana niechęć, jaką do niego czuję. Nie chcę, żeby mówiono, iż jego krew splamiła mój miecz, bo pragnąłem zagarnąć jego dziedzictwo. Sama się przekonałaś, iż jest zmiennokształtny. Wystarczy to rozgłosić, a ludzie, którzy obawiają się teraz wszelkich przejawów Ciemności, sami go usuną.

Wycofał się za próg, nadal trzymając miecz w pogotowiu. Drzwi zatrzasnęły się. Usłyszałem tylko, jak opadła sztaba, więżąc mnie w mojej własnej komnacie.

## O tym, jak na mnie polowano i o ucieczce

Przez chwilę szalało we mnie zwierzę. Skoczyłem do drzwi i potłukłem się boleśnie. Sztaba nie ustąpiła. Usłyszawszy swoje warknięcie, zapanowałem nad zwierzęcą częścią mojej istoty. Nie wiedziałem, co szykuje mi mój kuzyn, ale nie wątpiłem, iż będzie to niebezpieczne i zagrozi memu życiu.

Już nie cieszyło mnie moje nowe ciało. Chciałem uwolnić się od niego i wrócić do swojej prawdziwej postaci. Nie znałem jednak żadnego odpowiedniego czarownika ani czarodziejskiej sztuczki. Z goryczą uświadomiłem sobie, że Ursilla, podobnie jak moja matka, miała po stokroć rację, nie ufając podarunkowi pani Eldris. Pani Heroise nazwała mnie głupcem. Teraz, w tej rozpaczliwej sytuacji, określiłem się jeszcze dosadniej.

Bez trudu zrozumiałem, co się stało. W jakiś sposób (może od kupca Ibycusa?) pani Eldris poznała tajemnicę pasa z lamparczej skóry i dopilnowała, żeby znalazł się w mych rękach. Teraz wreszcie mogła usunąć mnie z drogi swego ulubieńca. Doskonale wiedziałem, że Maughus powiedział prawdę - zmiennokształtni nie cieszyli się sympatią Czterech Klanów. Ktoś taki był im zupełnie obcy, należał do leśnego plemienia mieszańców, którym ludzie pełnej krwi naprawdę nigdy do końca nie ufali.

Teraz, gdy mieszkańcy Car Do Prawn stali się tak niespokojni i podejrzliwi, potraktują mnie tak samo jak starszego syna pani Eldris - skazą na wygnanie. Lecz mój los będzie znacznie gorszy, ponieważ nie miałem krewnych wśród Zwierzołaków ani innego niż Zamek domu.

Pas. Spojrzałem na moje ciało. Tak, chociaż przybrałem zwierzęcą postać, nadal nosiłem pas. Nie różnił się prawie od mojej sierści. Lecz cyrkonowa zapinka świeciła jasno. A gdybym pozbył się tych więzów? Czy wtedy znów stanę się człowiekiem?

Ale choć zaczepiłem pazurem o zapięcie, szarpałem i ciągnąłem za klamrę, pas się nie odpiął. Okno? Czy zdołam wyskoczyć przez okno, ukryć się gdzieś i poczekać do zachodu księżyca? Tyle wiedziałem z Kronik - księżyc w pełni w dużym stopniu rządził takimi przemianami.

Stałem na tylnych łapach, oparłem przednie na parapecie, wcisnąłem głowę w wąskie okno i spróbowałem wyrzeć. Moja komnata znajdowała się na drugim piętrze Wieży Młodzieńców. Jeszcze nie oswoiłem się z nowym ciałem na tyle, bym

spróbował wyskoczyć na dziedziniec. Kiedy tak stałem, od strony drzwi dobiegł jakiś cichy dźwięk.

W jednej chwili opadłem na podłogę i podszedłem do drzwi. Czy ktoś ukradkiem wyjął sztabę je zamykającą?

Nie byłem pewny.

Jeśli tak, to kto to zrobił? Ogarnęły mnie podejrzenia. Czy to Maughus, chcąc mnie wywabić na zewnątrz? A może miałem jakiegoś przyjaciela, który chciał pokrzyżować plany kuzyna?

Podniosłem łapę, wysunąłem pazury i wsadziłem je w szparę pomiędzy ścianą a drzwiami. Podważyłem powoli i bezszelestnie. Drzwi drgnęły. Nie były zamknięte. Znieruchomiałem, nasłuchując. Słuch lamparta jest znacznie lepszy od ludzkiego, podobnie jak węch. Wciągnąłem w nozdrza nie znane mi dotąd zapachy.

Zza drzwi nie dobiegał najmniejszy szmer. Żadnego cichego oddechu napastnika, który mógłby mnie zaatakować, gdy wyjdę. Miałem do wyboru: albo pozostać w komnacie i czekać na rezultaty knowań Maughusa, albo - o ile mi się to uda - uciec i spotkać się z nim później, w sytuacji dla mnie korzystniejszej.

Zdecydowałem się. Szarpnąłem łapą drzwi, otworzyły się na oścież. Panujący w korytarzu mrok to żadna przeszkoda. Tak, znowu dopomogło mi dziedzictwo lamparta. Miałem już pomysł. W tej kupie kamieni żyła tylko jedna osoba, która mogła mnie uratować (nie przez wzgląd na mnie, ale by zrealizować własne plany) - Ursilla! Znając starożytną wiedzę na pewno orientuje się, co trzeba zrobić, żebym mógł pozbyć się tej postaci, a być może przechowa mnie bezpiecznie do chwili, gdy nastąpi naturalna przemiana. W takim razie muszę podporządkować się jej żądaniu i oddać ten przeklęty pas. Kiedy się go pozbędę, Maughus nie będzie mógł niczego mi udowodnić ani nic mi zrobić...

Bezszelestnie wymknąłem się z komnaty. Poczułem silną woń człowieka zmieszaną z innym zapachem - mimo woli warknąłem cicho - z odorem psa. Nie widziałem nikogo i nic nie słyszałem. Ktokolwiek uwolnił mnie z pułapki, opuścił to miejsce. Pergvin? Lecz skąd by o tym wiedział - chyba że Maughus otwarcie mówił o swoich podejrzeniach i zamiarach.

Cicho zbiegłem ze schodów. Zatrzymałem się przed drzwiami wyjściowymi. I one były zamknięte, ale teraz sztaba znajdowała się z mojej strony. Stałem na tylnych łapach, oparłem przednie o drzwi i niezdarnie podważyłem pyskiem sztabę.

Początkowo stawiała opór, ale później zaczęła się unosić ze zgrzytem, który

wydał mi się głośny jak uderzenie pioruna. Zamarłem w bezruchu, nasłuchiwałem - jeszcze bardziej podejrzliwy niż przedtem. A jeśli Maughus zaplanował to wszystko, żeby zwabić mnie na dwór, gdzie będzie mógł ujawnić przed wszystkimi przemianę, jakiej uległem. Lecz czy mogłem postąpić inaczej? Ukryć się we własnej komnacie i czekać, aż mnie zdemaskują? Nie pozwoli mi na to moja natura.

Wreszcie sztaba opadła. Pchnąłem mocno drzwi i wybiegłem na dziedziniec. Ukryłem się w najbliższym cieniu.

W nozdrza buchnęły mi mocne odory... konia... psa... człowieka... znałem je przecież, gdy byłem w moim własnym ciele. Mieszało się z nimi niezliczone mnóstwo nowych zapachów, których nie umiałbym określić. Mimo że postanowiłem pozbyć się zaczarowanego pasa i wszystkiego, co się z nim wiązało, rosło we mnie podniecenie i poczucie swobody. Całą siłą woli zdławiłem te uczucia - zrozumiałem, że dla mnie istnieje tylko jeden rodzaj wolności: wolność od pasa i jego wpływu.

Przyjrzałem się Wieży Dam. Drzwi wejściowe na pewno były zamknięte od wewnątrz... Ale później przypomniałem sobie Thaney. Jeżeli wyszła stamtąd ukradkiem, czyż nie zostawiła ich otwartych, żeby móc wrócić? Nie mogłem jednak na to liczyć. Pomyślałem o murach. Jeżeli się na nie dostanę, może uda mi się skoczyć przez okno do komnaty mojej matki. W owej chwili nie widziałem innego wyjścia.

Lecz żeby tam dotrzeć, muszę przebiec przez wartownię na schody prowadzące na blanki murów obronnych. Niepokoił mnie nienaturalny spokój i cisza panująca na dziedzińcu.

Największą przeszkodę stanowiła jednak stajnia i psiarnia. Sam z łatwością wyczuwając wszelkie zwierzęce zapachy, nie wątpiłem, że psy i konie bez trudu zwęszą przebiegającego obok lamparta. Jeżeli podniosą wrzawę, natychmiast zostanę zdemaskowany.

Nie mogłem tak stać bez końca. Zacząłem więc czołgać się powoli ku stajni, ale nigdy nie miałem tam dotrzeć, nawet w jej pobliżu.

Głośne ujadanie psów rozdarło nocną ciszę. W blasku księżycy z psiarni wyskoczyła sfora, która, wedle przechwałek mojego wuja, mogła stawić czoło nawet osaczonemu śnieżnemu kotu. Psy szczekały, ale nie atakowały.. Zawładnęła mną wściekłość i strach, usunęła w cień człowieka, wyzwoliła naturę zwierzęcia.

Skoczyłem, wysuwając pazury. Psy zaskowyczały i cofnęły się. Teraz i konie w stajni musiały mnie zwęszyc, bo rzucały się jak oszalałe i rżały dziko. Ludzie z krzykiem wybiegli na dziedziniec. Wystrzelona z kuszy strzała ze świstem wbiła się

obok mnie w ziemię.

Psy zagradzały mi drogę do bramy. Jeżeli nie przebiję się przez nie, zginę. Nie miałem gdzie się ukryć, zresztą psy i tak by mnie zwęszyły w każdej kryjówce. Przywódca, Straszny Kieł, jedyny spośród warczącej groźnie sfory szykował się do walki ze mną. Chodził tam i z powrotem, w półmroku jego oczy świeciły czerwienią, a pysk wykrzywiło warczenie, choć nie słychać było żadnego dźwięku. Zwierzęca częśćka mojej istoty wiedziała, że podczas gdy inne psy strach uczynił ostrożnymi, ten chciał się ze mną zmierzyć.

Przysiadłem na tylne łapy, poruszyłem lekko ogonem, a potem odbiłem się i przeskoczyłem ponad nieulekłym przeciwnikiem. Błyskawicznie przebiegłem susami dziedzińca i wypadłem za bramę, gdyż tylko tam - zdaniem ukrytego we mnie lamparta - mogłem uciekać.

Psom moja ucieczka dodała odwagi, bo zaszczekały głośno i ruszyły za mną. Straszny Kieł pewnie na przedzie. Rozległy się okrzyki. Nad głową przeleciała mi płonąca strzała, wbiła się w rżysko jak pochodnia. W jednej chwili pozostawiona na polu słoma stanęła w ogniu.

Ta strzała była odpowiedzią na moje wątpliwości, czy zastawiono na mnie pułapkę. Ktoś musiał wypuścić psy, przygotować strzały, które teraz smugami przecinały powietrze i wbijały się w ziemię. Nie tylko chciano zdemaskować mnie jako istotę zmiennokształtną, ale w samej rzeczy zapolowano na mnie. Gdybym zginął podczas polowania, ten, kto to wszystko zaplanował, mógłby bronić się twierdząc, że naprawdę wziął mnie za dzikie zwierzę.

Przez jakiś czas biegłem na oślep, myśląc tylko o tym, jak umknąć psom i myśliwym. Dopiero po jakimś czasie odzyskałem kontrolę nad przerażonym drapieżnikiem. Tak, powinienem zgubić prześladowców, znaleźć jakieś schronienie i poczekać, aż światło dzienne zniszczy czary. Ale nie osiągnę tego bezmyślnie uciekając gdzie łapy poniosą.

Nigdy w życiu nie byłem na polowaniu. Nienawiść do koni i psów sprawiła, że nie opanowałem umiejętności uważanej za niezbędną dla każdego mężczyzny. Nie wiedziałem więc, co mam zrobić. Chyba że...

Chyba że pozwolę, pozwolę celowo, żeby lampart wziął we mnie górę nad człowiekiem! Czy się odważę? Nie miałem na to ochoty, ale strach przed śmiercią zmusza każdego do trudnych wyborów. Spróbowałem więc pograć się w lamparcie i przekonałem się, jakie to było przerażająco łatwe.



Obserwowałem siebie, jakbym był widzem. Trudno zrozumieć rozdwojenie, które się we mnie dokonało, komuś, kto nigdy tego nie przeżył. Myślę, że ta decyzja o byciu zwierzem ocaliła mnie wtedy przed śmiercią.

Biegłem znacznie szybciej od ścigających mnie jeźdźców, lecz wciąż słyszałem ich okrzyki i granie rogu. Jeżeli nawet wypuszczali te swoje ogniste strzały, lądowały one daleko poza mną. Wreszcie znalazłem się na skraju lasu.

Wspiąłem się na pierwsze grubsze drzewo, ale cóż to za kryjówka. Psy gromadą je otoczą i zatrzymają mnie do przybycia swych panów. Na szczęście drzewo okazało się prawdziwym olbrzymem - jego niższe konary były tak grube, że mogłem po nich stąpać. Skacząc z konaru na konar przemierzałem sąsiadujące drzewa, żeby zmylić pogoń. Niestety, z kolejnego drzewa musiałem zeskoczyć i wylądowałem w krzakach, które załamały się pod moim ciężarem. Nie było to przyjemne.

Ten las wąskim pasmem sięgał daleko na północ i dochodził do wzgórz, których ludzie z Czterech Klanów zwykle unikali. Las miał swoich mieszkańców i wiedziałem, że moi prześladowcy mogli im rozkazać mnie śledzić. Byli wśród nich i tacy, których nie chciałem spotkać ani jako zwierzę, ani jako człowiek. Byłem pewny, że ucieknę myśliwym, jeśli tylko znajdę jakąś kryjówkę, aby doczekać świtu. Nie odważyłem się układać sięgających dalej planów.

Szczekanie psów cichło. Może zaskoczył je fakt, że urwał im się ślad? Pewnie pilnują teraz drzewa, na które wspiąłem się na początku. Nie biegłem już na oślep, lecz wolniej, równiej.

Z prawa usłyszałem szmer płynącej wody. Może to był ten sam strumień, na który się natknąłem podczas pamiętnej księżycowej nocy. Woda także pomoże mi zatrzeć ślady. Podbiegłem do brzegu. Księżyc bardzo jasno oświetlał to miejsce. Jako lampart widziałem w nocy równie dobrze jak człowiek w południe pogodnego dnia.

Wszedłem do wody z niechęcią, bo musiałem zmoczyć futro. Ruszyłem pod prąd, w górę strumienia. Nie wiem, jak długo wędrowałem, zanim dotarłem do skalnych rozwalin. Lampart we mnie uznał je za znakomitą kryjówkę. Tyle więc zyskałem. Wystarczy, że zostanę tutaj do rana i...

Lecz okazało się, że na nic wszystkie moje fortele i cały wysiłek. Nagle usłyszałem nad sobą szum skrzydeł. Wielki sokół rzucił się na mnie bijąc skrzydłami po głowie i barkach. Poczuję ostry ból, gdy zatopił mi szpony w grzbiecie. Padłem na ziemię, próbując strącić go z siebie, lecz oszołomiony tym niespodziewanym atakiem nie umiałem skutecznie walczyć.

Chociaż miotalem się, miaucząc jak rozzłoszczony kot, napastnik zrobił, co chciał. Patrzyłem, jak wznosił się w powietrze. Niewiele brakowało, a byłbym go dosięgnął ostatnim skokiem. Ale odleciał, trzymając w szponach mój rozerwany teraz pas.

Skuliłem się. Bolały mnie rany na grzbiecie, zadane przez wielkiego ptaka. Przeraziłem się, że teraz na zawsze pozostanę zwierzęciem. Gdybym tylko więcej wiedział o zmianie postaci! I skąd ten ptak...?

Sokół nie mógł być sługą Maughusa. Żadnego łownego ptaka nie udałooby się tak ułożyć. To niemożliwe. Albo ta istota była jednym z nieznanym mieszkańcom lasu, których powinienem się obawiać, albo... Warknąłem, gdy ta myśl przyszła mi do głowy. Ursilla?

Nie znałem granic jej wiedzy, ale czułem zdrowy respekt przed jej umiejętnościami. Stać ją było na coś takiego. Teraz nawet nie byłem pewny, czy to był prawdziwy sokół. Wiadomo, że władcy mocy miewają dziwne sługi. Nawet jeżeli nic podobnego nie wydarzyło się wtedy, kiedy mieszkałem z Ursillą, nie ośmieliłbym się twierdzić, że nie byłoby jej stać na przemianę w ptaka.

Jeżeli to Ursilla zdobyła mój pas? Wstrząśnięty i nieźle wystraszony rozejrzałem się wokoło i wpełzłem do wielkiej szczeliny.

Po kocie mu zlizalem wodę z futra, wyczyściłem rany na grzbiecie, choć nie do wszystkich mogłem dosięgnąć. Później wyciągnąłem się z głową na przednich łapach. Długo uciekałem i moje ciało potrzebowało snu. Musiałem odpocząć.

Chyba na poły oczekiwałem, że obudzisz się, będę otoczony przez myśliwych. Miałem też nadzieję, że odzyskam ludzką postać. Ale kiedy promienie słońca dotarły do kryjówki obudziły mnie, musiałem spojrzeć prawdzie w oczy: nadał byłem lampartem. Ogarnęło mnie przerażenie, takie samo jak wtedy, gdy zobaczyłem sokoła odlatującego z rozerwanym pasem. Znalazłem się w pułapce, uwięziony w ciele lamparta, bez umiejętności zmiany postaci.

Poza tym obudziłem się bardzo głodny, czując zwierzęcą potrzebę napełnienia brzucha. Jeżeli miałem przeżyć, musiałem zaufać instynktom lamparta. Ten instynkt zaprowadził mnie znów na brzeg strumienia.

Pływały w nim ryby. Na ich widok ślina pociekła mi z pyska. Przykucnąłem i wyciągnąłem łapę. Szybki ruch i ryba zatrzepotała na piasku. Poczułem radość z sukcesu, bo przecież nie miałem pojęcia o takim łowieniu ryb. Połknąłem ją, prawie nie gryząc.

Ryby uciekły. W tym miejscu już nic nie złapię. Ruszyłem więc dalej, ponowiłem próbę - i chybiłem. Ale za trzecim razem zdobycz była dwukrotnie większa od pierwszej. Zaspokoivszy głód, usiadłem, żeby się rozejrzeć.

Nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Na pewno byłem w lesie. Nie wiedziałem też, gdzie znajduje się Zamek. Mógłbym pójść w dół strumienia i wrócić tą samą drogą. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wtedy natknę się na Maughusa i psy. Dopóki mój kuzyn nie zrezygnuje z polowania, nie odważę się pojawić w okolicy Car Do Prawn. Ale muszę się dowiedzieć, czy to sługa Ursilli zabrał mi pas, uwięziwszy mnie skuteczniej niż w podziemnych lochach.

Poza tym zaprzyjaźnieni z naszym klanem mieszkańcy lasu na pewno otrzymają polecenie, żeby mnie śledzić. Lamparty z rzadka widywano tak daleko na północy, ponieważ ich ojczyznę były położone na południowym zachodzie Ziemi Spustoszone. Nawet teraz mogły mnie śledzić czyjeś oczy...

Na myśl o tym znów ukryłem się w mojej szczelinie. Nie chciałem kulić się w niej ze strachu. Lecz ostrożność często bywa skuteczną bronią. Teraz, kiedy zaspokoilem głód, mogłem w ukryciu przeczekać cały dzień i wyruszyć w nocy. Wielkie koty to nocni łowcy. W ciemnościach nie tak łatwo mnie zauważyć, zwłaszcza że tutejsze istoty nie znają lamparcich obyczajów.

Niespokojne myśli nie dawały mi zasnąć. Patrzyłem, jak dwie małe sarny przeszły przez strumień. Lampart we mnie zauważył świeże mięso, człowiek zaś ich pełen wdzięku chód i dobrze im życzył.

Człowiek we mnie...

Tego właśnie najbardziej się obawiałem, ta myśl napełniała mnie największym przerażeniem. Jeżeli nie uwolnię się od zwierzęcej postaci, jak długo przetrwa we mnie człowiek? Jeśli instynkty i pragnienia lamparta staną się z czasem coraz silniejsze, to w końcu zniknie we mnie Kethan, który pamięta swoje poprzednie życie i kontroluje zwierzęcą naturę. Pozostanie tylko kot, który będzie polował i zabijał wrogów.

Ursilla wiedziałaby... uratowałaby mnie... gdybym zdołał do niej dotrzeć. Pewnie zapłacę jakąś straszliwą cenę za uwolnienie od tego koszmaru.

Ale czy naprawdę warto ją zapłacić? Czy nie lepiej na zawsze pozostać lampartem niż ulec Ursilli i mojej matce, stracić kontrolę nad własnym losem i upodobnić się do ciągnących wozy ociężałych koni, które spędzają życie w uprzęży, spętane i ujarzmione przez ludzi?

Podniecenie i poczucie swobody powróciło teraz, gdy już na mnie nie polowano. Stać się więźniem - nigdy! Lamparcia częśćka mojej istoty zaprotestowała gwałtownie. Lepsza śmierć niż sieci Ursilli. A gdyby... gdybym mógł odzyskać pas... bez żadnych układów?

Samo marzenie o tym było szaleństwem. Wiedziałem, że nigdy nie dorównam Ursilli, wykształconej Mądrej Kobiecie. Jak śmiałem przypuszczać, że mógłbym pokonać ją w walce?

Mądra Kobieta...

Poderwałem łeb do góry i od tego nagłego ruchu zabołały mnie wszystkie rany.

W Arvonie przecież było więcej Mądrych Kobiet. Byli też inni - na przykład Głosy ze Wzgórz - którzy władali różnymi częstkami mocy. Nawet w tym lesie żyły istoty, które, choć nie nastawione życzliwie do ludzi, można podstępem lub pochlebstwami skłonić, by podzieliły się swoją wiedzą.

Była to dzika myśl, niemrawy załazek planu, którego pewnie nigdy nie zrealizuję. Myśl ta nie dawała mi spokoju.

## **o dziewczynie, którą spotkałem w lesie, i Gwiezdnej Wieży**

O zmroku przespałem się trochę i obudziłem się głodny. Przez jakiś czas pozostałem nad strumieniem, chcąc wypróbować swoje nowo nabyte umiejętności rybackie, tym razem jednak nie dopisało mi szczęście. Albo moje pierwsze sukcesy zawdzięczałem chwilowej litości Fortuny, albo ryby zorientowały się, w czym rzecz, i uciekły. Sądzę, że na to ostatnie było za wcześnie.

Muszę jeść, a to co jadłby człowiek (jagody, rzeżucha, korzonki), nie nadaje się dla zwierza. Wygłodzony lampart zdobywał coraz większą przewagę nad człowiekiem. Chciał naprawdę zapolować. Muszę zdobyć mięso...

Biegłem właśnie brzegiem strumienia, kiedy w nozdrza wpadł mi przyjemny zapach. To było mięso! Miało kopyta i było blisko. Całkowicie zawiadnęły mną zwierzęce instynkty. Przestałem być człowiekiem i stałem się jedynie lampartem.

Dwoma skokami dopadłem szczytu kamiennego pagórka. Lekki wiatr przyniósł ostrą woń mojej przyszłej zdobyczy. Kocimi oczami, lepiej od ludzkich przystosowanymi do półmroku, wypatrzyłem poniżej stado dzików, które chrząkały, parskały, węszyły i ryły w ziemi. Przewodził im odyniec o straszliwych szablach. Dziki kierowały się w stronę strumienia.

Lampart zawahał się przed rzuceniem wyzwania takiemu przeciwnikowi. Dziki uważano za bardzo groźnych mieszkańców lasu i słusznie obawiali się ich nawet śmiałkowie, bez wahania zapędzający na drzewo śnieżnego kota. Odyńce miały bardzo ostre szable, a w dodatku odznaczały się zadziwiającą przebiegłością. Wiadomo, że niekiedy same urządzały zasadzkę na nierozsądnego myśliwego, który odważył się je tropić na ich własnym terytorium: zataczały krąg i atakowały łowcę od tyłu.

Tak, zaskoczenie będzie moją najlepszą bronią. Płynnie skradałem się wśród skał, w ciszy - tę umiejętność posiadają wszystkie koty.

Młode dziki, a nawet locha wyglądały na smaczniejsze. Musiałem najpierw unieszkodliwić odyńca, ponieważ dopiero wtedy zniknie największe niebezpieczeństwo. Sprężyłem się do skoku.

Locha, która wraz z warchlakami i dwoma wyrosniętymi dziczkami znajdowała się nie opodal, nagle parsknęła. Odyniec rył ziemię w poszukiwaniu jakichś smakołyków.

Skoczyłem w zupełnej ciszy i przytłoczyłem do ziemi cuchnące cielsko. Jedno kłapięcie szczękami, mocny cios łapą, w który włożyłem wszystkie siły. Odyniec legł nieruchomo ze złamanym karkiem. Zginął w jednej chwili.

Na odgłos chrząkania podniosłem łeb i warknąłem ostrzegawczo. Naprzeciwko mnie stała locha, potomstwo stłoczyło się w tyle. Najwyraźniej była rozwścieczona.

Znów warknąłem, obserwując małe, czerwone oczka. Czyżby zamierzała mnie atakować? Chociaż słabsza od odyńca, osaczona stawiała się groźnym przeciwnikiem. Pochyliłem się nad cielskim odyńca, szykując się do odparcia szarży.

Warchlaki zakwiczały przeraźliwie, a dwa roczniaki zatupały racicami w ziemię. Nie ruszyły się z miejsca, zda się czekały na rozkaz matki.

Locha nie atakowała, widocznie chciała tylko zapewnić bezpieczeństwo swoim młodym. Chrząkała tylko i ryła ziemię. Mimo że wyglądała na rozwścieczoną, nie atakowała.

Wreszcie uniosła ryj, chrząknęła po raz ostatni i odwróciwszy się zaskakująco szybko, ruszyła naprzód zagarniając przed sobą warchlaki. Starsze rodzeństwo ochraniało maluchy z boków. Mogłem teraz zaciągnąć zabitego odyńca na szczyt wzgórza i zaspokoić głód. Wyparłem ludzki umysł, dałem lampartowi wolną rękę.

Jeszcze jadłem, gdy usłyszałem cichy szelest. W bezpiecznej ode mnie odległości gromadziły się ścierwojady, które przyciągnął zapach mojej uczy. Po moim odejściu będą kłócić się i walczyć o resztki, aż w końcu wśród skał pozostaną tylko ogryzione do czysta kości.

Najadłem się i teraz chciało mi się pić. Nie zamierzałem jednak znowu spotykać się z lochą i jej potomstwem, gdyż wtedy musiałbym stoczyć z nią walkę, a to mogłoby źle się dla mnie skończyć. Los pozwolił mi na szybkie polowanie, z którego wyszedłem bez szwanku. Lepiej nie kusić licha.

Księżyc wschodził powoli. Jego odbicie jeszcze nie migotało na wodzie, kiedy piłem i wylizywałem futro. Po zaspokojeniu głodu i pragnienia osłabły we mnie zwierzęce instynkty. Znowu mogłem myśleć.

Znalezienie jakiejś leśnej czarownicy lub czarownika wydało mi się mało prawdopodobne i trudne do wykonania. Nie odważyłem się tak wcześnie wrócić w pobliże Zamku, gdzie zapewne czyhają Maughus i jego myśliwi. A może moja matka i Ursilla zmuszą go do zarzucenia jego niecných zamiarów? Trudno było odgadnąć, co teraz tam się dzieje. Powinienem raczej zainteresować się swoim obecnym

otoczeniem.

Kiedy tak leżałem nad strumieniem, moje zmysły odbierały najróżniejsze sygnały. Słyszałem jakieś ruchy wśród drzew, wyczuwałem zapachy. Wielkie nocne ćmy unosiły się nad powierzchnią wody i pożerały mniejsze od siebie skrzydlate stworzenia, które nadlatywały pomiędzy trzciny. Czasem jakiś uskrzydłony myśliwy zlatywał w dół, wybierając sobie spośród ciemności ofiarę. Ziemia, powietrze i woda wokół mnie aż kipiły życiem, którego nie zauważałem, gdy byłem człowiekiem.

W braku jakiegokolwiek przewodnika, postanowiłem wędrować brzegiem leśnego strumienia. Tu i ówdzie dostrzegałem prowadzące do wody tropy zwierzyny. Może trafię na jakieś zwierzę służące ludziom lub istotę na tyle bliską człowiekowi, bym mógł zwrócić się o pomoc. Musiałem się czepiać choćby tak nikłej nadziei.

Docierało do mnie mnóstwo zapachów, ale wszystkie były pochodzenia zwierzęcego lub roślinnego. Jeżeli nawet przemierzałem terytorium któregoś z leśnych plemion, nie powiadomiły mnie o tym moje ostrzejsze od ludzkich zmysły. W końcu zacząłem myśleć, że nie znajdę żadnego rozumnego stworzenia, które mogłoby zrozumieć moje kłopoty.

I kiedy już prawie straciłem nadzieję, usłyszałem cichy śpiew. Nie zrodziła go szemrząca na prawo ode mnie woda. Unoszące się i opadające dźwięki przypominały mi pieśń i jakby przyzywały.

Podniosłem wysoko głowę i wciągnąłem powietrze. Znowu poczułem ostry ból w poranionym grzbiecie. Człowiek! To był ktoś z gatunku, do którego sam należałem, zanim przekłety pas mnie nie uwięził. A każdy człowiek, który mieszkał w lesie, musiał być w kontakcie z Mocą!

Skradałem się między drzewami, a śpiew rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Teraz rozróżniałem nawet słowa, ale nic dla mnie nie znaczyły. Na pewno były związane z Mocą, świadczyło o tym mrowienie ciała i narastające podniecenie. Żaden człowiek nie pozostanie spokojny, gdy w pobliżu uprawia się magię.

Przyciąłem się za zwałonym drzewem i wyjrzałem na polanę. Księżyc oświetlał jasno kolumnę z połyskującego jak drogie kamienie, rzucającego ognie kwarcu. Kolumna wydawała się żywa w jego promieniach. I rzeczywiście, coś jakby żywego wiło się i pełzało w jej wnętrzu, zmiennego jak uwięziony płomień.

Kolumna stała w gąszczu jakichś roślin, wśród srebrzystobiałych kwiatów, miniatuerek wiszącego na niebie księżyca. Kwiaty rozchylały płatki, zdając się chłonać jego poświatę, roztaczając wokół subtelny zapach, świeży jak wiosenny wiatr.

Spoza kolumny zimnego płomienia wyszła śpiewaczka. Opierała o biodro szeroki, płaski koszyk i wkładała tam zerwane główki kwiatów. Śpiewała przy tej czynności.

W księżycowej poświacie jej ciało było równie białe i piękne jak kwiaty, wśród których krążyła. Miała na sobie tylko spódniczkę z frędzli zwieszających się z paska otaczającego jej smukłą kibić. Spódniczka dzwoniła przy każdym ruchu: owe frędzle składały się ze srebrnych dysków nanizanych na cienkie łańcuszki.

Pomiędzy jej małymi, młodymi piersiami zwisał półksiężyc, wyrzeźbiony z tego samego płonącego kryształu co kolumna, wokół której krążyła. Ciemne włosy spięła srebrną spinką u nasady karku. Były tak długie, że falą spływały poniżej spódniczki.

Nigdy kogoś takiego nie spotkałem, nawet wśród leśnych ludzi. Mój lamparci nos potwierdzał, że nieznajoma pachnie człowiekiem, ale żadna dziewczyna z Czterech Klanów nie chodziła sama po lesie ani nie dokonywała obrzędów w blasku księżycy. Musiała więc być Mądrą Kobieta. Lecz tak różniła się od Ursilli jak pierwszy brzask od zmierzchu długiego, upalnego dnia.

Trzykrotnie okrążyła kolumnę, zrywając główki kwiatów, aż napełniła koszyk po brzegi. Potem go uniosła i zwróciła twarz ku księżycowi, śpiewając głośniejsz. Może dziękowała za obfity zbiór.

Czy była piękna? Nie wiedziałem, gdyż nie umiałbym ocenić jej urody wedle pojęć Car Do Prawn. W każdym razie obudziło się we mnie coś, co za wszelką cenę chciało wyzwolić się z włochatego ciała. W chwili gdy na nią spojrzałem, stałem się mężczyzną, mężczyzną, którego pociąga to, co jest najpiękniejsze w kobiecie.

Tak wielki wywarła na mnie wpływ, że bez namysłu wyszedłem na zalaną księżycem polanę, zapominając o wszystkim: o swojej postaci i wszelkich kłopotach. Dziewczyna opuściła koszyk i spojrzała prosto na mnie.

Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

Otrzeźwiałem w jednej chwili. Powinienem był dać nura w krzaki. Śpiewaczka spokojnie oparła koszyk na biodrze, wolną zaś ręką nakreśliła w powietrzu znak, którym wtajemniczeni wzajemnie się rozpoznają lub chronią.

Linie te świeciły przez moment tak jasno jak pochodnia. Dziewczyna przemówiła głośno, jakby o coś pytała. Nie zrozumiałem jednak jej słów i nic nie odpowiedziałem. Najwyraźniej się zaniepokoiła. Znowu nakreśliła ów znak, jakby chcąc się upewnić, że się nie pomyliła. A gdy zgasł, odezwała się tym razem w języku



Czterech Klanów i równin Arvonu.

- Kim jesteś, nocny wędrowcze?

Usiłowałem wymówić swoje imię. Ale z piersi wyrwał mi się tylko dziwaczny, gardłowy okrzyk.

Teraz śpiewaczka wycelowała we mnie dwa palce i wymówiła jakieś inne czarodziejskie słowa, przez cały czas obserwując mnie pilnie.

Spróbowałem się odezwać, lecz teraz, ku swojemu przerażeniu, nie mogłem nawet otworzyć paszczy. Rzuciła na mnie jakieś czary. Obojętnie odwróciła ode mnie spojrzenie, uznawszy widać, że nie będę już jej przeszkadzać. Odeszła na skraj polany, odstawiła na chwilę koszyk, podniosła z ziemi opończę i narzuciła na ramiona. W jednej chwili ze srebrzystobiałej jak księżyc stała się szarym cieniem.

Podniosła koszyk i zniknęła wśród drzew. Chciałem płakać jak człowiek, który stracił nadzieję, lub wyc jak zwierzę, któremu odebrano jego zdobycz. Ale nieznajoma rzuciła na mnie tak mocny czar, jakby uwięziła mnie w kryształowej kolumnie.

Szamotałem się ze wszystkich sił i po pewnym czasie niewidzialne pęta rozluźniły się. Choć bardzo powoli, ale mogłem się poruszać. Stopniowo wróciły mi siły. Dowlokłem się do miejsca, gdzie zniknęła mi z oczu, i odszukałem jej trop.

Początkowo ślaniałem się i obijałem o pnie, z czasem mój krok stał się pewniejszy. Musiałem jednak iść powoli, żeby nie zgubić jej śladów. Zapach był tak bardzo słaby, że odniosłem wrażenie, jakby próbowała zatrzeć swój trop.

Później jednak rozpląnął się wśród mnóstwa innych woni: słodkich, drażniących, ostrych, nigdy dotąd takich nie znałem. Znalazłem się na skraju polany wielokrotnie większej niż ta, na której moja młodziutka Mądra Kobieta rzucała swoje czary. Rozejrzałem się. To wcale nie była leśna polana, raczej dobrze utrzymany ogród.

Istotnie. Grządki roślin (całkiem innych niż te, które pomagałem zbierać z pól otaczających Zamek) rozchodziły się na wszystkie strony od podnóża Wieży. W blasku księżyca spostrzegłem, że całkowicie różniła się od budowli mojego klanu, zwykle okrągłych lub kwadratowych.

Las otaczał tu Wieżę pięcioramienną jak gwiazda w tajemnej komnacie Ursilli.

Pomiędzy ramionami gwiazdy stały smukłe słupy sięgające aż do wąskich okien widocznych na drugim i trzecim piętrze. Owe słupy świeciły słabym blaskiem,

który lekką mgiełką wił się wokół Wieży. Kamienne bloki, z których ją zbudowano, miały niezwykły, zielononiebieski połysk.

Skradając się brzegiem polany, żeby obejrzeć Wieżę ze wszystkich stron, dojrzałem światło w kilku oknach. Niewątpliwie był to dom mojej Księżycowej Czarodziejki i na pewno nie mieszkała tu sama. Okrążyłem tę dziwną budowlę i znalazłem się blisko miejsca, w którym ujrzałem ją po raz pierwszy, natknąłem się na okólnik i stajnię. Na okólniku pały się konie. W stadzie dojrzałem dwie klacze ze źrebiętami u boku.

Wierzchowce musiały wyczuć mój zapach, gdyż podniosły łby, a ogier zarżał głośno. Nie podszedłem bliżej i przewodnik uspokoił się i tylko kłusował wzdłuż płotu oddzielającego mnie od stada. Konie - o dziwo - nie wpadły w panikę jak inne w mojej obecności. Zaczęły znów się paść, ogier zaś zatrzymał się i tylko obserwował każdy mój ruch. Nie okazywał strachu.

Wieża miała wejście od północy, małe drzwi, ledwie widoczne na tle ścian, w załomie pomiędzy ramionami gwiazdy. Otaczała ją aura tajemniczości - tylko to słowo przyszło mi na myśl - jak gdyby mieszkańcy z wyboru mieli niewiele do czynienia z innymi ludźmi.

Na pewno dysponowali sposobami i środkami, żeby zapewnić sobie odosobnienie. My, ludzie ze Starej Rasy, wyczuwamy wszystko, co ma coś wspólnego z Cieniem. A Gwiazdnej Wieży nie otaczał odór Zła. Na zewnątrz ogrodu znalazłem miejsce pod krzakiem, skąd mogłem wygodnie obserwować drzwi. Zakołatała we mnie słaba nadzieja.

Co jakiś czas spoglądałem na widoczne z mojej kryjówki oświetlone okno i zastanawiałem się, czy tam właśnie przebywa Księżycowa Czarodziejka. Dlaczego zrywała księżycowe kwiaty? Jakie czary rzucała teraz z ich pomocą? Gdybym zdołał odpowiedzieć wtedy na jej pytanie!

Wstałem, przespacerowałem się i znów się położyłem. Była późna noc. Księżyc nie wisiał już nad moją głową, lecz na zachodniej stronie nieba. Słabe światełko w oknie zgasło. Tylko jasna mgiełka wiła się wokół Gwiazdnej Wieży.

Oparłem głowę na przednich łapach. Nadleciał lekki wiaterek, niosąc znad ogrodu zapach ziół. Był to więc ziołowy ogród, większy niż wszystkie znane mi ogrody. Rosło tu wiele takich roślin, których nie umiałbym nazwać. Między grządkami biegły dróżki wykładane wygładzonymi przez wodę kamieniami.

Niektóre rośliny już wędły w chłodnych podmuchach zbliżającej się zimy, od

której dzieliło nas około miesiąca. Inne zaś nabierały sił, jakby koniec jesieni był porą właściwą do wydania jak największych plonów.

Widziałem, jak Ursilla rzucała czary. Używała do tego ziół i korzeni, w niewielkich ilościach kupowanych od wędrownych handlarzy. W porównaniu z obfitością zgromadzoną w ogrodzie używała tylko maleńkiej garstki ziół. Księżycowa Czarodziejka zbierała kwiaty... Czyżby praktykowała magię roślin, Zieloną Magię?

Osoby nie wtajemniczone mówią o Białej Magii, mając na myśli czary wykorzystywane dla dobra ludzi, i o Czarnej w służbie Wielkiego Cienia, który stale zagraża człowiekowi. Lecz wtajemniczeni w misteria twierdzą raczej, iż Magia dzieli się na wiele rodzajów i każdy ma swoją ciemną i jasną stronę.

Czerwona Magia dotyczy zdrowia fizycznego, siły, a także sztuki wojennej. Pomarańczowa ma budzić ufność we własne siły i silne pragnienia. Żółta jest Magią umysłu, wymaga użycia logiki i znajomości filozofii i najczęściej posługują się nią cudotwórcy.

Zieleń jest nie tylko barwą natury i płodności, jest też barwą piękna, zwłaszcza piękna stworzonego przez człowieka. Niebieska zaś kieruje uczuciami, dotyczy kultu bogów, w których wierzą ludzie, oraz rządzi prorocत्वami. Indygo natomiast - to pogoda, burze i wróżenie z gwiazd.

Purpurowa Magia jest siłą, którą należy czerpać ostrożnie, ponieważ zawiera załączki żądy, nienawiści, strachu i pragnienia władzy, a zbyt łatwo można jej nadużyć. Fioletowa jest czystą mocą duchów i nieliczni, nawet spośród Głosów, mogą twierdzić, że ją opanowali. Tymczasem Brązowa to Magia lasów i polan, całego świata zwierząt.

Znani mi mieszkańcy lasów posługiwali się Zieloną i Brązową Magią. Ze wszystkich Magii są one najbliższe Ziemi i najtrudniej je niewłaściwie wykorzystać.

Zielona Magia tego ogrodu uspokoiła mnie; wdychałem zapachy ziół, a wraz z nimi subtelną prawość wielkiego ogrodu. Gdybym w jakiś sposób zdołał powiadomić mieszkańców Gwiazdnej Wieży o ciążyącym na mnie przekleństwie, może zechcieliby mi pomóc.

Z tą nadzieją zapadłem w sen. Niebo już pojaśniało na wschodzie, a szary brzask rozpraszał mgiełkę wokół Wieży, świat zaczynał się budzić. Uczepiłem się jednej myśli, jednej nadziei: że znajdę tutaj może nawet nie przyjaciół, ale choćby kogoś, kto zrozumie... i może (tylko „może”) zaproponuje mi pomoc.

## O tym, co mi się śniło i co tego wynikło

Znalazłem się w jakimś odległym miejscu całkowicie obcym komuś takiemu jak ja... Takiemu jak ja? Z jakim gatunkiem byłem teraz spokrewniony? Uświadomiłem sobie, że mam dwie natury, bynajmniej nie współistniejące spokojnie obok siebie, ale walczące ze sobą o zwierzchnictwo. To jedna, to druga na krótko przejmowała rządy.

Teraz jednak obie zawarły rozejm, gdyż obie były zagrożone. Nie wiem, skąd o tym wiedziałem. Te oddzielne osobowości splotły się i połączyły na chwilę w jedną, która była mną, Kethanem...

W tym przekraczającym ludzkie zrozumienie miejscu czułem się bezcieleśnie. Jak liść niesiony przez silny wiatr, któremu nic nie może się oprzeć.

Nie patrzyłem oczami człowieka ani zwierzęcia. Raczej postrzegałem otoczenie jakimś zmysłem, którego nie potrafiłbym nazwać. Tak właśnie zorientowałem się, iż przebywam w szarym świecie, w którym nie istnieje nic materialnego, tylko same cienie. Niektóre z tych cieni miały wygląd zwierząt, inne monstrów, jeszcze inne przybrały postacie mężczyzn i kobiet. Przerazała mnie emanująca od nich aura, więc unikałem jakiegokolwiek kontaktu z nimi.

Wydawało się, że cienie mnie nie zauważyły, że nawet wzajemnie się nie zauważały. Każdy tkwił we własnym kokonie strachu i rozpacz. Mknęły czy fruwały swobodnie to tu, to tam, jakby czegoś szukały, a poszukiwania te nie miały końca.

Im dalej się zagłębiałem w ów dziwny świat, tym większej nabierały wyrazistości i jakby się materializowały. Pociemniały i zgęstniały. Teraz już nie dryfowały nad ziemią, lecz biegły co sił, nagle zatrzymując się, to znów mknąc w innym kierunku. Niektóre wlokły się, jakby ich ciemne ciało było brzemieniem, od którego nie mogą się uwolnić.

Widziałem je wyraźnie, gdyż towarzyszyła mi świetlna iskierka. To właśnie ona mnie przyciągała, a pozostałe cienie zdawały się jej nie widzieć. Nie miałem wyboru i żadnej szansy ucieczki. Ludzki strach walczył we mnie ze zwierzęcym przerażeniem, jakby dwie części mojej istoty znów wydały sobie wojnę. Ale to było tylko złudzenie, bo człowiek i zwierzę na równi obawiali się tego, co mogła znaczyć owa iskra.

Świeciła coraz jaśniej. Jej promienie rozjaśniły mrok i mogłem zapuścić wzrok w tę niesamowitą, szarą krainę: były tam ostre jak nóż turnie rozdzielone

głębokimi dolinami, wypełnionymi najczarniejszymi ciemnościami. Nie wspiąłem się na owe szczyty, ani nie opuściłem w doliny. Szczęśliwie dla siebie, gdyż widziałem, jak niektóre cienie zostały przez nie wchłonięte bez śladu. Prąd powietrza niósł mnie wciąż dalej i dalej. Uczępione kamieni stwory skrzyły się, wyrzucając do góry długie wici. Widmowe postacie unikały ich jak trujących roślin.

Niesamowite światło najpierw rozjarzyło się oślepiająco, a potem zaczęło pulsować. Wtedy zrozumiałem, że rozpałyły je słowa i że ktoś mnie wzywa. Nie mogłem uciec, gdyż byłem zakuty w czarodziejskie pęta. Niewidzialna siła ciągnęła mnie do źródła światła. Zawisłem przed nim bezsilnie, zmuszony patrzeć w jego oślepiającą głębię. Dopiero potem zauważyłem, że było to okno, okno w tkance szarego świata. Czary zmusiły mnie, żebym na nie spojrział...

Oślepiający blask był pięcioramienną gwiazdą, a jej kontury płonęły pomarańczowym ogniem. W środku stał ktoś, kogo w tym blasku nie mogłem rozpoznać. Dosięły mnie jej czary. Ursilla!

Więc znów chciała mną rządzić... Walczyłem jak oszalały. Człowiek i zwierzę zjednoczyli się we wspólnym oporze. Nie miałem żadnej broni, którą mógłbym przeciwstawić jej czarom. Tylko moją wolę. Może wzmocniło ją to, co kryje się w każdej żywej istocie: pragnienie życia. Ono sprawia, iż nigdy nie kapituluje się przed śmiercią bez walki. Możliwe, że w owej chwili woła ta była znacznie silniejsza za przyczyną mojej podwójnej natury. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli odpowiem na wezwanie Ursilli, prawdziwy Kethan przestanie istnieć. Pozostanie tylko ta częśćka mojej istoty, która będzie jej służyć bez szemrania.

Gwiazda stała się rozpalonym piecem, wprost mnie parzyła. Gniew Ursilli pobudzony moim uporem podsycił ogień. Byłem pewien, że w obliczu niepowodzenia sięgnie po jakąś inną broń, a miała je wszystkie pod ręką, w pogotowiu. Milczała, ale i tak wiedziałem, o co chodzi. Jeżeli teraz posłucham jej wezwania, jakaś część Kethana - ta posłuszna - przeżyje. Jeśli zaś zmuszę ją, by użyła wszystkich sił potrzebnych do podporządkowania mnie bez reszty, wtedy moje całkowite „ja” stanie się jedną z owych zjaw, widmowych poszukiwaczy błędzących w tej obcej ludzom krainie. Do mojego zaś czasu i miejsca powróci tylko łupina, którą Ursilla wypełni jakąś inną istotą, we wszystkim jej posłuszną.

Pomarańczowy ogień dominacji i władzy zmieniał się, nabierał niepokojącego odcienia. Fale odmiennej barwy wyływały z jednego z ramion gwiazdy. Pozostał już tylko skrawek o pomarańczowym zabarwieniu, resztę ogarniała niebezpieczna

purpura.

Ale moja podwójna osobowość, choć przerażona i pełna obaw, nie mogła się poddać. Wiedziałem, co mnie czeka, lecz jakaś cząstka Kethana nie była w stanie posłuchać i nie chciała Ursilli pozwolić na realizację planów. Nie wiedziałem, skąd wziął się we mnie wstręt do umowy, jaką mi proponowała, ale to właśnie on umacniał mnie w uporze.

A potem...

W całej złowieszczo purpurowej gwiazdzie pojawiły się ciemne piętna, jakby dziury, i już po chwili gwiazda rozpadła się na strzępy. Wraz z nią zniknęła kraina cieni. W tymże momencie spadłem do jednej z wypełnionych najczarniejszym mrokiem szczelin.

Nadal było mi gorąco, lecz już nie czułem palącego żaru purpurowej gwiazdy. Otworzyłem oczy. Było południe upalnego dnia i ognista kula słońca wisiała mi nad głową.

Przejście od jednego do drugiego świata okazało się zbyt gwałtowne. Byłem całkiem oszołomiony i powoli odzyskiwałem świadomość. Na jednej z drózek rozchodzących się od ramion Gwiazdnej Wieży, które dzieliły ten ogród ziołowy na sektory, zobaczyłem kobietę.

Wróciła mi pamięć. Podniosłem głowę i zrozumiałem, że niestety nadal jestem uwięziony w ciele lamparta. Ale ktoś ocalił mnie z sideł Ursilli. Spojrzałem ze zdumieniem na nieznajomą. Z pewnością to ona umożliwiła mi ucieczkę.

Nie była to moja Księżycowa Czarodziejka, choć równie smukła jak tamta. W młodej twarzy świeciły mądrością dojrzałych lat ciemne oczy. Na sobie miała spodnie i kaftan w takim odcieniu zieleni, że zlewał się z sięgającymi jej do kolan roślinami.

Splecione w warkocze włosy okręcone były wokół głowy i tworzyły ciemnokasztanową koronę, w której połyskiwały rudawe płomyki. Cerę miała ogorzalą, jakby całe dnie spędzała pod gołym niebem.

Obok jej stóp, na ziemi, stał koszyk wypełniony wiązkami świeżo zerwanych ziół. Ale ja utkwilem spojrzenie w tym, co oburącz kierowała ku mnie takim gestem, jakim wojownik trzymający włócznię odgania wroga lub się przed nim broni.

To była różdżka mocy! Od razu ją rozpoznałem, choć wcale nie przypominała różdżki, którą Ursilla trzymała w swojej najczujniej strzeżonej skrzynce. Nie wyrzeźbiono jej w kości i nie wryto w niej tajemnych słów, nie zabarwiono run czerwienią i czernią. Różdżka tej kobiety wyglądała jak zwykła, świeżo obdarta z

kory gałązka. Na zwróconym ku mnie wierzchołku tkwił jeden jaskrawo zielony listek w kształcie grotu włóczni.

Patrzyłem na nieznajomą, ona też przyglądała mi się bacznie. Tak mogłaby patrzeć Ursilla. Ta kobieta również była Mądrą, lecz wyczułem, że nie służy tym samym Mocom, którym składa hołd Ursilla.

- Kim jesteś?

Nieznajoma nie opuściła różdżki. Gdybym uczynił jakiś nieprzyjazny gest, szybko przekonałbym się, że nie jest to zwykła, obdarta z kory gałązka z listkiem na czubku.

Nie mogłem wydobyć żadnego dźwięku. Wreszcie wydałem z siebie coś w rodzaju zduszonego chrząknięcia.

Mądra Kobieta przechyliła lekko głowę, jakby nasłuchiwała.

- Czary - powiedziała. - Silne moce, ale w złej intencji. Poczułam w nocy, że tu przybyłeś. A teraz przyciągasz siły nie pochodzące z naszego świata. Nie możemy na to pozwolić. Nawet cień Ciemności nie może się do nas zbliżyć. Nigdy! - Potrząsnęła energicznie głową.

Znowu zawołałem o pomoc. Jeżeli ta Mądra Kobieta pokrzyżowała szyki Ursilli (byłem pewny, że to ona rozdarła świat cieni), to może mogłaby mnie uratować, wskazać drogę ucieczki ze zwierzęcego ciała.

Wyczołgałem się powoli spod krzaka. Może swoim ciałem zdołam wyrazić błaganie o pomoc. Więc upokorzyłem się najbardziej jak potrafiłem: na brzuchu pełzałem po ziemi.

Czubek różdżki już nie mierzył w moją głowę, ale kołysał się lekko na boki. Kreślił w powietrzu jasnego dnia symbole zielonym dymem, który szybko się rozwiewał.

- Nie - powiedziała czarownica. - Kiedy Ciemność atakuje i Zło krąży po kraju, nie otwieramy naszych bram przed czarami, od których cuchnie Cieniem. Nie wiem, kim jesteś, ani dlaczego aż tutaj dotarłeś ze swymi kłopotami. Nic nie mogę dla ciebie zrobić. Nie możesz tu pozostać... nawet - zawahała się - nawet gdyby ci się udało. Nie sądzę, żeby ktoś taki jak ty zdołał wejść do naszej twierdzy. Jeśli jednak ci się powiedzie, wtedy zobaczymy...

Nie odmawiała już tak stanowczo jak na początku. Pełzałem dalej. Lecz gdy już stawiałem łapę na dróżce, oślepił mnie zielonkawy błysk tryskający z ziemi. Jednocześnie poczułem silny ból w łapie. Uderzyłem nią w jakiś niewidzialny mur

obronny. Mądra Kobieta powiedziała prawdę, krąg Zielonej Magii odtrącił mnie.

Wywołany tym szok rozluźnił kontrolę człowieka nad zwierzęciem. Przestałem być Kethanem, a stałem się lampartem, którego rozwścieczyła odmowa. Smagając ziemię ogonem, ryknąłem gniewnie. Skoczyłem, uderzając znów w niewidzialną zaporę.

Wyraz twarzy czarownicy zmienił się. Podniosła różdżkę i jak batem smagneła nią powietrze. Na mój poraniony grzbiet spadło bolesne uderzenie, a przecież różdżka nawet mnie nie musnęła.

Zaryczałem na cały głos, a ból tylko podsycił mój gniew. Człowiek został uwięziony w jakimś zakamarku zwierzęcej czaszki. Zabij! Zabij! Słyszałem te słowa tak wyraźnie, jakby ktoś krzyknął mi je do stulonych uszu. Ryknąłem i zaatakowałem zaporę oddzielającą mnie od zdobyczy.

Znów czarodziejska różdżka przecięła powietrze i piekący ból przeorał mi grzbiet i boki. Nawet dominująca teraz we mnie nierozumna bestia pojęła, że dalsza walka nie ma sensu, gdyż tylko naraża na karzące ciosy. Warknąwszy po raz ostatni, wycofałem się do lasu. Nie obejrzałem się za siebie.

Wśród drzew i krzewów człowieczy umysł odzyskał wolność i podporządkował sobie lamparta. Poczucie poniesionej klęski sprawiało mi taki sam ból jak ciosy różdżki. Mój nieudany atak na Mądrą Kobietę na pewno zniweczył szansę porozumienia z mieszkańcami Gwiazdnej Wieży. Wierzyłem, że tylko tam mógłbym znaleźć pomoc. Tak byłem tego pewien, jak gdyby owa czarownica przysięgła mi to na jedno z Imion Mocy.

Nie obchodziło mnie, gdzie szedłem. Nie łudziłem się nadzieją, że jakiś mieszkaniec lasu zechce stać się moim przyjacielem. Byli tu tacy, którzy mogli dać mi schronienie, ale we własnym interesie. A ja muszę unikać ich tak samo jak Ursilli.

Mieszkanca Gwiazdnej Wieży ocaliła mnie przed atakiem rozszoszczonej wiedźmy, lecz zrobiła to tylko dlatego, że złe i obce czary w jakiś sposób zagroziły jej domowi. Nie wolno mi liczyć na podobny uśmiech losu. Ursilla niezawodnie rzuci inny czar, tak samo potężny. Zna tak wiele czarów...

Wędrując bez celu po lesie trafiłem znów na małą polankę, gdzie stała znajoma kolumna i rosły księżycowe kwiaty. W blasku słońca ich płatki były mocno stulone. Widziałem tylko szarozielone pąki i kilka uschłych, martwych główek kwiatów, a we wnętrzu kolumny nie płonął ogień. Zawahałem się i zatrzymałem pod gałęziami drzew otaczających zaczarowane miejsce. Czy ono też jest dla mnie



niedostępne? Przez moment wierzyłem, że jakaś życzliwa moc mogłaby ukryć mnie przed Ursillą. Gdzie mógłbym ją znaleźć...?

Przysiadłem na łapach, jakbym szykował się do skoku. Po namyśle jednak przypadłem brzuchem do ziemi i powolutku, nieznacznie zacząłem się czołgać.

Tym razem nie poczułem upajającego zapachu kwiatów, mrowienia na grzbiecie wywołanego czarami, ani nie dostrzegłem uosobionego piękna. Wydawało się, że magia opuściła ten zakątek; wszedłem do księżycowego ogrodu, zbliżyłem się do kolumny - i nic. Nie czułem wyładowań energii jak ostatniej nocy.

Trąciłem nosem kolumnę. Była z kamienia, z martwego, zwykłego kamienia. Nie zostało tu nic, co mogłoby podtrzymać we mnie nadzieję.

Wycofałem się powoli. Musiałem wrócić nad rzekę; poczułem głód. Ale oprócz głodu dokuczała mi samotność. Przez całe życie - chociaż przebywałem wśród ludzi - zawsze byłem samotny. Teraz jednak samotność przygniotła mnie ciężkim brzemieniem. Czy nigdy nie znajdę kogoś takiego jak ja, Kethan?

Wprawdzie byli Jeźdźcy Zwierzołacy...

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powinienem ich odszukać. Może by mnie zaakceptowali ci, którzy przez całe życie mają dwie postacie? Lecz oni byli zmiennokształtni z urodzenia i z własnego wyboru, podczas gdy na mnie - jak ostrzegła mnie matka - ciążyło przekleństwo, które miało odgradzić mnie od świata.

Czy na tym polegał plan pani Eldris? Czy w ten sposób chciała usunąć mnie Maughusowi z drogi? Mogłem się z tym pogodzić, tak jak pogodziłem się z okrzykiem Thaney „Zabij!”, gdy spojrzała na mnie ponad ramieniem swego brata trzymającego obnażony miecz. Nic mnie nie łączyło z moją narzeczoną.

Obraz Thaney takiej, jaką widziałem po raz ostatni, zniknął bez śladu. Zastąpił go inny, głęboko wryty w mojej pamięci. Widziałem ją tak jak wtedy, w blasku księżycy, wyciągającą ku niebu koszyk z kwiatami. Panna Czarodziejka, Księżycowa Śpiewaczka... Lecz ona mieszkała w Gwiezdnej Wieży, a ja nie miałem tam wstępu.

W dole płynęła rzeka. Zszedłem na mieliznę wysuniętą w nurt jak palec i piłem łapczywie. Zaspokoiwszy pragnienie, przestałem snuć fantastyczne rojenia. Uświadomiłem sobie, że muszę żyć dniem dzisiejszym, a nie przeszłością czy oczekiwaniem ponurej przyszłości.

Byłem głodny. Zanurzyłem łapę w fale rzeki i oto los ofiarował mi ryby, które pożarłem z apetytem, nie zostawiwszy ścierwojadom nawet kawałka ostro zakończony płetwy. Wokół mnie tętniło zwyczajne życie zwykłego lasu. Nie

wyczuwałem żadnego wroga, ani myśliwego, ani władcy mocy.

Znalazłem wystającą ukośnie z ziemi skałę, która mogła osłonić mnie przed gorącymi promieniami słońca. Położyłem się pod nią, ale bałem się zasnąć. Lękałem się powrotu do snu, który utkała Ursilla. Jeżeli Kethan się tego obawiał, to ciało lamparta nie zwracało uwagi na takie niebezpieczeństwa. Wszystkie koty małe czy duże śpią dłużej niż człowiek. Musiałem ulec żądaniom mojego nowego ciała.

Obudziłem się o zmierzchu. Przypuszczalnie to zwierzęce instynkty wyrwały mnie ze snu, tym razem na szczęście nie rojącego się od koszmarów. Kiedy podniosłem głowę i rozejrzałem się dookoła, wyczułem niebezpieczeństwo.

Nie mogłem go określić, ani jego rodzaju, ani kierunku. Wiedziałem tylko, że serce wali mi jak młotem, a wargi wykrzywia bezgłośnie warknięcie, naturalna reakcja lamparta. Dopiero po kilku chwilach zorientowałem się, że groźba nie pochodzi z mojego naturalnego świata, ale z innej płaszczyzny istnienia. Ursilla! Odnalazła mnie i chciała pokonać!

Rzuciłem się do ucieczki. Wyskoczyłem z mojego schronienia i pomknąłem wielkimi, kocimi susami. Naraz zorientowałem się, że chyba chodzi o coś innego... Na otwartej przestrzeni zauważyłem inne, też uciekające zwierzęta.

Nie zwracając uwagi na mnie - naturalnego wroga - biegły z tyłu dwie małe leśne sarny, dogoniły mnie i odskoczyły, błyskając ze strachu białkami. Za nimi pędziły ociężałe trzy wilki, które ludzie z Czterech Klanów widują tak rzadko, że stały się prawie legendą. Z krzaków i wysokiej trawy, która w tym miejscu porastała brzegi rzeki, dobiegał szelest i rumor robiony przez mniejsze zwierzęta, podczas ucieczki tylko migające włochatymi zadkami.

Nagle odkryłem ze zdumieniem, że na mnie nikt nie poluje. Zawahałem się w biegu. Może to nie jest jednak gierka Ursilli? Ale kiedy spróbowałem się zatrzymać, zalała mnie fala strachu. I to wyłącznie zwierzęcy strach mną kierował, gdy tak pędziłem na oślep obok innych uciekinierów.

Wiedziałem, że czasami urządzano polowania na otwartej przestrzeni. Naganiacze straszili wtedy zwierzynę i oszalałą ze strachu pędzili w stronę czekających myśliwych. Ten obecny atak trochę mi przypominał takie polowanie. Nie usłyszałem jednak głosu rogów czy walenia w kotły. Zresztą nie uciekałbym wtedy na złamanie karku.

Polowano na nas, lecz psem, który nas ścigał, był stwór służący Ciemności. Jego emanacja wystarczyła, żebyśmy wszyscy rzucili się do panicznej ucieczki. Kiedy

to sobie wyjaśniłem, uspokoiłem się nieco i zdołałem, choć w małym stopniu, zapanować nad strachem.

Nie tyle zacząłem zwalniać bieg - bo wkrótce przekonałem się, że to było niemożliwe - ile skręcać na prawo. Zauważyłem bowiem dziwną rzecz: uciekające zwierzęta biegły jedną ścieżką - jak gdyby musiały trzymać się wyznaczonej z góry drogi.

Biegłem coraz bardziej na prawo, aż dotarłem do miejsca, które uznałem za brzeg owej drogi. Sprężyłem się do jednego długiego skoku... Nie do przodu, lecz w bok...

Moje ciało wygięło się łukiem w powietrzu. A potem...

Straciłem panowanie nad swoimi mięśniami. Znow ogarnęła mnie panika, która wypełniła cały mój umysł, wyparła zeń rozum, a pozostawiła tylko zwierzęcy strach. Za sekundę rozbiję się o ziemię...

Coś zacisnęło się wokół mnie! Rzuciłem się do przodu, skręciłem i przekonałem się, że wpadłem w sieć. Omotały mnie lepkie liny.

## **O śnieżnym kocie i o tym, co się wydarzyło w starożytnej ruinie**

Moja szarpanina na nic się nie zdała, gdyż sieć zaciskała się coraz mocniej. A tam, gdzie dotykała moich ran, czułem palący ból tak straszny, że aż zaryczałem z bólu i przerażenia.

Zostałem więc uwięziony w jakiejś sieci. Usiłując myśleć spokojnie i zapanować nad bezmyślnym strachem, zauważyłem pewne podobieństwo miejscami poszarpanej przeze mnie sieci do małych pajęczyn, które znaleźć można każdego poranka w ogrodzie i na polu. Są podobne do delikatnych koronek, a ozdobione kropelkami rosy.

Jakie stworzenie potrafiło utkać sieć tak dużą, że nie mógł się z niej uwolnić szamoczący się ze wszystkich sił lampart? Ta myśl mnie zmroziła. W miarę jak umysł Kethana odzyskiwał kontrolę, przestałem się szarpać.

Nikt z nas nigdy się nie zapuszczał ani do tego lasu, ani na rozciągające się za nim wzgórza. Nasza wiedza o tej krainie ograniczała się do garści wrażeń z drugiej ręki i nie sprawdzonych opowieści. Większość wierzyła, że można tam spotkać mnóstwo dziwnych stworzeń. I tylko nieliczne z nich powitałyby u siebie ludzi z Czterech Klanów. No, chyba że jako zdobycz!

Walcząc z siecią przyczepiłem się jakoś niechcący do wysokiej skały. Zauważyłem na jej powierzchni płaskorzeźby tak stare i zniszczone przez czas, że nie dawała się określić żadna prawidłowość ich konturów.

Drugi taki kamienny słupek wznosił się o parę stóp od pierwszego, a sieć rozciągała się między nimi. Szarpiąc się rozerwałem część sznurów, które pozlepiły się ze sobą w pasma i uwięziły mnie bliżej jednej, z podpór. Sznury wyglądały na bardzo cienkie i delikatne, ale poznałem już ich wytrzymałość.

Przyglądając się uważnie pułapce, wyczułem jeszcze coś. Podobnie jak od razu wiedziałem, że we wnętrzu Gwiezdnej Wieży nie kryje się zło i że może stać się schronieniem przed sługami Cienia, tak tutaj rozpoznałem wręcz odwrotną sytuację. Z kamiennego słupa, do którego byłem przywiązany, dotarła do mnie fala zimna, śmiertelnego mrozu, zdolnego zmienić umysł i serce człowieka w bryły lodu. Poczułem, jak zalewa mnie ohyda, ukryte w zimnie zło. Odniosłem wrażenie, że pogrążam się w jakimś potwornym bagnie.

Początkowo zło wydawało się bezcielesne, było jak chmura, bez kształtu ani

osobowości. Lecz im dłużej mnie lizało, tym silniej uświadamiałem sobie, że w jakiś sposób jest namacalne. I że będę musiał stawić czoło temu czemuś - stworowi? - i to niezadługo.

Wstrząsały mną dreszcze, których nie mogłem kontrolować. Futro nie chroniło mnie przed lodowatymi wyziewami sługi Zła, który schwycił mnie w pułapkę. Nie mogłem nic zrobić, tylko bezsilnie zwisając w pętach czekać, aż przyjdzie...

Jakiś ruch!

Spróbowałem obrócić choć głowę, żeby lepiej dojrzeć to, co dostrzegłem tylko przelotnie kątem oka, a co wzbudziło moje obawy. Z trudem, ale mi się udało.

Za kamiennymi słupami zauważyłem rumowisko skalne. Nie... to nie były skały. Mimo wywołanych erozją zniszczeń, miały zbyt regularne kształty. Kiedyś musiał tam stać jakiś budynek, a rzeźbione filary strzegły wejścia.

Starożytne bloki runęły na ziemię, tworząc wysoką pryzmę. Szpary wypełniła biaława ziemia, ale nie porosła ani jednym źdźbłem trawy. W istocie na dość dużym obszarze wokół starożytnej ruiny nic nie rośło. A w środku sterty kamieni ziała ciemna jama.

Coś się tam poruszyło. Wreszcie odnalazłem źródło zła. To tam gnieździł się stwór, który utkał niesamowitą sieć. Przyglądał mi się. Odniosłem wrażenie, że z zadowoleniem, i poraziło mnie to jak grom. Byłem zdobyczą!

Z jamy wynurzyła się w rytmicznych drgawkach łapa podzielona na coś w rodzaju segmentów. Na jej końcu tkwił pazur tak wielki, że mógłby rozerwać mi gardło. I chociaż ową kończynę pokrywał pancerz podobny do owadziego, pomiędzy segmentów sterczały pęki sztywnych, białoszarych włóków.

Pazur zacisnął się na jednym z lepkich sznurów przymocowanych do kamiennego słupa i potrzęsął nim energicznie. Próbowałem się jakoś przeciwstawić narastającemu uciskowi sznurów. Taki właśnie mój ruch zapewne poinformował stwora, że w jego sieć wpadło żywe stworzenie. Noga i pazur natychmiast się cofnęły. Dobrze wiedziałem, że nie na długo. Od niewygodnej pozycji rozbolała mnie szyja, ale nie wolno mi było odwracać się od wroga.

Kiedy tak wpatrywałem się w otwór jamy, zauważyłem w niej prawie niewidoczne małe, żółtawe punkciki. Naliczyłem ich osiem w dwóch rzędach. Oczywiście! Przyglądały mi się i śledziły każde moje poruszenie.

Odgłosy uciekających w popłochu zwierząt ucichły w oddali. Przez chwilę zawisłem w grobowej ciszy czekając... Potem z jamy ponownie wysunęła się ta

potworna łapa, po niej druga! W głębi widziałem tylko oczy, gdyż ciało potwora nadal ukryte było w jego legowisku.

Wydało mi się, że zaryczałem na cały głos. Lecz to było złudzenie: żaden gniewny dźwięk nie wydobył mi się z piersi. Nagle pojawiło się jakieś zwierzę, które skoczyło na szczyt stosu kamiennych bloków. Straszne kończyny natychmiast schowały się w dziurze.

Śnieżny kot! Nigdy jeszcze nie spotkałem tego ogromnego drapieżnika. Wściekle warczał, jego zielone oczy ciskały błyskawice, a ogon smagał boki. Utkwił we mnie wzrok i ryknął.

Dobrze znałem reputację gigantycznych górskich kotów. Zazdrośnie strzegły swoich terytoriów łowieckich, często staczając o nie walki na śmierć i życie. Poza okresem rui nie utrzymywały żadnych kontaktów ze swoimi pobratymcami, samotne, aroganckie i dumne.

Śnieżny kot uznałby za intruza każdego lamparta, który ośmieliłby się wtargnąć na jego teren. Ale ja byłem już zdobyczą kryjącego się w jamie stwora i w niczym nie mogłem zagrozić przybyszowi. Więc dlaczego chciał mnie zaatakować?

Śnieżny kot był samcem, jak osądziłem, u szczytu sił. W innych okolicznościach uznałbym, że wygląda wręcz wspaniale. Może szybka śmierć, jaką mi zada, będzie lżejsza od tego, co zaplanował dla mnie kryjący się w jamie potwór. Tylko że nikt nie wita śmierci z radością.

A później...

Znów miauknąłem przeraźliwie. Nie z bólu, lecz ze strachu, który poraził mnie bardziej niż rozdzierające ciało pazury. W moim umyśle odezwał się jakiś głos!

Wiadomo, że czarownicy i czarownice mogą się w ten sposób porozumiewać między sobą. Lecz do tego trzeba mieć odpowiednie wykształcenie i pewne konieczne zabezpieczenia, żeby kontrolować i złagodzić każdą taką inwazję. Żaden normalny człowiek nie ma takiego talentu, a zresztą nie chciałby pewnie nawet o czymś takim myśleć.

- Nie ruszaj się!

Czy to ostrzegł mnie nieznany potwór? Czy może śnieżny kot? Czyżby ludzie nie wiedzieli, że te wielkie koty umieją w ten sposób komunikować się między sobą?

- Nie ruszaj się! - Ktoś znów powtórzył rozkaz. Śnieżny kot! To na pewno był śnieżny kot!

Leżąc teraz na brzuchu na jednym z głazów, centymetr po centymetrze pełził w

stronę położonego nieco niżej bloku, który spoczywał bezpośrednio nad ciemną jamą. Dosięgnął go wreszcie i kamień lekko się poruszył. Śnieżny kot szybko cofnął łapę. Pochylił głowę, obwąchując dolną krawędź głazu. A może tylko się z bliska przyglądał, jak był osadzony?

Nie wiem, co tam zauważył. W każdym razie szykował się teraz do skoku. Muskuly grały mu pod skórą, a czarny koniuszek srebrzystobiałego ogona poruszał się wymownie. Skoczył, całym ciężarem opadając na podejrzany gład. Ten z łoskotem runął w dół zamykając wejście do nory potwora. Śnieżny kot, który spychając gład ledwie go musnął, przekreślił się w powietrzu i spadł na ziemię.

Zaczepił przednią łapą o jedną z lepkich lin ogromnej sieci. Nie szamotał się tak jak ja. Bardzo ostrożnie i powoli cofnął łapę naciągając przyklejony sznur. Potem postawił ją na ziemi i jął delikatnie pocierać o piasek otaczający ruinę.

Podczas gdy moja szaleńcza szarpanina sprawiła, że więzy tylko mocniej się zaciskały, jego delikatne obchodzenie się z nimi rozerwało je i obluzowało. Chciałem go naśladować, ale na to byłem zbyt mocno skrępowany.

- Nie ruszaj się! - Wielki kot chodził tam i z powrotem tuż przed płataniną porwanej sieci, uważnie oglądając moje lepkie pęta. Potem odwrócił się i zniknął jak srebrna błyskawica.

Zostałem sam. Śnieżny kot pod jednym względem poprawił mój los: przywalił głazem jamę potwora i nie sięgały już po mnie straszne łapy. Ale cóż zyskałem? Zamiast szybkiej zagłady czekała mnie teraz powolna śmierć z głodu i pragnienia albo z przerażenia, gdyby znaleźli mnie padlinożercy. Musiałem się z tym pogodzić.

Moje przednie łapy były gęsto i ciasno omotane. Poraniony grzbiet i boki, na które opadła lepka sieć, już mnie nie bolały, ale zad i tylne łapy miałem zupełnie zdrętwiałe. Śnieżny kot znów pojawił się przede mną. Trzymał w pysku rozszczipioną gałąź. Zapewne odgryzł ją sam. Zmiażdżone liście wydawały ostry, drażniący zapach, aż tak przykry, że oczy zaszyły mi łzami i zacząłem kaszleć.

Położył gałąź pilnie bacząc, żeby liście nie dotknęły przypadkiem jego skóry. Zbliżył się do mnie i uważnie przyjrzał się splątanym linom.

- Niebezpieczeństwo... - Zabrzmiała mi w mózgu jego myśl. - Jest tylko jeden sposób. Nie ruszaj się!

Z wyraźnym wysiłkiem podniósł gałąź z ziemi i ostrożnie, by mnie nie dotknęła, położył w poprzek sieci. Z lepkich lin buchnął kłęb pary.

Tam, gdzie ociekające sokiem liście dotknęły pozostałości gigantycznej

pajęczyny, sznury schły i czerniały, wydając obrzydliwy smród. Krępujące mnie liny usychały, jakby coś je wypalało. Wreszcie odpadły z mojego ciała czarnymi strzępami. Osunąłem się na ziemię.

Byłem wolny i tylko to się liczyło. Odskokczyłem od kamiennego słupa. A raczej spróbowałem odskoczyć, gdyż z trudem mogłem się poruszać. Tylne łapy nadal miałem sparaliżowane. Zachwiałem się i byłbym upadł, gdyby śnieżny kot nie podparł mnie barkiem. Tylko dzięki jego sile utrzymałem się na nogach.

Mój domysł był słuszny: to nie był prawdziwy kot. Kiedy powoli oddalaliśmy się od siedziby sługi Zła, nie wyczułem w nim skazy Ciemności. Czy był to zmiennokształtny? Czyżbym naprawdę znalazł kogoś takiego?

Kiedy mój towarzysz podpierając mnie, wyprowadził na drogę, którą niedawno uciekały spłoszone zwierzęta, przekonałem się, że tamten mój strach znikł. Nie wierzę, że to potwór ukryty w ruinach wywołał panikę w mieszkańcach lasu. Byłem pewny, że spowodował to jakiś szukający ofiary pies Ciemności.

Śnieżny kot zaprowadził mnie nad rzekę. Moje tylne łapy powoli odzyskiwały sprawność, ale za to znowu zaczęły mi dokuczać rany na grzbiecie. Przy każdym kroku ból coraz mocniej zatapiał we mnie szpony, aż wreszcie stał się tak straszny, że szedłem półprzytomny, prawie nic nie widząc.

Nie wiem, dlaczego nie osunąłem się na ziemię. Czułem tylko, że tak jak przedtem kierowała mną wola jakiegoś sługi Ciemności, tak teraz utrzymywała mnie na nogach determinacja śnieżnego kota. Nie odezwał się już do mnie w myśli, ale emanowała od niego wzmacniająca mnie siła.

Na widok rzeki zatrzymał się, uniósł głowę i zaczął węszyć. Otaczały nas skały pełne rozpadlin i szczelin. Wepchnął mnie w pierwszą lepszą. Wpełzłem powoli, tak wyczerpany, że każde podniesienie i opuszczenie łapy wydawało mi się ostatnim moim wysiłkiem.

Skuliłem się spragniony, marząc o wodzie, której szmer słyszałem w mojej kryjówce, ale do której nie mogłem dotrzeć. Śnieżny kot zagradzał wejście. Zdawało mi się, że na coś czeka. Wyczułem drżenie ziemi i poprzez oszołomienie bólem usłyszałem tętent końskich kopyt. Ludzie? Myśliwi z Zamku? Jeśli zobaczą śnieżnego kota, to niewątpliwie nań zapolują. Trafia im się dwa łupy zamiast jednego! Muszę go ostrzec... Nie umiając porozumiewać się za pomocą myśli, mogłem tylko cicho warknąć.

- Nie ci, których się obawiasz. - Nie odwrócił się, by na mnie spojrzeć, ale



usłyszałem go wyraźnie. - Bądź cicho.

Zobaczyłem teraz jeźdźca.. Był sam. Miał na sobie kolczugę, a na głowie ozdobny hełm z osadzonym na szczycie orłem naturalnej wielkości z uniesionymi skrzydłami, jakby zrywał się do lotu. Jego koń nie przypominał z wyglądu naszych wierzchowców, lecz najwyraźniej należał do tej samej odmiany, którą widziałem na pastwisku pod Gwiazdą Wieżą, z plamistą sierścią i wyższymi niż zwykle nogami.

Kiedy jeździec ujrzał śnieżnego kota, nie sięgnął po miecz. Podniósł rękę w luskowej rękawicy, jakby witał kogoś znajomego. Kot zbliżył się do niego i wskoczył na sterczącą obok skałę. Jego łeb znalazł się prawie na tym samym poziomie, co głowa jeźdźca.

Twarzy jeźdźca nie widziałem wyraźnie spod hełmu. Nie słyszałem też toczącej się rozmowy, prowadzili ją widać w sobie tylko znany sposób.

Nie widziałem na ciele kota żadnego pasa. Jeżeli należał do zmiennokształtnych, to może nie potrzebował takiego klucza do zmiany postaci. Czy wywodził się z Jeźdźców Zwierzolaków? Ich terytorium ponoć miało leżeć na południowy wschód od ziem naszego klanu, ale to oczywiście nie przeszkodziłoby im poruszać się wszędzie, gdzie zechcą.

Wreszcie jeździec uniósł rękę w pożegnalnym geście. Zawrócił i odjechał tam, skąd przybył. Czyżby przywiózł jakieś posłanie?

Śnieżny kot nie spoglądając nawet za nim zawrócił w miejscu i zbliżył się do mnie.

- Musimy się pośpieszyć. Siły Ciemności atakują! - usłyszałem w myśli rozkaz.

Człowiek we mnie zareagował na jego słowa. Zdołałem stanąć na nogach, lecz moje lamparcie ciało było prawie u kresu sił. Jakoś zdołałem dowlec się do rzeki. Wszedłem do wody, napiłem się i bezsilnie przyglądałem, jak woda się podnosi i zlepia mi futro. Jedynie dzięki pomocy mojego towarzysza przebrnąłem przez słaby prąd i dostałem się na drugi brzeg.

Tam osunąłem się na ziemię z wyczerpania. Kot trącił mnie nosem, starając się mnie podnieść. Bez skutku. Ponownie rozległ się tętent kopyt. Śnieżny kot pozostawił mnie i skierował się w stronę lasu. Nie wiedziałem, czy to wracał jeździec w orlim hełmie, czy też zbliżał się jakiś myśliwy, i mój towarzysz, zrobiwszy dla mnie co mógł, przezornie się wycofał?

W owej chwili wszystko było mi obojętne. Byłem zbyt zmęczony. Z apatią

spoglądałem przed siebie, nie próbując nawet podnieść głowy. Kot zatrzymał się przy pierwszym drzewie i znów czekał.

Z lasu wynurzył się jakiś jeździec prowadzący za wodze konia z pustym siodłem. To była Księżycowa Czarodziejka, lecz tym razem miała na sobie spodnie, buty, koszulę i kaftan w kryjącym zielonobrazowym kolorze. Wyraźnie ją zobaczyłem dopiero wtedy, gdy wyjechała na otwartą przestrzeń.

Śnieżny kot stanął na tylnych łapach i oparł przednie na jej siodle. Koń nie okazywał najmniejszego strachu i stał spokojnie. Dziewczyna nachyliła się lekko ku memu towarzyszowi i spojrzeli sobie w oczy. Skinęła głową.

Wyjęła zza pazuchy jakiś niewielki przedmiot. Trzymając go jak broń w wysuniętej do przodu ręce, podjechała do mnie, a kot biegł za nią. Zeskoczyła z lekkiego siodła, puściwszy luzem wodze, a jej wierzchowiec stanął w miejscu jak wryty. W jej ręku kołysała się zawieszona na łańcuszku kryształowa kula. W środku kuli zobaczyłem gałązkę jakiejś rośliny, zieloną i świecąca.

Księżycowa Czarodziejka zarzuciła mi łańcuszek na szyję w chwili, gdy z trudem podnosiłem głowę na jej powitanie. Kula z gałązką zawisła na mojej szyi. I oto...

Stałem się człowiekiem!

Moja sierść gdzieś zniknęła. Wróciłem! A przecież nie odzyskałem czarodziejskiego pasa.

Szok tej gwałtownej przemiany był tak wielki, że zakręciło mi się w głowie. Poczułem na sobie dotknięcie czyjejś dłoni, zdałem sobie sprawę, że mnie podniesiono i przerzucono przez siodło.

Ktoś wsiadł na konia. Czując dotyk na poranionych plecach o mało nie zawyłem z męki. Zaparło mi dech z bólu, który sprawiał mi każdy koński krok. Zajął się mną jakiś mężczyzna, który nie wiadomo skąd się wziął.

Jak przez mgłę zobaczyłem pochyloną nad sobą ogorzałą, szczupłą twarz i rosnące stożkowato nad czołem ciemne włosy. Było to oblicze człowieka skrytego, który nie ujawnia swoich myśli. Podobnie jak kobietę z Gwiezdnej Wieży, tego mężczyznę też mógłbym uznać za młodzieńca. Tylko jego zielone jak u kota oczy były stare - stare i zmęczone. Utkwił we mnie wzrok. Nic w myśli nie mówił, ale w jakiś sposób dodał mi sił, przeniósł mnie w ciemność, gdzie nie było bólu i czas się nie liczył.

Jednak niecałkowicie uległem woli nieznanego. Jakby z wielkiej odległości

wyczuwałem, że jedziemy przez las. Miałem przekonanie, że nie życzy mi źle. Zdałem sobie sprawę, że nie powinienem się teraz tym przejmować - powinienem odzyskać siły i wolę. Nie opuszczało mnie zdumienie nad cudem, którego dokonała Księżycowa Panna: znów byłem człowiekiem. Czułem ciepło rozprzestrzeniające się od kuli, którą zawiesiła mi na szyi. Jeśli chcę pozostać w ludzkiej postaci, nie mogę utracić tego talizmanu.

## **O mieszkańcach Gwiezdnej Wieży i o tym, jak wybrałem niebezpieczeństwo**

Leżałem na brzuchu ze zwróconą w bok głową; przed sobą widziałem tylko ścianę z kamiennych bloków. Na moich plecach spoczywało coś chłodnego, kojącego ból, wyciągającego z ran gorączkę, która tkwiła w nabrzmiałych śladach po więzach od chwili, gdy wydostałem się z sieci nieznanego potwora. Usłyszałem za sobą głosy, tym razem prawdziwe, a nie tamte, rozbrzmiewające, w głębi umysłu.

- Moly\* [\*Moly (ang.) - dziki czosnek (przyp. tłum.).] wkrótce straci swą moc. Co wtedy, panie? To był kobiecy głos, już mi wcześniej znany. Brzmiało w nim wyzwanie.

- Musimy dowiedzieć się, kim jest i skąd przybył. Nie wierzę, że z Szarych Wież. Ale czy w Arvonie jest inne plemię zmiennokształtnych? Nie służy Ciemności. Jeżeli ocknie się przed zmianą postaci, może sam to powie...

Czy mówił to mężczyzna, który trzymał mnie przed sobą na siodle, kiedy odjeżdżaliśmy znad rzeki? I gdzie się znajdowałem? Kim byli ludzie, którzy mną się zajęli? Rozbudziłem się całkowicie, czując palącą ciekawość.

Uniosłem się lekko i odwróciłem głowę, chcąc oboje zobaczyć.

Tak, to był mężczyzna, który mnie uratował. Niestety, nie towarzyszyła mu Księżycowa Czarodziejka, jak miałem nadzieję. Stała tam kobieta, która przepędziła mnie z ogrodu. Dlaczego teraz nie tylko dała mi schronienie, ale również opatrzyła moje rany? Musiałem przebywać we wnętrzu Gwiezdnej Wieży; świadczyły o tym dziwnie wygięte ściany komnaty, która prawdopodobnie mieściła się w jednym z ramion gwiazdy.

- Kim jesteście wy, którzy udzieliliście mi schronienia? - zapytałem, gdy żadne z nich się nie odezwało.

Kobieta dotknęła mojego czoła chłodnymi palcami. Od jej ręki wionął słaby zapach roślin, jak gdyby przed chwilą wróciła z ogrodu.

- Gorączka opadła - powiedziała. Zdjęła okrycie z moich pleców i poczułem chłód powietrza na ramionach i biodrach. Dotknęła miejsc przy ranach, które zadał mi sokół. - Dobrze się goi, trucizna się cofa. Pytasz, kim jesteśmy? - Stała tak, że miałem ją przed oczami. - Trzymamy się z dala od innych, nikogo o nic nie prosimy i chcemy tylko, żeby pozostawiono nas w spokoju.

Na jej twarzy nie było zyczliwości, ale nie było też wrogości. Zdawała się

teraz czekać na jakiś mój gest lub słowo, żeby osądzić, czy jestem przyjacielem, czy wrogiem. Lecz mimo tej jej powściągliwości wiedziałem, że nigdy nie nazwę jej nieprzyjaciółką, ponieważ miała w sobie coś, co wskazywało, że brzydziła się Ciemnością pod każdą postacią.

- A kim ty jesteś? - zapytał mężczyzna. Podeszedł i stanął obok nieznajomej.

- Jestem... to znaczy... byłem Kethanem, dziedzicem Car Do Prawn z Klanu Czerwonych Płaszcz. Kim jestem teraz, nie mam pojęcia.

Byłem pewny, że na mgnienie zmieniła mu się twarz, kiedy to mówiłem. Przemknęła mi myśl, że to myśliwi Maughusa roznieśli wszędzie wieść o mojej ucieczce, aż dotarła do tego spokojnego miejsca. Jednak trudno mi było zaakceptować fakt, że któreś z tych dwojga uległo naciskom kogoś takiego jak Maughus. Otaczała ich bowiem, jak płaszcz w chłodnych miesiącach roku, nieuchwytna aura mocy. Wyczuwałem, że podobnie jak Ursilla widzieli i robili rzeczy niemożliwe dla zwykłych ludzi.

- Car Do Prawn... - powtórzył z namysłem mężczyzna. - Rządzi tam pan Erach, ale jeśli jesteś jego następcą... - Spojrzał na mnie pytająco.

- Jestem synem jego siostry, pani Heroise.

- To czysto ludzka rodzina - ciągnął nieznajomy. - Jak więc doszło do tego, że zmieniłeś postać? Czy rzucono na ciebie czary?

- Z powodu mojej głupoty, jak powiedziała Ursilla i moja matka, za pomocą pasa...

- Niech później opowie swoją historię - przerwała mi kobieta. - Myślę, że powinien teraz wypić lekarstwo. Musi nabrać sił albo moly przestanie działać wcześniej.

Nie zrozumiałem, co miała na myśli. Lecz gdy mężczyzna pomógł mi usiąść, a kobieta przyniosła kubek z jakimś dymiącym i gorzkim napojem, posłusznie wypilem go duszkiem. Kiedy piłem, ktoś wszedł do komnaty.

Moja Księżycowa Czarodziejka! Wciąż miała na sobie strój do konnej jazdy, w którym widziałem ją nad rzeką. Za nią szły dwa płowe zwierzaki, w których rozpoznałem jeszcze nie wyrosnięte żbiki. Zdumiało mnie, że ktoś zdołał je oswoić, ponieważ znane są ze swej dzikości. Te tutaj ocierały się o jej nogi i przeszkadzały w chodzeniu, aż wreszcie wzięła śmielszego na ręce i trzymając w zgięciu ramienia, podrapała za uszami.

- W powietrzu lata pstrokaty sokół - powiedziała. - Cztery razy okrążył gród.

Nie sędzę, żeby polował. Przypuszczam, że raczej obserwuje.

- Więc to tak... - Kobieta skinęła głową, a potem spojrzęła na mnie i zapytała:

- Rany, które masz na plecach, zostały zadane sokolimi szponami. Jakich masz wrogów?

- Tylko jednego, władczynię mocy, Mądrą Kobięę imieniem Ursilla - wymamrotałem. Księżycowa Panna tak była pochłonięta swoimi myślami, że na mnie nawet nie popatrzyła. Dopiero po chwili zwróciła na mnie wzrok. We mnie zaś zaczęła działać jakaś inna magia, nie mająca nic wspólnego z mocą.

Po raz pierwszy zobaczyłem ją w majestacie przyodzianej w moc czarownicy, rozmawiającej z siłami znacznie potężniejszymi od największych spośród nas. Później spoglądałem na nią zamglonymi gorączką oczami nad bezimienną rzeką. Widziałem ją tylko trzy razy - a wydawało mi się, że znam ją przez całe życie. Kto wie, może wyczuwałem, że jest ktoś taki na świecie, i podświadomie jej szukałem? Ona jednak patrzyła na mnie obojętnie. Kociak, którego głaskała, pewnie więcej dla niej znaczyl.

- Ta Mądra Kobięta Ursilla... Czy ona mieszka w Car Do Prawn? - zapytał mężczyzna.

- Tak. Odkąd moja matka wróciła z Garth Howel... - Zawahałem się. Nie chciałem wyjawic w obecności Księżycowej Panny, że tylko w niewielkim stopniu byłem panem mojego losu. Wiedziałem jednak, że tej trójce muszę powiedzieć całą prawdę.

- Ursilla nie do końca jest moją nieprzyjaciółką. Chciałaby, żebym był jej posłuszny. Dlatego jej sługa, a jestem pewny, że to był jej sokół, zabrał pas. Może teraz znów mnie szuka.

- Opowiedz mi coś więcej o tym pasie - rozkazał mężczyzna, a w jego głosie dźwięczały te same stalowe nutki, co u Pergvina, kiedy uczył mnie szermierki.

I opowiedziałem mu wszystko, o otrzymaniu pasa w darze i o przemianie, jakiej dokonał, o tym, jak Maughus to wykorzystał, jak wypędził mnie z Zamku i wreszcie o ataku sokoła.

- Przypuszczasz zatem, że bez pasa nie zdołasz odzyskać ludzkiej postaci? - zapytał, gdy skończyłem.

- Myślałem, że nie, aż do tej chwili. Ale co zrobiłaś, pani - odważyłem się zwrócić bezpośrednio do dziewczyny - że znów stałem się człowiekiem?

Spojrzęła wymownie, a ja opuściłem oczy na wiszącą mi na piersi kryształową

kulę z zieloną gałązką, która wydała mi się teraz lekko przywiedła.

- To moly - odrzekła Księżycowa Czarodziejka. - Ziele, które niweczy każdy czar, ale tylko na czas swojej świeżości. Lecz kiedy zwiędnie - wzruszyła ramionami - znów zamienisz się w lamparta, chyba że się dowiesz, jak masz się obronić.

Odniosłem wrażenie, że spogląda na mnie z lekką pogardą, jakby uważała mnie za tak głupiego, że nie warto się mną zajmować. Uczucie, jakie do niej żywiłem, ochłodziło nieco i zmieszało się z gniewem. Kim była, żeby mnie tak osądzać?

Nieznajomy mężczyzna odwrócił od niej oczy i rozkazał:

- Wyciągnij rękę!

Wyciągnąłem, a on położył swoją dłoń pod moją i podniósł ją ku oczom. Uważnie przyjrzał się liniom, które spotykały się i krzyżowały na mej ręce. I oto znów zobaczyłem, jak zmienił się na twarzy.

- To nie pas spowodował twoją przemianę - powiedział otwarcie. - Stał się tylko kluczem, który otworzył drzwi. Niestety, ponieważ jest kluczem, słusznie przypuszczasz, że owa Mądra Kobieta może posłużyć się nim, by ciebie kontrolować. A gdyby ponadto pas został zniszczony... - zawahał się.

- Będę tylko lampartem? - zapytałem.

- W obecnym stanie rzeczy, tak - przyznał.

- Jeśli zaś Maughus zdobędzie lamparci pas, właśnie to będzie chciał zrobić. Zniszczyć go! - Nagle wróciły mi siły. Chciałem zeskoczyć z posłania, bezzwłocznie wrócić do Zamku. Gdybym stawił mu czoło jako człowiek, mógłbym wyzwąć go na pojedynek i... Ale co Księżycowa Panna powiedziała o moly? Przyjrzałem się kryształowej kuli. Widać było, jak w środku schnie gałązka.

- Czy mógłbym dostać inną? - uniosłem kulę i zapytałem trójkę stojącą obok mnie.

- Ten czar działa tylko raz dla tej samej osoby. - Kobieta pokręciła głową.

- A tymczasem... - Dziewczyna mówiąc to nadal głaskała trzymanego na rękach żbika. Drugi wspiął się do jej kolan i drapał spodnie. - Sokół krąży w górze. W ten sposób ktoś może się dowiedzieć, kim są mieszkańcy...

- Nie, jeszcze... nie - zaprzeczyła kobieta. - Rzuciłam czar...

- Nie działa - odparła dziewczyna kategorycznie, zaskakując tym starszych towarzyszy.

Kobieta wybiegła z pokoju, a dziewczyna za nią. Spojrzałem pytająco na mężczyznę, który wpatrywał się we mnie.

- A więc jest to czarodziejska więź - powiedział powoli.

- Co przez to rozumiesz?

- Właśnie to - jesteś przywiązany do tego pasa. A ów pas znajduje się daleko stąd, w rękach władczyni mocy.

- Więc przez cały ten czas, jaki tu jestem... - Zrozumiałem, co miał na myśli. - Jestem wyłomem w waszym systemie obronnym...?

- Na razie to nie ma znaczenia. - Wzruszył ramionami, jakby to była prawda. - Opowiedz mi coś więcej o tym wędrownym kupcu, tym Ibycusie. Co to był za człowiek?

- Moja matka powiedziała, że był kimś więcej, niż się wydawało. Przypuszczała, że powierzył pani Eldris tajemnicę pasa po to, by mogła go użyć przeciwko mnie. Ja... ja również myślałem, że handel był dla niego tylko zasłoną.

- Jeśli tak sądziłeś, to dlaczego przyjąłeś zaczarowany pas?

- Ponieważ... Jak tylko na niego popatrzyłem, zapragnąłem go mieć tak bardzo, że nie mogłem się opanować. - Powiedziałem prawdę, choć mogło mi to zaszkodzić w jego oczach: mógł uznać mnie za słabeusza łatwo ulegającego zachciankom. Nie wiem, dlaczego chciałem, żeby ten nieznajomy miał o mnie dobrą opinię. Od początku naszej znajomości ratował mnie przed rezultatami mojej głupoty.

Sądziłem, że wszyscy mieszkańcy Gwiazdnej Wieży uważają mnie za gorszą od siebie istotę i że moje zachowanie ich niecierpliwi. Pragnąłem w jakiś sposób udowodnić, że są w błędzie.

- Ten pas... - Ująłem w słowa to, co czułem pamiętnej nocy. - Uczynił mnie... wolnym...

- Ale teraz tę wolność ci odebrał - zauważył mój rozmówca. - A na takie pęta jest tylko jeden sposób.

- Jaki? Odebrać pas Ursilli? Odzyskać dawną postać i zniszczyć go? - Zarzuciłem go pytaniami.

- Pas jest kluczem. Musisz nauczyć się nim posługiwać.

- Jak?

- Odpowiedź kryje się w tobie i tylko ty możesz ją odnaleźć - odparł dwuznacznie. - Ale jednego jestem pewny: w Car Do Prawn grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

- Muszę tam wrócić, jeśli chcę odzyskać pas - powiedział powoli. - A jeżeli moly nie przetrwa dostatecznie długo... - Wciągnąłem głęboko powietrze,



przypatrując się uschniętej już gałązce w kryształowej kuli. - Będę musiał wrócić jako lampart.

Spojrzał mi w oczy. W ich zielonej głębi było coś, co...

- To ty jesteś śnieżnym kotem!

Nie skinął głową ani inaczej nie potwierdził mojego odkrycia. Wiedziałem jednak, że mój domysł był prawdziwy.

- Lecz... - Przeniosłem spojrzenie na pas, który nosił na kaftanie. Był ze zwykłej skóry, jaki mógłby nosić każdy mężczyzna. - Ty nie masz pasa... - Było to stwierdzenie faktu a nie pytanie. - Więc w jaki sposób...?

Teraz on pokręcił milcząco głową. Nie mógł mi nic wyjawić przez wzgląd na prawa Mocy, zrozumiałem to, podobnie, jak pojąłem, czemu nikt z tej trójki nie powiedział mi swego imienia. Najstarsze prawo głosi: nie należy podawać swego imienia obcym, gdyż mogliby je wykorzystać przy rzucaniu czarów. Nie musiałem obawiać się mieszkańców Gwiezdnej Wieży. Nie wątpiłem jednak, że nie udzielią mi schronienia, gdy będzie mi grozić jakieś niebezpieczeństwo.

- Ciemność rośnie w siłę. - Przerwał zapadłe milczenie mówiąc o sprawach, które mnie bezpośrednio nie obchodziły. - Ci, którzy wybrali Drogę Mroku, przygotowują się znów do ataku. Chcę cię zapytać o tego kupca Ibycusa. Czy nie wyczułeś w nim skazy Ciemności?

Potrząsnąłem przecząco głową.

- Nie, wręcz przeciwnie. Zastanawiałem się nawet, czy nie był on wysłannikiem czy zwiadowcą Głosów Mocy.

- Głosy Mocy, nad tym warto pomyśleć. - Oparł dłoń na rękojeści długiego myśliwskiego noża, wysunął go lekko z pochwy, po czym z chrzęstem wepchnął z powrotem. - Możliwe, że blisko jest czas, kiedy my, mieszkańcy Arvonu, jeszcze raz będziemy musieli wybierać, po której stronie stanąć. Tak, pokój naprawdę trwał krótko.

Zacisnął usta i przysłonił oczy powiekami. W owej chwili maska młodości zsunęła się nieco z jego twarzy. Może nieco dłużej, niż myślałem, żył w Arvonie...

- A poza tym - odwrócił się ode mnie twarzą - uprawianie gierki z Mocą w takich czasach grozi nieobliczalnymi konsekwencjami i jest bardzo niebezpieczne. Nie podoba mi się sokół krążący teraz w górze, który może być sługą twojej Mądrej Kobiety!

W jego głosie zabrzmiało zdecydowanie, a może groźba (gdybym tak chciał ją

odczytać). Odszedł bez pożegnania, ja zaś siedziałem na posłaniu, trzymając w ręce moly, które na jakiś czas uwolniło mnie od przekleństwa lamparciego pasa, i zastanawiałem się, jak długo ta wolność jeszcze potrwa.

Kiedy nieznajomy wyszedł, rozejrzałem się dookoła. Komnata wydała mi się dziwna, gdyż jeden jej narożnik miał kształt grotu, formę narzuconą konstrukcją budowli-gwiazdy. Ściany były gołe, nie wisały tu ani obrazy, ani gobeliny tak jak w Car Do Prawn. Leżałem na wąskim, podobnym do półki łożu. Pod ścianą stała bogato rzeźbiona skrzynia, a naprzeciwko mnie stolik z dzbankiem i miską. Wyglądało to ubogo.

Na ścianach rozlewały się plamy wilgoci. Świadczyły o zamierzchłej przeszłości tej budowli, tak jak butwiejące gobeliny o starożytności Zamku, w którym się wychowałem. Lecz, o dziwo, tutaj wcale nie czułem się nic nie znaczącym intruzem, ale doznawałem czegoś w rodzaju wewnętrznej jedności z Gwiazdną Wieżą.

Takie uczucie w miejscu, gdzie najwyraźniej nie byłem mile widziany, było zaskakujące. Nie kształciłem się we władaniu mocą i nie miałem takiego daru. A to najwyraźniej była siedziba, może nawet twierdza, przesiąknięta siłami, które niewielu z nas może zrozumieć. Więc dlaczego nigdy nie chciałbym opuścić Gwiazdnej Wieży?

Wróciły mi siły i wstałem z posłania. Na próbę zrobiłem kilka skłonów i nie poczułem już bólu w poranionych plecach. Sięgnąłem ręką do pleców, a potem wykręcając szyję, usiłowałem obejrzeć rany. Okazało się, że zarosły nową, różową skórą i bliskie były zabliznienia. Nie mogłem więc dłużej nadużywać gościnności mieszkańców Gwiazdnej Wieży. Krążący w górze sokół był ostrzeżeniem. Nie chciałem też ściągnąć nieszczęścia na tych, którzy dali mi schronienie, nawet jeśli uważali mnie za godnego pogardy.

To najbardziej mnie gryzło. Nie dawała mi spokoju całkowita obojętność Księżycowej Czarodziejki. Dlaczego pragnąłem ponad wszystko, żeby dobrze o mnie myślała? Było to równie szalone jak oczekiwanie czułości od Thaney! Trzeba przegnać takie rojenia. Nagle...

Tak szybko, jak odzyskałem ludzką postać, tak teraz ją utraciłem. Kryształowa kula, którą przedtem trzymałem w ręku, wyslizgnęła się z łapy. Ponownie stałem się lampartem. Moly we wnętrzu kuli zupełnie wyschło.

Usłyszawszy warknięcie, odwróciłem się błyskawicznie. Jeden żbik warknął

na mnie, a drugi syknął. Księżycowa Czarodziejka i jej ulubieńcy wrócili.

Mój wygląd jej nie zaskoczył. Może już wcześniej odgadła, że moly przestało działać, i dlatego do mnie śpieszyła? Im szybciej opuścę Gwiezdną Wieżę i pójdę do lasu...

Po raz pierwszy jej spojrzenie zmiękło, a wargi drgnęły w uśmiechu, na którego widok zaskomliłem. Ten uśmiech w jednej chwili obalił mur, który zbudowałem w sobie w obronie przed jej obojętnością. Postawiła na podłodze prychającego i syczącego kociaka, a podniosła kryształową kulę.

- Posłuchaj - powiedziała dotykając lekko mojej głowy i zaraz cofając rękę. A ja wciąż czułem dotyk jej dłoni. - Chcesz odejść, to dobrze. Ale prócz zaklętego pasa istnieje jeszcze inny klucz. Nie możemy ci o tym opowiedzieć, gdyż jest to geas, czyli rozkaz, który należy wykonać. Jeżeli zdołasz poznać tę tajemnicę, staniesz się kimś większym, niż uważasz za możliwe. Nie, nie mogę powiedzieć nic więcej przez wzgląd na Moc, której częścią władam. Mam tylko nadzieję, że znajdziesz swój klucz!

Odsunęła się, gdy ją mijałem. Niedaleko były drzwi. Wybiegłem na otwartą przestrzeń, przemknąłem między grządkami ziół i skierowałem się do lasu. Dopiero gdy znalazłem się w cieniu rosnących na skraju drzew, odwróciłem się i spojrzałem na Gwiezdną Wieżę.

Oczekiwałem, że zobaczę krążącego nad nią sokoła, ale niebo było puste. Zobaczyłem jednak, że choć był jeszcze dzień, z ramion budowli, które w nocy świeciły bladym blaskiem, wydobywała się mgła podobna do kłębow dymu z przenośnych piecyków Ursilli. Obserwując te gromadzące się obłoki podszedłem bliżej i przekonałem się, że - tak jak zgadywałem - nie mogę przekroczyć bariery. Ludzie, którzy ocalili mi życie i na krótki czas uwolnili od czaru, ukryli się znowu za murem obronnym.

Na nic się nie zda pozostawanie w pobliżu Wieży. Nie otworzą się powtórnie przed mną drzwi. Może gdybym jakimś cudem odzyskał ludzką postać, stał się Kethanem nie wplątany w żadne knowania Ursilli, mógłbym tu wrócić i przejść przez czarodziejską zaporę. Ale to było mało prawdopodobne.

Utkwiły mi w pamięci słowa Księżycowej Czarodziejki (jakże pragnąłem poznać jej imię!). Zarówno ona jak i Zwierzolak, który ocalił mi życie, napomknęli, że istnieje jeszcze jeden sposób na odzyskanie dawnej postaci. Nie byłem czarodziejem i oboje musieli o tym wiedzieć, gdyż żaden władca mocy nie zdoła

ukryć się przed innym władcą. Dając mi nadzieję, na pewno wiedzieli, co mówią. Powinienem więc zająć się tą sprawą, choć nie miałem najmniejszego o tym wszystkim pojęcia. Przedtem jednak potrzebowałem dobrej kryjówki, żeby ukryć się, by nie odnalazł mnie sokół Ursilli. Dopiero później będę mógł skupić się na zagadce, którą mi zadali mieszkańcy Gwiezdnej Wieży.

## **O odkryciu, którego dokonałem, i jak zamierzałem je wykorzystać**

Nie mając gdzie pójść, wróciłem nad rzekę, złowiłem kilka ryb, posiliłem się i wyruszyłem na poszukiwania kryjówki, której nie będzie można wypatrzeć z góry. Zbliżając się do znanej sobie grupy skał, skradałem się ostrożnie, mając nadzieję, iż nie dostrzeże mnie żaden skrzydlaty szpieg.

Nie przestawałem myśleć o zagadce, jaką zadali mi ludzie, którzy ocalili mi życie. Nie byli złośliwi i nie próbowali mnie oszukać. Skoro uważali, że istnieje sposób na odzyskanie własnej postaci, to z pewnością tak było. Mężczyzna, który zamienił się w śnieżnego kota, nie nosił czarodziejskiego pasa. Bardzo możliwe, że był zmiennokształtny z urodzenia.

Czy powinienem poszukać podobnej rośliny jak moly? Znalezienie czegoś takiego wydało mi się tak nieprawdopodobne, że prędko zarzuciłem ten pomysł. Może jakiś obrzęd...? Ale tylko wykształceni czarownicy mieli odwagę przywoływać Moc.

Raz po raz powtarzałem w myśli ostatnie słowa Księżycowej Czarodziejki. Istniał pewien klucz... jeśli nie znajdę go na zewnątrz, to powinienem poszukać go... wewnątrz siebie samego! Wewnątrz siebie samego! Czyżby to znaczyło, że miałem czarodziejski talent, tylko o tym nie wiedziałem? Lecz jeśli to prawda... czyż Ursilla by tego nie wykryła już wcześniej?

Przypomniałem sobie tamtą dziwną noc, kiedy to Mądra Kobieta i moja matka rzuciły na mnie jakiś czar. Przypuśćmy, że Ursilla wyczuła tę cząstkę talentu... Mogła więc sprawić, że czar, który utkały wokół mnie, zgasił lub zniewolił tę moją iskrę...

Magia jest wiedzą, ale do jej zdobycia i stosowania potrzebne są wrodzone zdolności. Każdy, mężczyzna lub kobieta, może napełnić swój umysł starożytną wiedzą, a mimo to nie być zdolny do wprowadzenia jej w życie. A jednak... Przypomniało mi się, że kiedy Ursilla mnie uczyła, dawała mi do czytania tylko pewne wybrane zwoje runiczne. Inne trzymała pod kluczem w swoich kufrach. Czy te zakazane zapiski zawierały wiadomości, z którymi bała się mnie zapoznać? Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej rosło we mnie podejrzenie, że celowo ukrywała przede mną wiedzę, która umożliwiłaby mi uwolnienie się spod jej wpływu.

Nieważne, czy miałem talent, czy też nie. Mieszkańcy Gwiazdnej Wieży uważali, że mogę uwolnić się od przekleństwa, jeśli znajdę na to sposób.

Postanowiłem oprzeć się na ich opinii.

Nic poza mną... Coraz bardziej byłem o tym przekonany. Odpowiedź kryła się w moim umyśle, może uwięziona czarami Ursilli, a może tylko nigdy się nią nie posłużyłem, gdyż nie wiedziałem o jej istnieniu.

Kim byłem? Dla mieszkańców Zamku byłem Kethanem, następcą Eracha. Dla Ursilli i mojej matki byłem narzędziem do zdobycia władzy. Dla Maughusa, Thaney, pani Eldris byłem zawadą, przeszkodą na drodze do tego, czego pragnęli - również władzy. Dla nich wszystkich w istocie nie byłem osobą, tylko rzeczą, która mogła pomóc lub przeszkodzić w realizacji ich celów. Czy kogokolwiek z nich obchodziło, że miałem własne życzenia czy pragnienia?

Lamparci pas... Dlaczego Ibycus przywiózł go do Zamku? Byłem głęboko przekonany, że ów kupiec (który mógł być kimś więcej niż kupcem) miał swoje powody, żeby to zrobić. Kim był Ibycus i dlaczego chciał pokierować moim losem?

Może za dużo wyczytałem z krótkiej wymiany zdań owego pamiętnego poranka. Ale dobrze wszystko pamiętałem. Kupiec nie miał w sobie Ciemności. Moja matka napomknęła, że zamierzał mi zaszkodzić, sprzedając pas pani Eldris. Byłem przekonany, że nie. Jego słowa zawierały obietnicę, a nie ostrzeżenie.

W takim razie - pas miał do spełnienia jeszcze inne zadanie poza zrobieniem ze mnie narzędzia Ursilli. Obiecując swobodę nie kłamał. Tylko że go teraz nie miałem.

Wróciłem więc do niepodważalnego faktu, że jeśli istnieje jakiś klucz, to nie znałem go i nie znajdę bez wskazówki, która posłuży mi za przewodnika.

Leżałem spoglądając na skały i na płynącą poniżej rzekę. Raz czy dwa przelatywał nade mną jakiś ptak i wtedy nieruchomiałem. Żaden jednak nie przypominał sługi Mądrej Kobiety. Klucz... we mnie samym...

To, że mam podwójną naturę, odkryłem wcześniej. Był we mnie człowiek, który potrafił przewidywać, układać plany, mieć nadzieję i wpadać w rozpacz, oraz jego przeciwieństwo - lampart, który kierował się instynktem, wybuchał gniewem, czuł głód i miał odmienną niż ludzka inteligencję. Przypuśćmy, że to w niej krył się klucz...

Ale pozwolić, żeby człowiek bez oporu pogrążył się w lamparcie? Wzdragałem się przed tym. Obawiałem się zagubić w zwierzęciu. No cóż, jeśli miałem odnaleźć ten klucz - muszę go szukać na krętych, tajemnych ścieżkach w sobie samym.

I oto świadomie pozwoliłem, by człowiek spotkał się z lampartem, by ukrył się w nim jak ja w mojej kryjówce. W dół, w dół, poniżej warstwy instynktu łowieckiego, poniżej walki, obrony, w dół, jeszcze głębiej. Kethan znalazł się w labiryncie myśli całkowicie obcych człowiekowi - zagubił się już na tej drodze, której w pełni nie zrozumiał - i pogrążał się coraz głębiej.

Człowiek dotarł do miejsca, w którym znajdowała się pułapka. Nie, nie pozostanę tutaj! Walczyłem, by się wynurzyć, by odzyskać wolność. Stoczyłem taką walkę, jakiej nigdy nie dorówna żadne fizyczne działanie. Do góry, do góry, i na zewnątrz! Tak jak tonący człowiek walczy, żeby wydostać się na powierzchnię i napełnić obolałe płuca powietrzem, tak osobowość Kethana przedzierała się do górnych warstw umysłu. Do góry i na zewnątrz!

Leżałem dysząc ciężko, jak gdybym naprawdę stoczył bój z wrogiem. Kethan panował nad sytuacją. To, czego szukałem, nie kryło się w głębinach umysłu lamparta. Dowiedziałem się o tym niemal za cenę zagłady. Wobec tego to coś musi kryć się wewnątrz Kethana.

Jak mam odszukać to w sobie? Czy mam odwrócić ten proces: pozwolić, żeby znalazł to lampart, czyli zwierzę idące tropem zdobyczy? Nie wiedziałem, jak to zrobić. To, co znalazłem w naturze zwierzęcia: energię, cierpliwość drapieżnika, chęć obrony zagrożonego terytorium, sam instynkt życia, składało się na siłę tak samo wielką jak wola człowieka. Jeślibym mógł posłużyć się nimi nie uwalniając jednocześnie osobowości lamparta...

Przekonałem się już, że pamięć na nic się nie przyda, w każdym razie nie pamięć, do której mógłbym sięgnąć świadomie. Czy istnieje też nieświadoma pamięć, która kryje w sobie znacznie więcej wspomnień, niż mi się wydaje? Naszkicowałem w myśli pokój, w którym stoją wysokie szafy wypełnione szczelnie zapisanymi zwojami. Każdy zawierał jakąś część mojej pamięci. Który wziąć do ręki, żeby odszukać potrzebną wiedzę?

Myślowy obraz nabrał wyrazistości, gdy wsparłem go całą siłą woli. Powoli, ostrożnie czerpałem energię lamparta, żeby wzmocnić wolę. To właśnie tak wygląda: zwoje runiczne mojego umysłu leżą przede mną. Teraz wystarczy, że wybiorę odpowiedni, rozwinę i przeczytam.

Byłem pochłonięty zbudowanym w wyobraźni obrazem. To, co było Kethanem, krążyło między tymi szafami jak po prawdziwym pokoju. Zatrzymywałem się co krok, lecz nigdy nie rozgorzał we mnie żar mówiący, że to właśnie ten zwój,

który powinienem wybrać. Czyżbym się pomylił? Przegnałem tę myśl. Nie, gdzieś tu jest ukryta potrzebna mi wiedza. A ja muszę ją znaleźć!

Coraz więcej energii czerpałem z natury lamparta, pokój pojaśniał, wydawał się coraz prawdziwszy i coraz wyraźniejsze stawały się runy identyfikujące zwoje. Sięgałem coraz dalej pamięcią, aż zobaczyłem ciemny cień przegradzający Kethanowi drogę. Zrozumiałem, że jest to umieszczona przez Ursillę zaporą, która mnie więzi.

Sam Kethan nie miał dość sił, żeby ją przełamać. Ale razem z lampartem - tak! Wydawało mi się, że brnę po kolana w potwornym bagnie i że każdy krok posuwa mnie tylko o palec do przodu. Mimo to walczyłem, a lampart dawał mi wolę zwycięstwa. Wtem zaporą znalazła się poza mną. W tej części mojej pamięci znajdowało się coś, co Ursilla uznała za niebezpieczne dla siebie. Wobec tego mógł być to klucz, którego szukałem. Który to zwój?

Szedłem wciąż do przodu - i w miarę jak poszukiwania się przedłużały, gasła we mnie nadzieja. Zwójów pamięci było coraz mniej. Jakie wspomnienia z bardzo wczesnego dzieciństwa mogły mi się teraz przydać?

Dotarłem do ostatniej szafy. Leżały tam tylko trzy zwoje. Wyciągnąłem rękę po ostatni zwój. Wyjąłem go, rozwinąłem...

Był tam tylko jeden obraz - wyraźny, namalowany jaskrawymi kolorami. Ciało lamparta na ziemi, człowiek biorący początek z jego głowy, a w oczach lamparta... Teraz - już wiedziałem!

Przestałem wspominać, usunąłem obraz pokoju, przestałem czerpać energię lamparta. Rozłożyłem się na ziemi jak długi, nie mając sił, by podnieść głowę, tak wyczerpany, jakbym przebiegł wiele mil bez odpoczynku. Ale zwyciężyłem!

Chciałem się teraz przekonać, czy potrafię wykorzystać znaną wiedzę. Lecz to musi poczekać. Poszukiwania zbyt mnie zmęczyły. Zapadał zmierzch, a mój mały światek zaludnił się w owej chwili. Tak głęboko pogrążyłem się w otchłani pamięci, że nie ostrzegły mnie inne zmysły poza wzrokiem. Zobaczyłem bowiem jeźdźca kłusującego brzegiem strumienia w pobliżu mojej kryjówki.

Tak, już go przedtem widziałem. To ten, który nosi hełm z orłem na szczycie, gdzieś tu w pobliżu rozmawiał bezgłośnie ze śnieżnym kotem. Koń pewnie stąpał po piaszczystym brzegu, a jeździec trzymał luźno wodze, jakby pozostawiał swemu wierzchowcowi wybór drogi.

Im bardziej się do mnie zbliżał, tym głębiej wciskałem się w skalną szczelinę. Bo chociaż tamto spotkanie ze śnieżnym kotem miało przyjazny charakter, nie



znaczyło to, iż teraz dostrzegłby we mnie coś więcej poza niebezpiecznym drapieżnikiem. Zresztą, w ogóle nie chciałem zwracać na siebie jego uwagi.

Usiłowałem rozróżnić rysy jego ocienionej hełmem twarzy, a było to trudne nawet dla oczu lamparta. Wydała mi się w pewien nieokreślony sposób znajoma, ale dopiero gdy mnie minął, zdałem sobie sprawę, kogo mi przypominała. Ten jeździec z orłem na szłomie był bardzo podobny do mieszkańca Gwiazdnej Wieży... Czyżbym spotkał jeszcze jednego Zwierzolaka?

Zgrzyt kopyt o żwir, cichy chrzęst kolczugi ocierającej się o siodło ucichły w oddali. Mimo to nie odważyłem się wypełznąć z kryjówki i spojrzeć w dół. Koń wszedł w płytkie wody strumienia, kierował się w stronę Gwiazdnej Wieży. Zgarbiony patrzyłem za nim, aż zniknął mi z oczu.

Zabiłem przed nocą jakieś powolne stworzenie, którego jeszcze nigdy nie spotkałem ani nie umiałbym podać jego nazwy. Przypominało z wyglądu domową jaszczurkę, ale było wielokrotnie od niej większe. Poza tym miało dziwny, jaskrawo zabarwiony ogon, któremu nie dowierzała moja lamparcia natura, więc pożarłem jedynie część zdobyczy.

Wracały mi siły. Teraz trzeba było poddać się tylko próbie. Dobrze wiedziałem, co muszę zrobić. Jeżeli rzeczywiście znalazłem klucz, powinienem spróbować dostać się do Zamku. Tak długo bowiem nie będę pewny, że odzyskałem wolność, dopóki nie odbiorę pasa. A wyprawa do serca nieprzyjacielskiego terytorium musi być dobrze zaplanowana.

Tej nocy zacznie ubywać księżyc. Tym samym zmniejszy się jego wpływ, który wywołał zmianę postaci. Nie mogłem wybrać lepszego czasu na wypróbowanie klucza.

Przystąpiłem do dzieła w blasku księżycy, wśród skał. Tak samo jak wówczas, gdy starałem się odnaleźć zapomnianą wiedzę, tak teraz budowałem w myśli obraz Kethana człowieka. Obraz stawał się coraz bardziej szczegółowy. Wreszcie go skończyłem. Kethan był taki!

Naprawdę przypominało to wkładanie klucza do zamka. A później...

Zimny wiatr zmroził moje nagie ciało, nie chronione teraz futrem. Wstałem i wyciągnąłem ramiona do księżycy, nie posiadając się z radości. Chciałem nawet wydać okrzyk triumfu. Niestety, ta chwila nie trwała długo. Nie mogłem utrzymać ludzkiej postaci dłużej niż kilka chwil, po czym znów zamieniłem się w lamparta.

Ale udało mi się! Odkryłem tajemnicę Zwierzolaków. Nie wiedziałem tylko,

w jaki sposób mógł się tak zmieniać ktoś z nimi nie spokrewniony. Ale osiągnąłem tyle, że przez chwilę zdołałem zapanować nad lampartem. Muszę zaczerpnąć wewnętrznej energii, podporządkować zwierzę woli człowieka, żeby zachować ludzką postać przynajmniej na tak długo, by zdążyć wejść do Zamku. Ursilla i Maughus będą oczekiwali zwierzęcia. Uporam się z nimi jako człowiek, gdyż wtedy nie ośmielią się podporządkować mnie sobie ani zranić. Groziłaby im za to odwieczna, zwyczajowa kara za skrzywdzenie krewnego.

Jeszcze niedostatecznie jednak opanowałem sztukę zmiany kształtu. Istniało niebezpieczeństwo, że za krótko będę w ludzkiej postaci, żeby zrealizować wszystkie swoje zamiary. Nie chciałem zaś na terenie Zamku działać pochopnie.

Zacząłem więc ćwiczyć nowo nabytą umiejętność. Leżałem w ukryciu przez cały dzień, a w nocy, gdy ubywało księżyc, przekręcałem klucz - i za każdym razem dłużej pozostawałem Kethanem. Uważałem, że podczas nowiu księżycy będę już mógł spróbować przedostać się do Zamku. Wędrowałem zatem lasem w stronę Car Do Prawn, ukrywając się za dnia i idąc nocą.

Oczywiście fakt, że w cieniu wielkich drzew nie wszystko było w porządku, mógłby wyczuć każdy, kto choćby na krótko zapuściłby się w nieznanne. Z daleka okrążyłem Gwiazdną Wieżę; wiedziałem, że nie wpuszczą mnie tam nawet teraz, kiedy nauczyłem się zmieniać wedle woli postać. W lesie wiecznie coś się działo, jedne stworzenia odchodziły, inne przychodziły, ale raczej jedynie wyczuwałem to wszystko, niż słyszałem czy widziałem. Nie mam też pojęcia, czy zawdzięczałem to nadludzkim zmysłom lamparta, czy też ja sam stałem się bardziej wyczulony na przejawy Mocy.

Spotykałem tam miejsca, które omijałem z drżeniem serca. I wydawało mi się, że co noc było ich coraz więcej, jak gdyby niegdyś zasiane ziarna zła teraz kielkowały, rosły i zagarniały coraz większe obszary. Kiedy pierwszy raz przekraczałem granicę lasu, nie odczuwałem ich istnienia. Wydawało mi się, że był to przyływ Ciemności, o którym mówił Pergvin. Jeśli to prawda, wzmocni go ubywający księżyc. Siły Ciemności rosą w mroku i światło jest dla nich nieznośne, nawet zabójcze.

Do otaczających Zamek pól dotarłem zgodnie ze swym planem. Coraz bardziej niepokoiły mnie zmiany zachodzące w lesie. A dzisiejszego wieczora wydawało się, że zmrok wpełzł na pola kryjąc w sobie nieznanne niebezpieczeństwo. Światła zabłyśły w oknach wioski i w Wieżach znacznie wcześniej niż zwykle. Zbiło

mnie to z tropu, gdyż oznaczało, że w bramie Zamku prawie na pewno będą strażę. Nie zdołałam tam wejść, ot, tak po prostu wejść, nawet jako człowiek. No i muszę zdobyć jakieś ubranie. „Zauważyłem też coś niezwykłego: sztandar Pana Na Zamku nie powiewał z najwyższej Wieży, a to znaczyło, że mój wuj był nieobecny. Niejasno, jakby działo się to przed rokiem, przypominałem sobie rozmowę o przeglądzie wojsk w Zamku naszego Naczelnego Wodza i o zebraniu całego Klanu Czerwonych Płaszczy. Przebywając w lesie nie liczyłem dni - może termin już minął? Czy nieobecność znacznej części garnizonu ułatwi mi zadanie? Czy ci, którzy pozostali, nie podwoją czujności? Pytań miałem wiele.

Pod lasem stał szałas pasterski. Podkradłem się do niego i obwąchałem szczelinę w drzwiach. Zapach owiec, człowieka, oba stare i zwierzę. Wsadziłem pazury w szparę i szarpnąłem. Drzwi się otworzyły na pustą izbę. Los mi sprzyjał: na haku wisiał kosmaty kaftan z owczej skóry, pozostawiony po zimie przez pasterzy.

Tej nocy mrok był jakby gęstszy, a może tak mi się tylko wydawało, bo tego pragnąłem? Nie wolno mi pozwolić, żebym sam siebie wprowadził w błąd. Skoncentrowałem się i oto w pasterskim szałasie stanął Kethan.

Zarzuciwszy na siebie owczy kaftan ruszyłem do Zamku. Przy bramie stał strażnik i czujnie wpatrywał się w mrok, jakby niewidzialny wróg miał w tejże chwili zmaterializować się na jego oczach.

Zgarbiłem się. Może zaatakować strażnika? W ostateczności mogłem nawet wrócić do postaci lamparta. Zastanawiałem się przez moment i zrezygnowałem z tego pomysłu. Nie potrafiłem zabić człowieka, który spełniał swój obowiązek. Gdybym w ten sposób przelał krew, byłbym zgubiony. Nie wolno mi zachowywać się jak zwierzę.

Nie potrafiłbym też znieść porażki, gdybym teraz musiał - dotarłszy tak daleko - zawrócić. Nie wiedziałem, co począć. Narastała we mnie świadomość bezowocności moich wysiłków. Nagle coś mnie zaalarmowało! To zmysł, który odbierał leśne emanacje. Nie wyczuwałem jednak Zła, tylko obecność mocy.

Do głębi wstrząśnięty zobaczyłem, jak strażnik zeszywniał i utkwiał wzrok w jednym punkcie. Nie wiedziałem, skąd pochodziła siła sprawiająca, że przestał mi zagrażać. Skorzystałem z okazji i przemknąłem się na dziedziniec.

Usłyszawszy za sobą ruch, skuliłem się i odwróciłem, gotów stanąć do walki z tym uzbrojonym w miecz przeciwnikiem. Ale strażnik nadal stał odwrócony plecami do dziedzińca. Obudził się widać z transu i zapewne nawet nie wiedział, że na jakiś

czas zaniedbał swoje obowiązki.

Co się dzieje? Uczucie ulgi znikło, zaczęło rosnać podejrzenie. Nieznana siła nie była wprawdzie zła, lecz jakby zbyt szybko przysłała mi z pomocą. Nie miałem w Zamku tak dobrego przyjaciela.

Ursilla!

Przecucie mnie nie myliło; trzeba będzie stawić jej czoło. Ale nie byłem już tym żółtodziobem, którym tak łatwo można było rządzić. Odkąd poznałem zwyczaj lamparta i cofnąłem się do pierwszych dziecinnych wspomnień, stałem się innym człowiekiem. Jeśli zaś będę miał się na bacności... Z drugiej strony, nie mogę nie doceniać Mądrej Kobiety.

- Witaj w Zamku, Kethanie.

Nie zdziwiły mnie te słowa. Przecież to Ursilla była tym cieniem poruszającym się tuż przy Wieży Dam. Ruszyłem ku niej krokiem idącego na pole walki wojownika.

Tymczasem Ursilla wślizgnęła się do sieni. Zza drzwi bił słaby blask lampy. Nie miałem odwrotu - musiałem za nią pójść. Tam, gdzie będzie Ursilla, tam będzie człowiek-lampart. Na razie nie wiedziałem, jak się z nią uporać. W każdym razie układał się nie będę...

Wszedłem do Wieży i zobaczyłem ją na schodach. Trzymała w ręku lampę, której światło padało na mnie. Na mój widok jej oczy rozszerzyły się, jakby nie spodziewała się, że ujrzy Kethana we własnej osobie. Czyżby nie dojrzała mnie na dzielnicy? A może dostrzegła tylko niewyraźny kształt, który rozpoznała dzięki swym zdolnościom?

W drugiej ręce miała swoją kościaną różdżkę z zabarwionymi czerwienią i czernią runami. Przypuszczam, że pokazała mi ją umyślnie. Maughus w podobnej sytuacji postarałby się, żebym zobaczył obnażony, gotowy do ciosu miecz.

- Witaj, Mądra Kobieto!

Nie odpowiedziała. Potem zrobiła gwałtowny gest różdżką.

Poczułem, jak budzi się we mnie lampart. Nie próbowałem się przed tym bronić. Ursilla nie może się jeszcze dowiedzieć, co umiem. Powinna nabrać pewności, że ledwie, ledwie kontroluję swoje przemiany. Muszę się skoncentrować. Uderzyć mogę tylko raz i musi to być cios zwycięski, zadany w ostateczności.

Wszedłem za nią po schodach jako zwierzę.

## **o tym, jak zostałem więźniem Ursilli i jak moja matka przepowiedziała mi przyszłość**

Ursilla odwróciła się do mnie dopiero w swojej komnacie. Poza przenośną lampką, którą trzymała w dłoni, paliły się tam trzy duże lampy. W ich świetle widzieliśmy się wyraźnie. Ursilla uśmiechnęła się.

- Więc już wiesz, Kethanie, że nie należy mi się sprzeciwiać? - zapytała powoli. Zdawała się rozkoszować każdym słowem, jak człowiek rozkoszuje się zapachem lub ulubionym daniem, które nieczęsto pojawia się na stole.

Pomyślałem, że nigdy nie przeciwstawiłem się jej mocy. Ale w postaci zwierza nie mogłem odpowiedzieć ludzkim głosem.

Mądra Kobieta usiadła na jedynym tu krześle, równie wspaniałym jak te, do których miały prawo moja matka i pani Eldris. Na jej twarzy malowało się zadowolenie. Wyczuwałem jej pewność siebie i wiarę nie tylko we własny talent, ale i w przyszłość. Oto znów miała mnie w ręku.

- Wzywałam cię dwukrotnie - ciągnęła. - A ty, w swej głupocie, nie posłuchałeś. We właściwym czasie zostaniesz za to ukarany. Lecz najpierw...

Wyciągnęła ku mnie różdżkę. Krzyknąłem w odpowiedzi, gdyż wydało mi się, że kościany pręt zagłębił mi się w ciele, dźgnął i szarpnął za gardło. Poczulem mdłości i gorzka wydzielina pociekła mi z pyska.

Ursilla pochyliła się, patrząc mi w oczy.

- Czy mnie rozumiesz, Kethanie? Mogę zrobić z tobą, co zechcę. Odpowiedz mi!

Jej rozkaz zabrzmiał tak ostro, że mój język i gardło posłuchały.

- Ja... rozumiem... - Brzmienie słów było zniekształcone. Zwierzęca gardziel nie jest przystosowana do ludzkiej mowy. Widocznie jednak mnie zrozumiała, bo skinęła głową.

- Wystarczy! A teraz powiedz mi... Jaka moc nas rozdzieliła, gdy spotkaliśmy się ostatnio?

Chodziło jej o moją wędrówkę po skażonym Ciemnością obszarze. Ale - miałem już tę pewność - w przeciwieństwie do śnieżnego kota nie potrafiła porozumiewać się za pomocą myśli. Inaczej nie obdarzyłaby mnie ludzkim głosem. A z tego wynikało, że nie mogła też czytać w moich myślach. Należało zatem tak dobrać słowa, by zadowolili się półprawdą, a zarazem nie powiedzieć jej wszystkiego.

- Kiedy... mnie... wezwałaś... - Wymawiałem ludzkie słowa z wielkim trudem i wkrótce rozboleło mnie gardło. - Byłem... na... skraju... miejsca... Mocy... mogłem... się... bronić... więc... użyłem... jej... do zerwania... kontaktu...

- Miejsce Mocy - powtórzyła Ursilla. - Są takie w lesie, o niektórych dawno zapomniano. Jakiego rodzaju było to miejsce, które odkryłeś?

Nie odważyłem się opowiedzieć jej o Gwiezdnej Wieży ani nawet o polanie, na której rosły księżycowe kwiaty. Chociaż nie znalazłem tam schronienia, jej mieszkańcy opatrzyli mi rany. A śnieżny kot uratował mi życie (może nie tylko ciało, ale i duszę), kiedy rozerwał sieć kryjącego się w ruinie potwora. Ruina! Nie zaszkodzi poinformować ją o ruinie!

- Dwie kolumny... na nich starożytne płaskorzeźby... lecz prawie zatarte... strzegą ruin... kamienne bloki... zwalone na stos... ja nie... wiem... co to za miejsce...

Zakołysała różdżką i poczułem dziwny ból między oczami. Zrozumiałem, że w jakiś sposób sprawdzała, czy powiedziałem prawdę. Ogarnął mnie lęk, że wyciągnęła ze mnie to, czego nie chciałem wyjawić.

- Nie skłamałeś. Później opowiesz mi dokładniej o tym miejscu. Jeśli ta ruina ma dość mocy, żeby rozerwać czar drzwi, to ongiś musiała przesiąknąć energią kogoś bardzo potężnego. Czy to miejsce również przywróciło ci ludzką postać, Kethanie?

- Tak.

Zebrałem wszystkie siły, szykując się do następnej próby. Co zrobi, kiedy przekona się, że tym razem skłamałem? Ale odetchnąłem z ulgą, gdy uwierzyła w moją prawdomówność.

- To wielka moc! Musimy znaleźć to miejsce! - Jej palce zakrzywiły się, jakby chciała coś schwycić. Potem westchnęła. - Ale to musi poczekać. A co do ciebie, zmiennokształtny... - Skupiła na mnie całą uwagę. - Zrobisz, co ci rozkażę. Mój wysłannik, który pozostawił ślady na twoich łądźwiach, dobrze się spisał. Mam twój pas, a za jego pośrednictwem można wiele zdziałać. Sam się przekonasz, jeżeli spróbujesz się przeciwstawić mojej woli! - powiedziała zimno.

Nie groziła, ale obiecywała. Najgorsze było to, iż nie wiedziałem, czy miała rację, czy też nie. Czy w zasięgu jej mocy mogłem odzyskać ludzką postać, choćby na krótko? Nie dowiem się, dopóki nie spróbuję. Nie mogę zaś podjąć takiego ryzyka, jeśli się nie upewnię, że to jedyny sposób obrony.

- Pan Erach pojechał na zgromadzenie Czterech Klanów i Zamkiem rządzi Maughus - ciągnęła Ursilla. - Kiedy nie udało mu się pierwsze polowanie, rozkazał

wykuć srebrne strzały i przysiągł, że cię zabije. Nikt mu się nie sprzeciwi słowem ani czynem. Wszyscy bowiem obawiają się nadejścia Ciemności, a on łatwo ich przekonał, że zmiennokształtny wśród nas może stać się drzwiami, przez które wejdą znacznie gorsze stwory. Zamierza... - Urwała i zagryzła wargi, jakby powiedziała za dużo.

Bez trudu mógłbym dokończyć za nią zdanie. Maughus zamierzał wystąpić również przeciwko Ursilli. Nie sądziłem, by to było mądre posunięcie z jego strony. Przekonawszy się na własnej skórze, jak potrafiła realizować swoje plany, wiedziałem, że mój kuzyn miałby niewielkie szanse, gdyby otwarcie sprowokował Mądrą Kobietę. Na jego miejscu postępowałbym bardzo ostrożnie, bo gdyby Ursilla poczuła się zagrożona, stałaby się niezwykle niebezpieczna.

- Tylko tutaj jesteś bezpieczny - dodała i choć wyraz jej twarzy się nie zmienił, czułem, że jest zadowolona. - Nie masz tutaj przyjaciół, Kethanie. Twoja piękna narzeczona - uśmiechnęła się tryumfująco - zerwała zaręczyny, a jej ojciec nic na to nie powiedział, bo wysłuchał świadectwa ludzi, którzy polowali na lamparta w murach Zamku.

- Skoro pan Erach - wydusiłem te słowa ze zmltretowanego gardła - nie protestował, to do czego ci się przydam? Nigdy nie podniosą mnie na tarczy jako jego dziedzica...

Ursilla nadal się uśmiechała.

- Nie jest tak, jak myślisz. Czary mogą naprawić to, co inne czary zmieniły. Przysięgam, że odzyskasz swoją prawdziwą postać - i odzyskasz, jeśli będziesz mi posłuszny. Wtedy ja tu będę rządzić...

Tego zdania również nie musiała kończyć. Znałem dobrze jej zamysły. Jeżeli uwolni mnie od - jak to nazwała - klątwy, rzuconej pospołu przez panią Eldris i Maughusa, wtedy zajmie w Zamku znakomitą pozycję. Nie tylko wszyscy będą się obawiali jej mocy, ale i ja sam stanę się jej niewolnikiem, którego w każdej chwili będzie mogła ponownie zamienić w zwierzę. O tak, zapewni sobie miejsce w Car Do Prawn... Jeżeli zdoła utrzymać mnie przy życiu, nie dopuści, żebym wpadł w ręce Maughusa, i jeśli pokona pas i uczyni mnie znów człowiekiem.

W owej chwili zrozumiałem, że nie chcę odzyskać ludzkiego ciała za cenę, jaką wyznaczy Ursilla. Od wielu już lat zdawałem sobie sprawę, że choć popierała ambicje mojej matki, to miała własne plany. Teraz wszystkie te podejrzenia się potwierdziły. Jeśli po śmierci pana Eracha zostanę podniesiony na tarczy, to będzie tu

rzządzić Mądra Kobieta.

- A teraz - wstała z krzesła i strzeliła palcami jak ktoś, kto przywołuje psa - potrzymamy cię jakiś czas w ukryciu. Trzeba przygotować pewien obrzęd, który pozwoli mi poznać przyszłość. Swoje plany muszę oprzeć na solidnej podstawie i przygotować się na wszelkie możliwości.

Poszedłem więc za nią potulnie do komnaty z gwiazdą wymalowaną na podłodze. Na gest różdżką stanąłem w środku gwiazdy. Wówczas Czarownica skierowała różdżkę po kolei na świece osadzone na krańcach ramion. Zapaliły się, a przecież nie dotknął ich żaden płomień.

- Jesteś bezpieczny - powiedziała oschle. - Nikt tu do ciebie nie może przyjść, zmiennokształtny, i sam również nie możesz opuścić tego miejsca. Poczekasz więc, aż będziesz mi potrzebny.

Odwrociła się i odeszła, pozostawiając mnie otoczonego zewsząd świecami. Całym ciałem wyczuwałem obecność uwolnionej Mocy. Równie dobrze gwiazdę mógł wypełniać tłum niewidzialnych istot.

W swoich zmaganiach z Ursilla jak dotąd niczego nie dokonałem. Nadal miała lamparci pas, a w Zamku było przynajmniej pół setki miejsc, w których mogła go ukryć.

Uwięziła mnie, unieruchomiła i nie mogłem go szukać. Czym dysponowałem? Jedyne umiejętnością przemiany w człowieka na zbyt krótki czas, by coś zdążyć zrobić!

Krążyłem wokół kamiennego ołtarza umieszczonego wewnątrz gwiazdy - tego samego, na którym pani Heroise położyła mnie owej nocy, gdy Ursilla umieściła blokadę w moim umyśle. Moja matka? Czy wiedziała, że wróciłem do Car Do Prawn? A może tak się już podporządkowała Mądrej Kobiecie, że ta nie uważała za stosowne nawet pobieżnie zapoznać pani Heroise ze swymi planami wobec mojej osoby?

Zresztą stosunki pomiędzy nimi niewiele mnie obecnie obchodziły. Ważne było tylko to, że uwięziono mnie za pomocą czarów. Ostrożnie podszedłem do najbliższej części konturu gwiazdy. Dotknięcie łapą linii wywołało taki sam wstrząs, jak wtedy, gdy spróbowałem wejść do ogrodu otaczającego leśną Wieżę.

Gwiazdna Wieża! Usiadłem na zadzie. Za radą Księżycowej Panny rozpocząłem poszukiwania i znalazłem klucz do przemian postaci. Nie nabyłem jeszcze wprawy i służył mi w ograniczonym zakresie, ale jednak służył. A w takim



razie... Czy mógłbym ten sam klucz zastosować do innych spraw? Czy mógłbym za pomocą woli zniszczyć zapórę, którą otoczyła mnie Ursilla? Czy mógłbym...

Nie dane mi było rozpocząć próby, gdyż drzwi komnaty otworzyły się i weszła moja matka, zamiatając podłogę bogato haftowaną suknią i szukając mnie wzrokiem. Uśmiechała się tak jak Ursilla. Nie był to miły, radosny uśmiech: po prostu cieszyła się, że zostałem uwięziony.

- No i masz, czego chciałeś, głupcze - powiedziała stając między dwiema świecami. W ich nieruchomych płomieniach zabłyśły naszyjnik, pas, pierścienie, kolczyki i wysadzana drogimi kamieniami siatka na włosach. Była ubrana, jakby podążała na wielką ucztę. - I jak na tym wyszedłeś?

Nie miałem ochoty odpowiadać swym kraczącym, chrapliwym półgłosem, jakim obdarzyła mnie Ursilla. Chciałem, żeby ominęła ją ta przyjemność.

Teraz pani Heroise roześmiała się głośno:

- I to ty, ty próbujesz się przeciwstawić naszej mocy! Czy wydaje ci się, że masz jakąkolwiek szansę?

„Naszej mocy” powiedziała. Mądra Kobieta nie potwierdziłaby jej słów. Jeżeli moja matka istotnie wierzy, że Ursilla jest tylko jej służką i że poskromiła mnie na jej rachunek, to może zdołam je poróżnić samym cieniem prawdy. Wykrztusiłem:

- To Ursilla mnie sprowadziła - powiedziałem. - Chce mnie wykorzystać. O tobie nie było mowy...

- Ursilla jest bardzo potężna, Kethanie - odparła pani Heroise, wciąż się uśmiechając. - Ale może nie jest tak wszechwiedząca i wszechmocna, jak chciałyby, żebyśmy myśleli. Porzuciliśmy teraz spory, ponieważ dążymy do tego samego celu.

Pełnym wdzięku ruchem odwróciła się i podeszła do stołu, nad którym wisiała pojedyncza lampa. Wskazała na nią palcem, tak jak przedtem Mądra Kobieta, chcąc ją zapalić. Myślę, że tym gestem chciała mi pokazać, że i ona potrafi przywołać pewne siły. Nie wiedziała, że takimi sztuczkami popisują się co słabsi czarownicy.

W tej komnacie nie było wygodnych krzeseł, tylko stołek na trzech nogach; można takie spotkać w wiejskich kuchniach. Był rzeźbiony i bardzo zniszczony przez czas. Moja matka usiadła na nim i odczepiła od pasa łańcuszek z puzderkiem. W słabym świetle świec zdołałem dostrzec runy na wieczku.

Z puzderka wysypała na dłoń talię kart z usztywnionego pergaminu. Uważała je za swój największy skarb, ponieważ pomagały przy wrózeniu. Nie były powszechnie używane wśród mieszkańców Arvonu. Mówiono, że nie pochodzą z

naszego świata, ale są narzędziem, które jeden z Wielkich Adeptów sprowadził zza otwartej przez siebie Bramy. Niewielu spośród nas wiedziało, jak odczytywać ich przesłanie.

Moja matka była bardzo dumna, iż posiadała tę umiejętność. Ten talent ujawnił się w Garth Howel i trochę zakłopotał jej nauczycielki, gdyż poza nim nie miała zbyt wielkich zdolności. Patrząc na nie uśmiechnęła się ciepło.

- Niestety, Kethanie, nie możesz ich przetasować ani przełożyć, jak powinieneś zrobić, gdyż nie masz rąk. Ale właśnie w tej chwili jest pora odpowiednia do wróżb i zastępując cię, będę o tobie myślała.

Szybko przetasowała karty, wybrała jedną i uniosła do góry, pokazując mi, co przedstawia.

- Ta będzie reprezentować ciebie. Jest to Giermek Mieczy, oznacza młodzieńca władającego jakąś siłą.

Położyła kartę na stole. Teraz zręcznie i z gracją znów przetasowała karty, trzykrotnie lewą ręką przełożyła ku mnie, jeszcze raz przetasowała, ponownie przełożyła, a w końcu znów przetasowała. Na jej twarzy malowało się głębokie skupienie. Obserwowałem ją czekając, co dalej zrobi. Czułem się tak, jakbym naprawdę siedział z drugiej strony stołu, wierząc, iż może odczytać najbliższą przyszłość.

Teraz ułożyła karty kółkiem, zaczynając od lewej, potem ku dołowi i w końcu w górę. Wydawało się, że omija je wzrokiem, nie patrzy na nie. Następnie odsunęła na bok te, których nie użyła, i pochyliła się nad rozłożoną na stole dwunastką.

- Demon w Pierwszym Domu; twoim Domu. Ach... - Odetchnęła głęboko. Mówiła powoli, z długimi przerwami. - Niewola; Magia dla ciebie; Dwójka Buław w twoim Domu Posiadłości; Pan Na Zamku; Bogactwo; władza...

- Trzeci Dom; tutaj znajduje się Księżyc; niebezpieczeństwo; sny; Czwórka Buław jest w twoim Czwartym Domu; nadejście spokoju i doskonalenie pracy; schronienie... -

Zacząła mówić szybciej, na jej twarzy ujawniły się uczucia, których nie umiałem odczytać.

- W Piątym Domu: As Buław; narodziny, tak, początek Bogactwa; dziedzictwo; tak, to wszystko prawda! - Stukała lekko palcami przed każdą z kart, gdy wyjaśniała ich znaczenie.

- Dla Szóstego Domu: sukces; ostrożność; bezpieczeństwo! - Z każdą chwilą

coraz bardziej podnosiła głos i nie kryła rosnącego podniecenia: - Siódmy Dom: tutaj leży Szóstka Mieczy, która oznacza przejściowe kłopoty; sukces po okresie niepokoju...

- A teraz Ósmy Dom, w którym znajdują się twoje wrodzone zdolności...  
Czarodziej!

Przez długą chwilę wpatrywała się w kartę i na jej twarzy zadowolenie ustąpiło miejsca zdziwieniu.

- Mistrzostwo, mądrość, dar czerpania Mocy i władanie nią dzięki pragnieniu... Ale jak to możliwe?! Och, to nie może dotyczyć ciebie. Nie, oczywiście, że nie. Jesteś narzędziem, którym posługują się inni. - Nie sądzę jednak, by całkowicie uwierzyła w to pośpieszne wyjaśnienie problemu, który ukazały karty. Ja zaś po raz pierwszy zainteresowałem się jej słowami.

Zdolność czerpania Mocy z góry, władanie nią dzięki pragnieniu. Czyż nie tego właśnie nauczyłem się przy okazji zmiany postaci? A jeśli to była prawdziwa wróżba, to co z resztą, którą mi tak lekko przepowiedziała: sukcesem, spokojem? Gdybym tylko mógł uwierzyć, że to wszystko było prawdą!

- Dziewiąty Dom - ciągnęła moja matka, jakby chciała czym prędzej pozostawić za sobą kłopotliwą ósmą kartę. - Piątka Buław... Ach, to prawda. Walka o sukces; utrata; chyba że zachowa się czujność. Lecz my będziemy czujni! Nie ma wątpliwości.

- A teraz Jedenasty Dom. Co tam mamy? Siódemka Mieczy; plan, który może się nie powieść; niepewność.

Znów ostrzeżenie i to takie, którego nie potrzebujemy. Wreszcie Dwunasty Dom: Arcykapłan kierujący Mocą wiary; potrzeba połączenia się z innymi...

Uniosła ponad kartami ręce i już nie patrzyła na karty, ale przyglądała mi się w blasku zaczarowanych świec.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że ta wróżba jest prawdziwa, Kethanie? W zasięgu ręki masz wielką przyszłość. Będziesz musiał pokonać niemało trudności, ale droga do rządów nigdy nie jest łatwa. Masz być ostrożny, lecz karty obiecują ci sukces i połączenie się z innymi. To dobra przepowiednia. Tylko... - Jeszcze raz spojrzała na kartę, którą nazwała Czarodziejem znajdującym się w Ósmym Domu. - Nie całkiem to rozumiem. No cóż, czasami jakaś część przepowiedni pozostaje ukryta. Reszta w pełni zgadza się z moją wiedzą. Jeszcze będziesz - rządził w Car Do Prawn, mój synu, i może nie tylko w tym jednym Zamku...

Zwróciła oczy na ścianę z miną człowieka zagubionego w jakimś fantastycznym marzeniu. Pokiwała głową jakby w odpowiedzi na zadane w myśli pytanie. Potem szybko oburącz zgarnęła karty, schowała je do puzderka i wstała od stołu.

- Ciesz się, że Ursilla zapewniła ci bezpieczeństwo - powiedziała, odwracając się do drzwi. - Maughus polecił wykuć srebrne strzały, przysięga, że cię zastrzeli... a srebro jest śmiertelnie niebezpieczne dla każdego zmiennokształtnego. Niech się panoszy, póki może. Nie będzie tu długo rządził.

Usłyszałem szelest jej sukni, a potem zostałem sam. Jej przepowiednia dała mi wiele do myślenia. Spróbowałem przypomnieć sobie każdą kartę i przesłanie, jakie z niej odczytała. Nie wywarłoby to na mnie takiego wrażenia, gdyby nie poraziła mnie wróżba z karty Czarodzieja. Ona zresztą też była zaskoczona. Mistrzostwo i mądrość - daleko mi do tego. Owszem, byli tacy ludzie, słyszałem o nich opowieści: Głosy Mocy, Wielcy Adepci, niektórzy słudzy Ciemności, inni zaś Światła. Ale oni trzymali się z dala od reszty ludzi i nawet długo żyjąc można było ich nie spotkać. Trudno też było spotkać kogoś, kto ich widział.

Krążyłem niespokojnie wokół ołtarza. Nie dokuczał mi głód ani pragnienie, nie czułem też zmęczenia. Może jakaś właściwość muru, który Ursilla wzniosła wokół mnie, zapobiegała temu.

Miałem doskonałą okazję do ćwiczeń w cierpliwości. Nie chciałem jednak czekać. Chciałem robić to, po co przybyłem do Car Do Prawn.

Zacząłem więc przyglądać się komnacie bystrym wzrokiem lamparta. Wydawało mi się, że gdyby Ursilla ukryła pas, trzymałaby go gdzieś tutaj, gdzie przechowywała wszystkie swoje czarodziejskie przybory. Pod ścianą stała szafka z zamkniętymi na głucho drzwiczkami, w niej Mądra Kobieta gromadziła naczynia z ziołami, rozmaitymi płynami i proszkami używanymi do rzucania czarów. Nie, to byłoby miejsce zbyt widoczne. W szafce w pobliżu drzwi trzymała runiczne zwoje, których nigdy nie pozwalała mi dotykać. Czy pas mógł być we wnętrzu któregoś z nich? Jeśli tak, to mógł z identycznym skutkiem znajdować się na księżycu!

Kręciłem się w kółko wewnątrz gwiazdy, a zniecierpliwienie smagało mnie jak bicz i szarpało wnętrze niczym dotkliwy głód. Mimo upływu czasu świece tylko trochę się skróciły. Zanim wosk się stopi, upłynie wiele godzin. Zatechła woń ziół wisiała w powietrzu, odczuwałem lekki ból głowy i ogarniało mnie coraz większe przygnębienie. Ursilla na pewno dopnie swego. Żeby osiągnąć sukces, złożyłaby w

ofierze nawet mnie. Jeśliby zdołała.

## **O tym, jak mieszkańcy Gwiazdnej Wieży zainteresowali się moim losem**

Nie wiem, w jakim momencie zorientowałem się, że przygnębienie jest moim wrogiem. Może w czasie, gdy szukałem sił niezbędnych do zmiany postaci i je wypróbowałem, przebudziłem jakąś uszpioną od dawna cząstkę mózgu?

Takie próżne rozważania do niczego nie prowadziły. Kethan przejął kontrolę nad moją podwójną naturą. Pokonałem niecierpliwość lamparta i wyciągnąłem się obok ołtarza. Ktokolwiek by mnie szpiegował, powinien myśleć, że pogodziłem się z przeznaczeniem i uległem losowi zgotowanemu mi przez Ursillę.

I bardzo by się pomylił. Po prostu badałem nadal otoczenie, tylko inaczej. Najpierw przyjrzałem się świecom palącym się na końcach ramion gwiazdy. Doszedłem do wniosku, że w jakiś sposób kontrolowały barierę, która trzymała mnie wewnątrz rysunku. Były pomarańczowo-czerwone. Mieszanina tych kolorów wiązała się z siłą fizyczną i wiarą w siebie. Tak, Mądra Kobieta wykorzystywała teraz Magię Barw!

Co mogłem im przeciwstawić? Nigdy przed zmianą postaci nie interesowałem się magią ani mocą. Postanowiłem teraz to nadrobić. Mimo że Ursilla starannie wyselekcjonowała Kroniki, które pozwoliła mi przeczytać, wiele zawartych w nich opowieści omawiało szczegółowo bohaterskie czyny mieszkańców Arvonu, kiedy to toczono boje z siłami nie mającymi nic wspólnego z uzbrojeniem czy liczebnością wojsk.

Ponownie przywołałem obraz swej pamięci jako biblioteki ze zwojami runicznymi, z takim trudem zbudowany za pierwszym razem. Teraz skonstruowałem go szybko i realistycznie. Nie szukałem bowiem czegoś nieznanego. Byłem niemal pewny, gdzie znajdował się materiał, który chciałem przejrzeć.

Czy czerwieni ciała przeciwstawia się żółć umysłu? Nie, nie tego szukam, Żółta Magia stosuje logikę, której nie znam. Więc cóż takiego jest przeciwieństwem taumaturgii - nauka? Teurgia\* [\*taumaturgia, teurgia - różne dziedziny okultyzmu (przyp. tłum.)], która dotyczy uczuć, wiary i przesądów? Zatem... błękit!

A co stawiliby czoło pomarańczowemu odcieniowi pewności siebie, głębokiemu zaufaniu we własne moce? Moje poszukiwania trwały...

W naturalnym świecie człowiek tworzy wszystko na swój obraz i podobieństwo. A może nie? Ten, kto stwarza piękno, robi to z pokorą, wiedząc, iż jest

tylko narzędziem, nie zaś prawdziwym stwórcą. Można wypieścić piękno i kochać je. Lecz rezultat tych wysiłków nigdy nie jest taki wspaniały, jaki wydawał się przed urzeczywistnieniem. Wobec tego twórca jest zawsze poszukiwaczem, nigdy zaś pełnym samozadowolenia adeptem, który osiągnął doskonałość wszystkiego.

Tych poszukiwań, związanych ze wszystkim, co wyrasta z ziemi, dotyczyła Zielona Magia.

Błękit i zieleń!

Jeśli to jest właściwa odpowiedź, to jak teraz zastosować ją w praktyce? Zaraz... Już gdzieś, kiedyś widziałem te kolory i były one wyznacznikiem mocy!

Obraz się zmienił. Znowu kuliłem się na skraju ogrodowej dróżki przy Gwiazdnej Wieży, poprzez wonną gęstwę ziół spoglądałem na jej wysokie niebieskozielone mury. Tajemnica była ukryta właśnie tam, a ja nie miałem do niej dostępu!

Tak bardzo pragnąłem poznać ów sekret, że zatrzymałem w myślach obraz Wieży. Wyobraziłem sobie, że idę tamtą dróżką i wchodzę do znajomej komnaty. Zacząłem teraz konstruować jej wizję. Wyglądała tak i tak... Nie mogłem uczynić obrazu wyraźnym. Falował jak powierzchnia wody, gdy ślizgają się po niej wodne muchy. Ta komnata... ona była właśnie taka...! Włożyłem całą siłę woli w ten jeden wysiłek wyobraźni. Daremnie...

To nie była ta komnata, którą znałem. Wszystko było inne, niż zapamiętałem. Nie zobaczyłem tam łoża. Na ścianach wisały girlandy błyszczących dysków mrugających jakimś wewnętrznym światłem. Trzy osoby stały w środku kręgu utworzonego z nanizanych na łańcuch takich samych dysków. Linie kręgu rozrywały w pięciu miejscach wysokie srebrne świeczniki z zielonymi świecami. Ich płomienie były niebieskozielone, tak jak mury Wieży.

Początkowo postacie wewnątrz kręgu były zamglone i niewyraźne. Spojrzałem na płomienie świec, potem znowu na ludzi. Dopiero teraz ich zobaczyłem. Było to tak, jakby rozerwała się jakaś dzieląca nas kurtyna lub zasłona.

Księżycowa Panna! To ona najpierw przyciągnęła moją uwagę. Znowu nosiła spódnicę z księżycowych dysków i wisior w kształcie księżyca w nowiu. Jej ciało było równie białe jak linia kręgu, w którym stała. W ręku trzymała srebrny pręt opleciony księżycowymi kwiatami, które zbierała, gdy po raz pierwszy ją zobaczyłem.

Obok niej stał nieznajomy, który przedtem miał postać śnieżnego kota. Jego ogorzałe ciało było obnażone do pasa. Trzymał w rękach nagi miecz oparty czubkiem

o podłogę. Po brzeszczocie przebiegały małymi falami stalowoniebieskie blaski.

Trzecią osobą była kobieta, która najpierw odmówiła mi wstępu do Gwiazdnej Wieży, a potem opatrzyła mi rany. Nie nosiła teraz męskiego stroju, lecz zieloną suknię nowicjuszki, przepasaną świeżym pędem winnej latorośli. Takie same pędy z wciąż zielonymi liśćmi wplotła w warkocze spadające jej na plecy.

Wzrok tych trojga kierował się do centrum kręgu. Podobnie znana mi różdżka z listkiem na czubku w ręce kobiety, której usta się poruszały. Pomyślałem, że śpiewa jakiś czar lub przyzywała tę część Mocy, którą włada.

Poczułem naraz przemożną potrzebę powiadomienia ich o swoim istnieniu, gdyż czułem się tak, jakbym stał w tym samym pokoju, wyrzucony na zewnątrz ich czarodziejskiego kręgu. Zawołałem więc... - Spójrzcie na mnie! Jestem tutaj! Księżycowa Czarodziejka poruszyła głowę, widocznie usłyszawszy mój niemy krzyk. Zobaczyłem, że mówi, ale nie usłyszałem jej słów, nie zabrzmiały mi też w myślach tak jak mowa śnieżnego kota.

Jej towarzysze spojrzeli w moją stronę. Na twarzy kobiety odmalowało się zdumienie, a mężczyzna uniósł nieco miecz. Później kobieta skierowała na mnie różdżkę i coś powiedziała.

I wtedy zobaczyłem owe słowa. Wyglądały jak świecące skrzydlate owady lecące ku mnie. Potem zgasły i zniknęły.

Zdumiała się jeszcze bardziej. Pośpiesznie spojrzała na różdżkę kreślącą w powietrzu jakiś wzór. Z zachowania kobiety wywnioskowałem, że różdżka działa niezależnie od jej woli.

Znów przemówiła i mężczyzna zrobił krok do przodu. Podniósł miecz i zwrócił go ku mnie. Nie czułem najmniejszego zagrożenia. Wizja ta wydała mi się pełna prawdy i autentyzmu. Czułem się, jakbym był częścią Gwiazdnej Wieży, jakby mnie witano z otwartymi ramionami. Musiałem tylko tym trojgu dać czas, by to zrozumieli.

Falujące świetlne linie na brzeszczocie rozbłyły jeszcze jaśniej. Mknęły coraz szybciej i skapywały z czubka miecza jak małe strużyny. Mężczyzna trzymał poziomo miecz tylko przez moment, po czym opuścił go ku ziemi. Wyglądał na zamyślonego. Potem skinął głową, dając znak Księżycowej Czarodziejce, która podniosła ukwieconą różdżkę.

Z wnętrza kamiennych kwiatów wytrysły białe kwiatki. Wyglądało to tak, jakby w każdym rozgorzał płomień.



Rozbłyły i zgasły.

Zostałem chyba poddany jakiejś próbie i jej wynik okazał się dla mnie korzystny. Nie bałem się ani nie czułem potrzeby zachowania ostrożności. Rozpaczliwie pragnąłem teraz ich przychylności.

- Jesteś tutaj. Czego od nas chcesz? - odezwała się kobieta, a jej słowa zabrzmiały w moim umyśle.

- Chciałbym odwołać się do Niebieskiej i Zielonej Magii, którym służycie i które kontrolujecie, albowiem są również moimi...

Te słowa wyrwały się z najgłębszych otchłani osobowości Kethana.

- Podaj nam swoje imię.

Wiedziałem, o co jej chodzi. Imię w jakiejś części jest osobą. Nieprzyjaciel może posłużyć się nim jako bronią lub pętami.

Od urodzenia nazywano mnie Kethanem. Gdyby Ursilla przeszła na służbę Ciemności, bez trudu mogłaby mnie kontrolować za pomocą mojego imienia. Czy naprawdę jestem Kethanem? Przez chwilę nie byłem tego pewny. Imię to wydało mi się niewłaściwe, jakby nie określało mnie prawdziwego. Ale nie znałem innego.

- Jestem Kethan.

- Gdzie się znajdujesz? - pytała dalej.

- W Car Do Prawn, w pętach czarów Mądrej Kobiety.

- Czego od nas chcesz?

- Dowiedzieć się, jak mogę się uwolnić.

- Sądzę, że już się wiele nauczyłeś, odkąd stąd odszedłeś - zauważyła kobieta.

- Powiedziano mi, że jest klucz i że można go znaleźć. Szukałem więc i odkryłem, że nie jest nim pas. Znalazłem go w sobie samym.

Kobieta skinęła głową.

- Dobrze się spisałeś, Kethanie. - Jej twarz utraciła podobieństwo do maski, choć dotąd zawsze przybierała taki wyraz, ilekroć się do mnie zwracała. - Zaszedłeś daleko i dziwną drogą, nie mającą jednak nic wspólnego z Ciemnością, Nie wiem, dlaczego twój los związał się z naszym - musimy się tego dowiedzieć. Lecz to, że zdołałeś przybyć do nas w transie właśnie wtedy, gdy przyzywaliśmy Moc, dowodzi, iż musimy wędrować razem, przynajmniej przez jakiś czas. Mówisz więc, że znalazłeś się w pętach czarów Mądrej Kobiety. - Moja rozmówczyni zmarszczyła lekko brwi. - Opowiedz nam, w jaki sposób cię uwięziła.

Opowiedziałem wtedy o dziwnych świecach w komnacie Ursilli, które - jak

przypuszczałem - działały niczym pręty klatki.

- Widzę, że zaszedłeś dalej, niż przypuszczaliśmy - zwrócił się do mnie mężczyzna - jeżeli szukałeś czegoś, co może pomóc ci uwolnić się z więzienia, i znalazłeś to tutaj. Co zrobisz, jeśli odzyskasz wolność?

- Muszę znaleźć pas...

- To prawda - przytaknął. - Za jego pomocą Ursilla może zrobić z tobą, co zechce, i panować nad każdym twoim ruchem. Czy wiesz, gdzie jest schowany?

- Jeszcze nie. Poszukam go, gdy odzyskam wolność.

- Jeśli będziesz miał czas - powiedziała ostrzegawczo Księżycowa Czarodziejka.

- Muszę choćby spróbować - odparłem.

- Damy ci trochę czasu i pomożemy na tyle, na ile będziemy mogli. - Kobieta spojrzała Zwierzolakowi w oczy i przez chwilę wydawali się jednym umysłem i wolą. Potem dodała: - Odejdź od nas i spójrz na zaczarowane świece. Posłuż się kluczem, który sam znalazłeś...

Otworzyłem oczy. Byłem znów we wnętrzu gwiazdy, w której zamknęła mnie Ursilla. Odwróciłem głowę i utkwilem wzrok w świecy. Płomień był pomarańczowy... czerwony... ale... Musi się zmienić!

Tak jak przedtem sięgnąłem do wewnętrznych rezerw lamparta, żeby zmienić postać, tak teraz skupiłem całą siłę woli na pragnieniu, żeby niebieskozielony płomień zastąpił inne odcienie.

Przywołałem siłę Kethana i siłę lamparta, nakierowałem obie za pomocą woli. Sięgnąłem aż do granic tej mocy... Lecz płomienie nie zmieniły barwy. Ja., muszę... zrobić... to...

Stałem się ogniskiem skupionej woli i sił obu mych natur. Daremnie...

Nagle...

Wezbrała we mnie siła. Czułem, że jestem teraz tylko kanałem, przez który płynie. Doznałem dziwnego uczucia, jakby coś się we mnie łączyło czy mieszało: byłem Kethanem. Byłem też lampartem. Byłem jeszcze kimś innym: trojgiem ludzi, których zobaczyłem w wizji. Spotkały się we mnie różne prądy energii, tak odmienne jak ci, którzy wysłali je do mnie na pomoc. Nigdy w życiu nie czułem takiego poparcia innych osób.

Płomień świecy ściemniał... stał się purpurowy... Nabierał barwy Ciemności? Nie, zmieniał kolor, ale od wierzchołka w dół. Niebieskozielona fala spłynęła wzdłuż

płomienia, aż wreszcie cała świeca przybrała barwę, która miała mi przywrócić wolność.

Popęzłem ostrożnie w stronę świecy. Czy rzeczywiście rozerwałem zaczarowany krąg? Teraz naprzód!

Byłem wolny!

Sprzymierzeńcy, którzy napełnili mnie swoją energią, zniknęli. Nie mogłem ich zatrzymać i gdy mnie opuścili, poczułem się dziwnie osamotniony i osierocony. Nie miałem jednak czasu na takie rozmyślania - powinienem odzyskać pas do powrotu Ursilli. Kiedy go odzyskam, Ursilla nadal będzie groźna, ale wtedy będę już mógł stawić jej czoło.

Podszedłem do szafki, otworzyłem pazurami drzwiczki. Znalazłem tam tylko to, czego się spodziewałem - skrzynki, butelki, jakieś osobliwości, których zastosowania nie znałem. Lecz z wnętrza emanowała aura, która sprawiała, że czułem mrowienie na skórze, moje uszy tuliły się do głowy, a futro na grzbiecie się jeżyło. Nigdy dotychczas nie byłem tak wrażliwy na przedmioty związane z mocą... Wyczułem jednak, że chociaż Ursilla nie przyłączyła się do sług Ciemności, to zapuściła się dostatecznie blisko ich szeregów w swych poszukiwaniach starożytnej wiedzy, która raczej powinna pozostać w ukryciu.

Nie spodziewałem się bynajmniej, że znajdę tam lamparci pas, ale było to pierwsze miejsce, które należało przeszukać. Inną możliwą skrytką w zasięgu wzroku wydała mi się szafka ze zwojami runicznymi i podszedłem do niej.

Mimo że posiadałem już pewną wiedzę (może większą niż przeciętny mieszkaniec Arvonu z któregoś z Czterech Klanów, ponieważ lubiłem się uczyć), nie umiałem przetłumaczyć wielu znaków na tych zwojach. W Arvonie istnieją tajemne języki, zrodzone przez wieki kontaktów z Mocą. Większa część zbioru Ursilli dotyczyła bardzo starożytnej wiedzy.

Mogłem od razu pominąć wszystkie mniejsze zwoje, ponieważ pas można było ukryć tylko w większym. Zacząłem przetrząsać zawartość szafki, rozwijać łąpą zwoje, nie zwracając uwagi na ich wiek czy wartość. Gdyby Ursilla ukryła go tutaj, postąpiłaby bardzo przebiegle, lecz w trakcie poszukiwań uznałem, że jej nie doceniłem. Nie schowała tu pasa. Kiedy wyrzuciłem na podłogę ostatni zwój, usłyszałem zgrzyt klucza. Odwróciłem się warcząc.

Drzwi otworzyły się. Ursilla zrobiła krok do przodu i stanęła jak wryta. Zmrużyła oczy. Popatrzyła na mnie, na zaczarowany krąg, gdzie niebieskozielona

świeca nadal wskazywała, w jaki sposób się uwolniłem, potem na rozsypane zwoje i... wybuchnęła śmiechem.

Śmiała się bezgłośnie, trzęsła się cała i wykrzywiła twarz. Poczułem się, jakby z całej siły uderzyła mnie w pysk. Cały mój wysiłek poszedł na marne, a w dodatku się zdradziłem. Odtąd jeszcze łatwiej będzie mogła mną pomiatać.

- Twoje poszukiwania są daremne, Kethanie - odezwała się w końcu. - Czy sądziłeś, biedny głupcze, że tutaj ukryłabym bicz na ciebie? Po tych wszystkich latach nauki u mnie mógłbyś lepiej mnie znać. Chociaż... - Urwała i znowu spojrzała na niebieskozielony płomień świecy - może trochę cię nie doceniłam... Zastanawiam się, gdzie się nauczyłeś tej sztuczki? - Jej wargi wykrzywił grymas, który pewnie uważała za uśmiech. - Nie, nie mamy dość czasu, żeby zająć się tą sprawą. Mam nowiny: panicz Maughus wie, że wszedłeś do Zamku. Przeszukuje pokój za pokojem. Na szczęście...

Nagle szarpnięcie drzwi przerwało jej wypowiedź. Ktoś wszedł do komnaty.

W blasku świec stanęła pani Eldris, patrząc z takim wyrazem twarzy na rozgrywającą się przed nią scenę, jakby na jawie zobaczyła swe najgorsze senne koszmary. Prawą ręką nakreśliła w powietrzu jedno z tych usuwających moc znaków, których używają pozbawieni magicznego talentu ludzie. Czasami, jeśli wspiera je odpowiedni amulet, mogą chronić przed głębszymi przejawami sił Ciemności.

- Jakie czary rzucasz? - zapytała cienkim, przeraźliwym głosem Mądrą Kobietę.

- Posługuję się mocą w służbie twego Domu, pani. Przyjrzyj się temu biednemu zwierzęciu, dobrze przyjrzyj! - Ursilla z uśmiechem wskazała na mnie. - Czy możesz nazwać go po imieniu? - Błyszczącymi groźnie oczami obserwowała panią Eldris, jak pies myśliwski spogląda na bezbronną zdobycz. - Myślę, że możesz. To ty jesteś odpowiedzialna za to, że znalazł się pod wpływem czaru. I nie tłumaczy cię, pani, brak talentu. Wiem, dlaczego to zrobiłaś. Ale to, czego dokonała Moc, Moc może zmienić. Kethan znów stanie się Kethanem. A wtedy uważaj na siebie, pani. Zniszczony czar często poraża osobę, która za czar odpowiada, nawet gdy w jej imieniu zrobił to ktoś inny. Czy chciałabyś pobiec na czterech łapach do lasu, pokryć się sierścią, ratować ucieczką przed myśliwymi? - Podeszła tak blisko do pani Eldris, że prawie dotknęła jej twarzy.

Pani Eldris cofnęła się, nie odrywając wzroku od oczu Ursilli. Wyciągnęła przed siebie bezsilnie ramiona i rzuciła się do drzwi.

- Nie! - wrzasnęła.

Na progu komnaty ktoś stanął. W blasku świec zabłysnął obnażony miecz.

- Maughusie! - Pani Eldris przywarła do niego jak oszalała. Obserwowałem, jak próbuje ją odepchnąć i wymachuje mieczem.

Pragnął mojej śmierci. Warknąłem, przęcając się do skoku. Ursilla odwróciła się ku mnie. Cofnęła się do ściany i poczęła przemykać się wzdłuż niej, zmierzając w stronę narożnej szafki. Zagłębiła rękę w szafce, w której przechowywała rozrzucone teraz na środku podłogi zwoje.

- Zabij! - smagnęła mnie krzykiem jak batem. - Zabij albo ciebie zabiją, głupcze!

Pani Eldris wrzasnęła, rozpaczliwie czepiając się Maughusa, który się szamotał, usiłując uwolnić się z jej uścisku.

- Nie! - krzyknęła. - Ona porazi cię mocą! Maughusie, wezwij łuczników ze srebrnymi strzałami. Stal nic nie zrobi zmiennokształtnemu...

Przestał się szarpać. Wyrachowanie odbiło się na jego twarzy. Natomiast ja wcale nie byłem przekonany o prawdziwości tego starego wierzenia. Miecz wydawał mi się wystarczająco niebezpieczny i śmiercionośny.

- Zabij! - Znowu usłyszałem krzyk Ursilli.

Oburącz szarpnęła narożnik szafki ze zwojami runicznymi. Zaskoczyło mnie to wszystko. Nie rozumiałem, dlaczego nie skorzystała ze swojej mocy. Nasuwało się tylko jedno wytłumaczenie: przed laty jej nauczycielki nałożyły na nią geas, zabraniające krzywdzić kogokolwiek z rodu, który tak długo udzielał jej schronienia. Wiedziałem o istnieniu takich więzów.

- Zabij! - Kiedy krzyknęła po raz trzeci, straciłem kontrolę nad szalejącym we mnie lampartem. W obliczu niebezpieczeństwa tylko zwierzęce instynkty mogły mną kierować.

**O tym, jak odżegnałem się  
od zwierzęcych obyczajów,  
i o sekrecie Ursilli**

Ursilla rozkazała mi zabić. I gniew ogarnął lamparta. Ale kiedy skuliłem się, szykując się do skoku, w moim umyśle ocknął się znów człowiek. Jeśli dam się ponieść emocjom zwierzęcym i zabiję... O tak, taki czyn stałby się jeszcze jednym łańcuchem, który skuwałby mnie ze zwierzęcą postacią. Maughus był moim wrogiem i chciał mnie zabić - zgadza się. Lecz takie sprawy należy rozstrzygać w walce, jak człowiek z człowiekiem. Gdybym uśmiercił go za pomocą kłów i pazurów, przestałbym być Kethanem.

Pani Eldris wrzeszczała na całe gardło. Nawet jeżeli Maughus nie polecił swoim ludziom iść za sobą, to te krzyki na pewno ich sprowadzą. Czekala mnie pewna śmierć. A mimo to ukryty wewnątrz lamparta człowiek nie zgadzał się na atak.

Ryknąłem wściekle, gdyż lamparcia natura starała się wyrwać spod kontroli człowieka. Żadne stworzenie nie umiera bez walki. Czy ten stalowy brzeszczot przetnie nić mojego życia? A może w ostatniej chwili będę się jednak bronił?

Tylko fakt, że Maughus musiał podeprzeć chwiejącą się na nogach panią Eldris, zaoszczędził mi dalszej rozterki. Z wykrzywioną grymasem nienawiści twarzą, nienawiści równie głębokiej i zapiekłej jak targające lampartem uczucie, wycofał się z komnaty. Pani Eldris czepiała się go, płacząc i krzycząc, żeby zaczekał, żeby pozwolił, by słudzy się ze mną rozprawili.

Szamotała się i ciągnęła go do tyłu. Uwolniłby się, gdyby ją uderzył, ale na to nie pozwoliłby sobie nawet w gniewie. Gdy oboje znaleźli się za progiem, usłyszałem wypowiedziane przez Ursillę zaklęcie. Drzwi zatrzasnęły się same.

- Dlaczego nie zabiłeś?

Odwróciłem głowę. Mądra Kobieta uparcie szarpała ciężką szafkę ze zwojami. Ciało miała aż wygięte z wysiłku, gdy próbowała odsunąć od ściany wysoki mebel.

Warknąłem, gdyż nie mogłem już odpowiedzieć jej ludzkimi słowami. Przynajmniej ta część jej czaru zawiodła.

- Teraz musisz zabić, albo ciebie zabiją - ciągnęła Ursilla. - Chociaż Maughus popełnił dzisiaj błąd większy, niż mu się wydaje. A Eldris... Tak, pani Eldris również za to odpowie!

Nagle rozległ się głośny zgrzyt, który na chwilę zagłuszył nawet rosnący hałas

za potężnymi drzwiami. To ludzie Maughusa szykowali się do wyłamania przeszkody.

Skupiłem swoją uwagę na Ursilli. Jakiś ukryty zatrask zareagował wreszcie na jej szarpanie i szafka otworzyła się, a wewnątrz, zamiast zwojów, ujrzałem następne drzwi. Teraz Ursilla pośpieszyła do szafki pod ścianą. Do podołka zaczęła wrzucać różne skrzyneczki, flaszki, zawiniątka, dokonując zarazem błyskawicznego wyboru w swoich zbiorach.

Na samym końcu schwyciła różdżkę. Wskazała nią najpierw na mnie, a później na ukryte w szafie drzwi.

- Wejź tam! - rozkazała.

Już od dawna przypuszczałem, że każdy Zamek, a zwłaszcza tak stary jak Car Do Prawn ma własne sekrety, nie miałem jednak na to żadnych dowodów. Ursilla dobrze wykorzystała spędzone tutaj lata i doskonale wiedziała, dokąd idziemy.

Ludzie Maughusa coraz mocniej walili w drzwi. Klamka już wypadła. Tylko czar Ursilli je trzymał w miejscu. Kto wie, jak długo się utrzyma?

Wsunąłem się do szafy i jednym skokiem znalazłem się na prowadzących w dół schodach. Tunel był ciasny i wąski, widocznie biegł wnętrzem muru. Idąc muskałem barkami ściany. Zobaczyłem za sobą światło: to świecił czubek różdżki Mądrej Kobiety. Nie było tu nic godnego uwagi, tylko chropowate, ciemne, kamienne bloki i zdające się bez końca stopnie schodów.

Bardzo szybko znaleźliśmy się pod powierzchnią ziemi, poza obrębem Zamku. Tunel wciąż się obniżał. Usłyszałem za sobą odbijający się echem, przygłuszony głos Ursilli:

- Dzielny Maughus! Włamie się do środka i nic nie znajdzie. Jego poplecznicy wtedy zaczną szeptać, że Mądra Kobieta może wymknąć się takim niezdarom wyłącznie dzięki mocy. Będą patrzyli na Maughusa z ukosa i wypatrywać cieni w jasny dzień. Człowiek bowiem marzy o cudach i zapełnia nimi swój świat dopóty, dopóki nie zobaczy ich na własne oczy. Nie, nie sądzę, by Maughus miał spokojny sen tej nocy.

Wydusiła z siebie zgrzytliwy chichot, który wydał mi się gorszy od przekleństw. To był jej śmiech.

- Tak” tak. Ani Maughus nie zazna odpoczynku, ani żaden z mieszkańców Zamku. Sprawię, że zazną niepokojów na wiele sposobów.

Później przestałem ją rozumieć, gdyż jej mamrotanie przeszło w dziwną

monotonną pieśń. Włosy zjeżyły mi się na grzbiecie i omal nie zamiauczałem na znak protestu. Powstrzymałem się w ostatniej chwili, bo uznałem, że im dłużej będzie wykorzystywała swoje umiejętności do unieszczęśliwiania Maughusa, tym lepiej dla mnie. Da mi spokój i nie będzie się starała jeszcze bardziej mnie podporządkować.

Dobrze widziałem jej niezadowolenie, gdy nie zaatakowałem Maughusa. Czekaj mnie za to kara. Odtąd będzie podejrzliwie śledzić każdy mój ruch i nigdy w pełni nie zaufa swej władzy nade mną. A to może w końcu spowodować, że rzuci na mnie takie czary, iż już nigdy nie zdołam się wyzwolić. Jeśli o mnie chodziło, to ta wędrówka przez podziemia Car Do Prawn była tylko krótkim wytchnieniem między naszymi potyczkami.

Byliśmy już tak głęboko pod ziemią (nawet poniżej urządzonych w piwnicach spichlerzy Car Do Prawn), że nie mogłem sobie wyobrazić, co znajdziemy na końcu. Ten sekretny tunel z pewnością nie służył jako droga ucieczki dla oblężonych, gdyż miałyby jakieś wyjście bliżej powierzchni ziemi.

Podłoże wydawało się wilgotne, a w powietrzu wisiał drażniący zapach, który stawał się coraz mocniejszy. Można było jednak swobodnie oddychać. Najwyraźniej znajdowały się tu ukryte przewody wentylacyjne. Im dłużej szliśmy, tym większej nabierałem pewności, że zbliżamy się do jakiegoś miejsca Mocy.

Nie wyczuwałem ani zła emanującego z każdej siedziby sług Ciemności, ani spokoju promieniującego z takich miejsc jak Gwiezdna Wieża. Było to coś zupełnie innego, coś wywołującego przygnębienie i rozpacz. Miałem wrażenie, że w tym jednym miejscu koncentruje się ciężar niezliczonych stuleci.

Ursilla przestała śpiewać i szła w milczeniu. Słyszałem tylko szelest jej sukni muskającej ściany. Świecąca bladym blaskiem różdżka nadal oświetlała drogę.

Kiedy już zacząłem wierzyć, że schody zaprowadzą nas do legendarnego Środka Ziemi, z którego dawno temu miało wyjść wszelkie życie, zakończyły się korytarzem.

Korytarz był niewiele szerszy od schodów i powoli się obniżał. Gładkie ściany zdobiły rzeźbione kasetony. W żadnym z kasetonów nie dostrzegłem nic znajomego. Zresztą, nawet moje lamparcie oczy nie zdawały egzaminu w tym półmroku.

W zagłębieniach i wyżłobieniach płaskorzeźb zgromadził się kurz. Korytarz też był nim pokryty, ale dostrzegłem w pyle krzyżujące się ślady. Nie byliśmy pierwszymi osobami, które szły tędy. Rosło we mnie przekonanie, że jest to obce miejsce, które źle przywita intruzów. Musiało być znacznie starsze od Car Do Prawn,



może powstało w Pierwszej Epoce Arvonu, przed wojną Ostatnich Władców. Myślę, że niewielu ludzi umiałoby obliczyć jego prawdziwy wiek.

- Zatrzymaj się! - Głos Ursilli zaskoczył mnie, gdyż zdążyłem już przywyknąć do jej milczenia i do panującej w tym miejscu ciszy. - Tutaj ja muszę prowadzić.

Przecisnęła się obok mnie i poszła przodem. Szła zwawym krokiem, jakby długa droga wcale jej nie zmęczyła, mimo że w podołku dźwigała duży ciężar. Kiedy ustawiła różdżkę prawie poziomo, zobaczyłem w bladym świetle, że przed nami są rzeźbione odrzwia, a za nimi mrok.

Dalej rozciągała się, jak osądziłem, wielka przestrzeń. Blask różdżki sięgał tylko na odległość ramienia, a reszta tonęła w aksamitnych ciemnościach. Moje łapy zaszurały na niewidocznej podłodze, kroki Ursilli zaś obudziły echo. Otaczała nas pustka, ale Mądra Kobieta bez wahania ruszyła prosto w mrok, jakby bardzo dobrze знаła drogę i widziała cel naszej wędrówki.

Tutaj ciężar obcości przygniatał umysł, zwalniał bieg myśli. Z każdym krokiem czułem coraz większe zmęczenie. Nadal próbowałem badać otoczenie swymi magicznymi zmysłami, choć jeszcze nie za dobrze umiałem się nimi posługiwać. Nie wyczułem emanacji ani zła, ani tego, co zwykliśmy nazywać dobrem. Tak, to było miejsce Mocy, lecz z takim jej rodzajem nigdy się nie zetknąłem, ani o nim nie słyszałem. To było coś nieznanego w naszym świecie.

Prawie podskoczyłem na dźwięk głosu Ursilli. Tym razem nie zwróciła się do mnie. Wydawała dziwne, niewyraźne, syczące dźwięki, niepodobne do żadnego znanego mi języka. Nie była to pieśń, gdyż wymawiała je bez żadnego rytmu. Wydawało się raczej, że rozmawia z kimś niewidzialnym, czeka na odpowiedź, po czym znów się do niego zwraca. Z ciemności nie odpowiedział jej żaden dźwięk. Popłynęła tylko ku nam fala chłodu i otoczyła nasze ciała jakby zamykając we wnętrzu gigantycznej, lodowatej dłoni. Ciche zawrozczenie wiatru przywodziło na myśl wyobrażenie czegoś niecielesnego, obcego, pozostającego poza światem, który znałem.

Nadchodzi chwila, w której przestajemy się bać. A może to niesamowite miejsce rzuciło na nas jakiś czar, więc strach nie zdołał się zagnieździć w moim mózgu? Nie bałem się, ale i nie czułem ciekawości. Zaakceptowałem wszystko, co tu się znajdowało, jako część odmienności tego miejsca, gdyż nie należało do mojego świata.

Różdżka w ręku Ursilli zakołysała się z lewa na prawo. Z jej czubka strzeliła

ognista strzała i czegoś dotknęła. W odpowiedzi to coś rozjarzyło się najpierw na wprost nas, a potem z lewej i prawej strony. Rozbłysła przed nami prawdziwa wysepka światła.

I tak weszliśmy do świetlnego kręgu. Tworzyły go wyrzeźbione w skale posągi istot, siedzących na kamiennych blokach. Zwrócone do wewnątrz, lecz... bez głów!

Miejsce głów zajmowały gładkie owalne klosze. Mówię „klosze”, ponieważ wykonano je z jakiejś substancji, wewnątrz której poruszało się światło, układające się w najróżniejsze wzory. To owe klosze oświetliły to miejsce.

Rozniecony przez różdżkę Ursilli blask przenosił się z jednej postaci na drugą, aż wszystkie ukazały rozjarzone, lecz gładkie oblicza.

Każdy z kloszy miał ozdobne przybranie i każde różniło się czymś od pozostałych. Posągi wyglądały na pierwszy rzut oka na wizerunki ludzkie. To co mogłoby być inne, skrywało się pod fałdami płaszczy. Każda postać wyciągała przed siebie rękę (mówię „rękę”, mimo że bardziej przypominała szpony, gdyż tak cienkie były palce) trzymającą jakiś przedmiot, a każda inny. Tutaj była to wzorzysta kula, tam różdżka podobna do tych, których używały Mądre Kobiety, ówdzie zaś rozkwitły kwiat. Postać, przed którą zatrzymała się Ursilla, miała w ręce małą jak zabawka figurkę człowieka, zwisającego bezwładnie z dłoni, martwego albo jeszcze nie obdarzonego życiem. Widok ten wstrząsnął mną, wrywając mnie z okowów rzuconego czaru. Znaczyłyby bowiem, że ludzie są tylko zabawkami sił wyobrażonych przez pozbawione twarzy postacie. Ta aluzja do niewoli wzbudziła we mnie gwałtowny protest.

Ursilla uklękła na podłodze. Nie, nie po to, by złożyć hołd niesamowitej postaci, ale by wyjąć z podołka zawiniątka, butelki i puzderka zabrane z Zamku. Zdawało się, że nie zwraca uwagi na świecące klosze-nietwarze. Ja przeciwnie i coraz mniej mi się to wszystko podobało.

W samym środku kręgu znajdowało się wykute w kamieniu palenisko. Zgromadzony tam popiół wskazywał, że Ursilla zapewne nie po raz pierwszy z niego korzystała. Byłem głęboko przekonany, że kontaktowała się z czymś, co raczej należało pozostawić w spokoju.

Czym była ta trwająca tu siła? Nie Cień i nie Światło. Coś tak starego i pierwotnego, że istniało poza granicami dobra i zła. Powstało w czasach, kiedy dobro i zło jeszcze się nie narodziło, żeby toczyć wieczną wojnę w ludzkich sercach. Czerpanie takiej siły byłoby naprawdę nieroztropnością. To ambicje Ursilli ją do tego

skłoniły; mój lęk przed nią i niechęć, którą do niej żywiłem, zamieniły się teraz w strach i nienawiść.

Pragnąłem stąd uciec, odetchnąć świeżym powietrzem. Niestety, nic z tego. Byłem tu uwięziony tak samo jak w ciele lamparta. Podniosłem oczy na jeden ze świecących kloszy, a potem szybko je odwróciłem. Migotliwe, rozplywające się wzory, barwy przenikające płynnie jedna w drugą z wielką szybkością wydały mi się niebezpieczne, wręcz hipnotyzujące.

Krażąc nerwowo wokół kręgu, unikając Ursilli, jak gospodyni domowa zajętej ustawianiem czarodziejskich przyborów, słyszałem - w mózgu, tak jak wtedy, gdy rozmawiał ze mną Zwierzolak - daleki szept, nie dość jednak głośny, bym go zrozumiał.

Ursilla wybrała to, co uznała za potrzebne, podeszła do paleniska i wsypała tam kilka garści suszonych, startych na proszek ziół. Robiła to bardzo ostrożnie, jakby liczył się każdy pyłek. Otarła potem ręce o suknię i po raz pierwszy podniosła na mnie wzrok.

- To, co zostanie zrobione, będzie dobrze zrobione - powiedziała tajemniczo. - Moja moc przyprowadziła mnie tutaj przed wielu laty. Potem w najstarszym naszym zwoju runicznym znalazłam wyjaśnienie zagadki tego miejsca. Zanim tutaj przybyliśmy - a jesteśmy znacznie starsi, niż wskazywałaby na to nasza rachuba czasu - Arvon zamieszkiwali Inni. Służyli swoim własnym celom i byli tak potężnymi władcami mocy, że nie możemy sobie tego wyobrazić. Ich czas przeminął, ale po sobie pozostawili źródła energii, może osłabione i częściowo wyczerpane, ale nadal potężniejsze niż to, co tu i teraz mogą przywołać nawet Głosy Mocy czy słudzy Ciemności. Czekałam i uczyłam się. - W jej głosie brzmiały nutki triumfu. - Wiem, czego tutaj można dokonać, jeżeli używa się magii. A używa się tak, jak ja jej użyję!

Myślę, że nie starała się wyrzeć na mnie specjalnego wrażenia. Jej twarz rozświetlał jakiś wewnętrzny ogień, jakby skóra przejęła nieco blasku od pozbawionych rysów twarzy, które nas otaczały.

- Musimy teraz poczekać - ciągnęła Ursilla. - To wszystko nie jest łatwe. Musi nadejść właściwa godzina i muszą przybyć ci, których wezwałam, żeby wzięli w tym udział.

Wróciła do swych skarbów. Z jakiegoś woreczka wyjęła brunatny suchar, który przełamała na pół. Chrapiąc swoją połówkę, rzuciła drugą mnie.

- Jedz!

Nie chciałem mieć z nią nic do czynienia, ale musiałem zachować siły. Zmiażdżyłem suchar w zębach i połknąłem za jednym zamachem. Dla lamparta był zupełnie pozbawiony smaku; rozpoznałem w nim jednak chleb podróżny, całkowicie zastępujący wędrowcom wszelkie normalne pożywienie.

- Ona wkrótce przyjdzie - Ursilla zatarła ręce. - Rzucony na nią czar ją przyciągnie. Wtedy się zaczniesz. Ach, cóż to będzie!

Siedząc u stóp posągu trzymającego w ręku figurkę człowieka, oparła czoło na kolanach. Może spała, może wpadła w trans. Położyłem się najdalej, jak to tylko było możliwe. Zdawałem sobie sprawę, że wędrowka w ten mrok na nic się nie zda. To miejsce zatrzyma mnie tak długo, aż jej czary pozwolą mi stąd odejść. Zresztą w owej chwili nie ośmieliłem się oddzielić w sobie człowieka od zwierzęcia. Wyczuwałem wokół siebie zbyt silny wpływ Starszych Sił i nie dowierzałem im.

Może i ja także zasnąłem, albo czar wprowadził mnie w stan podobny do snu. Ocknąłem się szybko, nie wiedząc, jak długo byłem nieprzytomny. Ursilla podniosła się i stanęła w pobliżu mnie, wpatrzona oczekująco poza krąg.

Nastawiłem uszu. Dobiegł mnie cichy odgłos kroków i lekki szmer kobiecych sukni. Stawały się coraz głośniejsze.

Wreszcie w świetlny krąg weszła pani Heroise. Twarz miała ściągniętą i zmizerowaną. Wyglądała znacznie starszej niż zwykle, starszej nawet niż jej matka. Utkwiłem wzrok w tym, co trzymała przed sobą w palcach w taki sposób, jakby brzydziła się nawet jego dotykiem.

Lamparci pas! Pas, który przyciągnął mnie z powrotem do Car Do Prawn!

Na ten widok nie mogłem powstrzymać się od warknięcia. Zerwałem się, szykując się do skoku...

Ursilla machnęła ręką, jakby coś na mnie rzucała. Cokolwiek to było, sparaliżowało mnie i nie mogłem się ruszyć z miejsca.

Moja matka patrzyła przed siebie nie widzącymi oczyma. Szła jak zaczarowana lub uśpiona. Kiedy Ursilla odebrała jej z rąk pas, pani Heroise drgnęła i rzuciła wokół siebie błędnym wzrokiem. Na jej twarzy pojawił się strach.

- Ursillo! - Paplała szybko. - Maughus i Eldris oszaleli! Wdarli się do twojej komnaty, Maughus rozkazał zniszczyć wszystko, co tam było. Kiedy jego ludzie nie chcieli go słuchać, sam wyrzucił wszystko przez okno na dziedziniec, potem własnoręcznie ułożył w stos i podpalił. Nie rozstaje się z mieczem, żeby zabić Kethana, gdy tylko go spotka. Uważa, że ma do czynienia ze sługą Ciemności. Wysłał

też umyślnego do Car Do Yelt, gdzie podobno przebywa ten, który rozmawia z Głosami Mocy. Zaprosił go, by przybył i oczyścić Zamek. Zachowuje się jak szaleniec! Nie cofnie się przed zabójstwem krewnego. Ursilla nie przejęła się jej słowami.

- Nie można bezkarnie grozić Mądrej Kobiecie. Maughus ma przy sobie niewidzialnych towarzyszy, Heroise.

Pani Heroise wzdrygnęła się.

- Sprawiaś, że przekroczył granice strachu. Już się nie boi, tylko nienawidzi... i chce zabijać.

- Niech się wścieka, nie zostało mu już dużo czasu - odparła spokojnie Ursilla.

- Nawet jeśli znajdzie sekretne przejście, nie wejdzie tu, dopóki na to nie pozwolę. Są tam strażnicy, którzy to uniemożliwią. Nie trzęś się, kobieto, nadeszła godzina, na którą obie od dawna czekałyśmy. Chciałaś rządzić Car Do Prawn. A ja ci powiadam, że będziesz rządzić większą częścią Arvonu. Moja matka najpierw załamała ręce, potem otarła je o spódnicę, jakby chciała pozbyć się śladów, które lamparci pas na nich pozostawił. Rozejrzała się wokół ze zdziwieniem i znowu zwróciła się do Ursilli:

- Ursillo, Czarodziej! Postawiłam karty i Czarodziej leży w Ósmym Domu Kethana. To znak, to znak...

- To znak przyszłej wielkości. - Mądra Kobieta wzruszyła ramionami. - Już mi o tym mówiłaś, a ja ci wyjaśniłam, co taka wróżba może oznaczać. Głupio robisz, upierając się przy swoich rzekomo wielkich proroczych zdolnościach. Nie potrzeba nam takich znaków i zapowiedzi. A już na pewno nie tutaj, gdzie śpi Moc. Zaraz ją obudzimy.

- Nie chcę... - zaczęła moja matka. Łzy popłynęły jej z oczu, stoczyły się po policzkach i zwilżyły usta, gdy dodała: - Ursillo, proszę cię... To miejsce mnie przeraża!

- Przedtem nie dręczyły cię takie niepokoje... Teraz jest na to za późno, pani! Nie ma drogi odwrotu... - Ursilla wzruszyła ramionami.

Matka otarła łzy, rozmazując je na twarzy jak mała dziewczynka. Może ten obraz powinien był wzbudzić moją litość... Lecz w owej chwili nie czułem nic, gdyż to jej ambicja i żądza ściągnęły na nas to wszystko.

## **O tym, jak Ursilla odczytała runy i wysłała mnie z rozkazem**

Mądra Kobieta poruszała się pewnie, ze swobodą kogoś, kto dobrze wie, co ma zrobić. Powoli obeszła w krąg siedzące postacie, zatrzymując się na chwilę przed każdą i wpatrując w zmienne, wypełnione światłem klosze, które zastępowały im twarze. Przyglądała im się tak uważnie, jakby w nieprzerwanym falowaniu zmieniających się barw odczytywała jakieś przesłanie. W końcu znowu znalazła się przed posągiem trzymającym człowieka-zabawkę.

Wyciągnęła zza pazuchy mały kościany gwizdek, zawieszony na srebrnym łańcuszku. Przyłożyła go do ust i wydobyła zeń dziwny, niesamowity gwizd, od którego aż zaświdrowało mi w uszach. Chciałem ryknąć na znak protestu, lecz nie mogłem.

A wtedy...

Gdzieś z oddali dotarła cicha odpowiedź. Z oddali...?

Może z innego czasu. Ursilla trzykrotnie zagwizdała i trzykrotnie otrzymała odpowiedź. Za każdym razem odpowiedź była głośniejsza, jakby ten ktoś się zbliżał.

Odwróciła się i skierowała różdżkę na wypełnione ziołami palenisko. Strzelił z niej osłepiający ogień. Zawartość zapaliła się na parę chwil. Płomień przygasł i buchnęły kłęby dymu.

Zimny wiatr, który nas owionął wkrótce po przybyciu, dawno temu ucichł, powietrze stało tu nieruchome i martwe. A mimo to dym pełził ku postaci z człowiekiem-zabawką, owinał ją wokół, wreszcie skrył całkowicie przed moim wzrokiem. Tylko rozjarzona gładka głowa pozostała widoczna. Wirujące w niej kolory stały się jaskrawsze i wyraźniejsze i coraz szybciej zmieniały odcienie. Wpatrywałem się w nią, aż przyszło mi do głowy, że ta starożytna siła właśnie tak mogła torturować swoje ofiary. Oderwałem więc wzrok od mamiących błysków i pochyliłem głowę.

Ursilla upuściła gwizdek, który zawisł na jej piersiach jak wisior w kształcie nowiu u Księżycowej Czarodziejki...

Księżycowa Czarodziejka!

W chwili gdy zobaczyłem ją oczami wyobraźni, zrozumiałem, że nie wolno mi w tym miejscu wspominać ani jej, ani kogokolwiek z Gwiazdnej Wieży. Wstrząsnęło mną to. Czy siły, które Ursilla tak nierozważnie przywołała, mogły

sięgnąć aż do Wieży i zniszczyć spokój leśnego schronienia? Nie byłem tego pewien, ale na wszelki wypadek nie chciałem ich wspomagać bezmyślnym postępowaniem.

Chude ciało Ursilli kołysało się na boki, ale jej stopy pozostawały przywarte do posadzki. Chmura dymu kołysała się razem z nią, wysyłając wokół macki. Przez chwilę zawisły w powietrzu, po czym rozdzieliły się i otoczyły po kolei wszystkie posągi, zamykając nas szarym murem. Kiedy znikła ostatnia przerwa w wonnej ścianie, dym przestał unosić się z paleniska, w którym pozostał tylko popiół.

Teraz jarzyły się już wszystkie klosze-głowy. Moja matka dyszała ciężko. Zapach strachu otulał ją jak szarpany wiatrem płaszcz. Po chwili...

Znikł nawet cień strachu, a z nim znikła jej własna osobowość. Kiedy zwróciłem ku niej głowę, stała utkwivszy w oddali puste spojrzenie. Lecz jej ciało kołysało się w doskonałej harmonii z ciałem Mądrej Kobiety. Czy pani Heroise chciała, czy nie, stała się teraz fragmentem planu Ursilli.

Ale ja nie. Coś we mnie uparcie sprzeciwiało się czarom. Wiedziałem, kim jestem i dlaczego tu jestem. Powtarzałem to sobie w myśli, odwróciwszy wzrok od płonących kloszy. Na Ursillę i matkę tylko zerkałem kątem oka, w obawie, by nie zahipnotyzował mnie ich rytmiczny ruch.

Mądra Kobieta podniosła różdżkę. Tym razem nie strzelił z niej ogień. Trzymając ją jak olbrzymie pióro, zaczęła coś pisać na dymnej zasłonie. Nie wiem czy otrzymała jakąś na to odpowiedź.

Rzucałem w jej stronę ukradkowe, szybkie spojrzenia i natychmiast odwracałem wzrok. Wszystkie jej gesty i działania wydawały mi się bezsensowne.

A przecież wyczuwałem działanie jakiejś siły: swędziała mnie skóra, a fala zimna sparaliżowała mi grzbiet i nogi. Miałem ochotę podnieść głowę i zawyc ze strachu. Ta siła była najpierwotniejszym żywiołem. Równie dobrze mogła zostać wyciśnięta z otaczających nas starożytnych skał. Nie miała nic wspólnego z naszym gatunkiem. Nie wierzyłem też, by mógł nią kierować ktoś taki jak Ursilla. Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby siedzące nieruchomo postacie wstały i rozdeptały nas za naruszenie ich spokoju.

Ramię Ursilli opadło bezwładnie, różdżka stuknęła o podłogę. Dym rzedł, cofał się i rozpraszał w mroku. Moja matka krzyknęła cicho.

Osunęła się na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Wstrząsały nią gwałtowne dreszcze. Lecz Mądra Kobieta nadal stała prosto naprzeciw postaci, którą... może obudziła?

Wreszcie odwróciła się powoli. Jej twarz stężała niby maska. Nigdy nie widziałem takiego błysku, jaki pojawił się w szeroko otwartych oczach Ursilli. Zdawało się, że gromadziły się w nich te same przelewające się barwy, jak w rozjarzonych obliczach kamiennych postaci.

Przemówiła, a głos miała tak spokojny i obojętny, jakiego dotąd nie usłyszałem z ust żadnej znanej mi ludzkiej istoty.

- Zaczęło się i dobrze się zaczęło. Teraz ty masz coś do zrobienia.

Podniosła różdżkę i skierowała ją nie na panią Heroise, czego oczekiwałem, lecz na mnie. Całkowicie zaskoczony, nie mogłem się przed nią obronić.

Tym razem różdżka nie rozbłysła płomieniem. Dotarł do mnie i wyrzył się w moim umyśle rozkaz i wiedza, jak mam go wykonać. Nie byłem w stanie się przeciwstawić. Ursilla kontrolowała mnie całkowicie: zarówno lamparta, jak i człowieka.

- Idź!

Różdżka znów wskazała ciemność za plecami postaci, której Ursilla złożyła hołd.

Wydało mi się, że Kethan i lampart złąły się w trzecią istotę, posłuszną tylko Ursilli. Kethan obserwował wszystko w taki sposób, jakby stał przy oknie więziennej celi.

Wbiegłem w mrok, tak jak mi rozkazała. Światło różdżki już nie oświetlało mi drogi. Nie potrzebowałem go. Wyczucie kierunku było nieodłączną częścią rzuconego czaru. A czar ten ciągnął mnie tak, że czułem się jak na smyczy.

W odwiecznej pieczarze panował mrok, aksamitny mrok, jakiego nie widziałem nawet w księżycową noc. Była pewnie przeogromna, bo miałem stale wrażenie, że nigdy jej nie opuszczę, mimo najszybszego biegu.

W końcu dotarłem do jej przeciwległego krańca i zwolniłem nieco, gdyż na oślepie wpadłem na prowadzącą w górę drogę. Tym razem nie były to schody, lecz ciąg przedzielonych podestami pochylni, w dodatku coraz bardziej stromych. Biegłem najszybciej jak w tych warunkach mogłem, pnąc się coraz wyżej i wyżej w ciemności.

Im bardziej oddalałem się od niesamowitej świątyni, tym lżejszy stawał się mój ciężar. Rozerwać geas, który nałożyła na mnie Ursilla? Nie, nie potrafiłem tego. Mógłby to zrobić tylko ktoś dobrze obeznany z magią. Jeśli w ogóle było to możliwe... Ursilla wykuła go posługując się wiedzą dawno zapomnianą. Mogłem jednak znów swobodnie myśleć, może nawet znaleźć sposób na pokrzyżowanie



planów Mądrej Kobiety.

Ta droga nie prowadziła mnie do Zamku ani nawet w jego pobliże. Nie powinienem się zatem obawiać Maughusa. Lecz w jakiś sposób trzeba będzie obejść rozkazy Ursilli. Powinienem więc oszczędzać siły na ten jeden decydujący moment.

Do góry, wciąż do góry. Jak długo tu jesteśmy? Kiedy dotrę na powierzchnię? Biegłem w głębokich ciemnościach. To przejście i mrok zdawały się nie mieć końca.

Aż wreszcie - daleko w górze - zobaczyłem szarawy blask jak światło jedynej gwiazdy na nocnym niebie. Więc jednak! Przyśpieszyłem kroku. Łapy bardzo mnie już bolały i brakowało mi tchu.

Szara kropka stała się wyraźniejsza i pojaśniała. Ale nie wyglądała ani na blask słońca, ani nawet na światło dzienne. W każdym razie tam było wyjście na powierzchnię ziemi. Wreszcie wbiegłem na najbardziej stromą z pochylni i otoczył mnie - zmierzch.

Łagodne pagórki zajmowały większą część horyzontu. W zboczach tkwiły tu i ówdzie obrobione bloki kamienne, bardzo zniszczone przez czas. Mogły to być ruiny jakiejś bardzo starej i zapomnianej świątyni czy zamku. Odwróciłem łeb i przyjrzałem się uważnie wyjściu z podziemnego tunelu. Ciemny otwór w pagórku nie miał w sobie nic nadzwyczajnego.

Jednak nałożony na mnie geas nie dał mi czasu na dokładniejszą penetrację okolicy. Niewidzialna smycz znów szarpnęła. Muszę iść dalej, aż znajdę to, czego Ursilla potrzebuje, żeby zakończyć swoje czary. Czary niezbędne do spełnienia jej życzeń.

Gdzieś... jest ktoś... kogo muszę sprowadzić... lecz nie dość, że nie znam jej imienia, to nawet nie wiem, jak wygląda. Geas zaprowadzi mnie do niej. A wtedy... muszę ją zabrać do Ursilli.

Tak jak niegdyś człowiek powstrzymał lamparta, gdy Mądra Kobieta zawołała „Zabij!”, tak teraz wszystko, co było mną, zarówno człowiek jak i zwierzę, nie zamierzało wykonać tego rozkazu. Ale jeszcze na to nie pora. Instynkt lub ten nowy zmysł, zbudzony, gdy szukałem w sobie klucza do zmiany postaci, podpowiedział, a raczej ostrzegł: nie trać sił na przedwczesną walkę, przygotuj się, czekaj stosownej chwili.

Biegłem szybko w mroku nocy, skręcając co jakiś czas, jakbym zwęszył wyraźny trop - i zawsze kierował mną geas. Okolica była mi całkiem obca, nie miała w sobie nic znajomego. Znalazłem się widać znacznie dalej na wschód niż

kiedykolwiek.

Pozostawiłem za sobą pagórki i otoczyły mnie drzewa. W lesie było bardzo cicho. Nie słyszałem żadnego ruchu. Nic, tylko martwa cisza. Wydawało się, że życie całkowicie porzuciło ten obszar.

W natrafionym po drodze źródle zaspokoilem pragnienie, zmyłem z pyska i gardła kurz wielkiej pieczary. Nie czułem głodu i nic mnie nie bolało. Na niebo wypłynął cieniutki sierp księżyca. Zrozumiałem, że w podziemnej jaskini spędziliśmy znacznie więcej czasu, niż sądziłem.

Księżyc nie oświetlał mi wprawdzie drogi, ale moje lamparcie oczy dobrze się spisywały w mroku i nie potrzebowałem przewodnika. Dwukrotnie ominąłem miejsca, od których buchał smród Ciemności, gnilny odór rozkładu. Wzbudziły we mnie taką nienawiść, że mijając je warknąłem wściekle. Niestety, byłem bezradny.

Nie próbowałem odgadnąć, jakie kryły się w nich niebezpieczeństwa. Nie chciałem też ani nie miałem czasu ich badać. Z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że coraz liczniej i szerzej rozprzestrzeniały się w lesie.

W długich skokach nikałem tak przez obcy las i dopiero gdy dotarłem do znajomej rzeki, zorientowałem się, dokąd mnie wysłano: z powrotem w stronę Zamku! Kogo miałem odszukać? Maughusa? Eldris? Może Thaney? Nie cierpiałem całej tej trójki, lecz w ostateczności - jeśli inaczej się nie da - będę walczyć w ich obronie. A może zdarzy się tak, że ja, Kethan - umrę, choć moje ciało pozostanie przy życiu.

Przebyłem rzekę skacząc z jednego kamienia na drugi i dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że Ursilla nie wysłała mnie bynajmniej do Car Do Prawn. I wtedy nagle zrozumiałem...

Do Gwiazdnej Wieży!

Czy Ursilla odgadła lub dowiedziała się za pomocą czarów, że to mieszkańcy Wieży pomogli mi w ucieczce z zaklętej gwiazdy? Czy chciała się na nich zemścić?

Spróbowałem przejąć kontrolę nad ciałem lamparta. Ale bez powodzenia. Chociaż warczałem i parskalem z gniewu i wściekłości, nadal biegłem prosto do tych, którym nie chciałem wyrządzić żadnej krzywdy. Zamiary Ursilli tak mnie przeraziły, że gdyby w owej chwili stanął przede mną Maughus z obnażonym mieczem, dobrowolnie skoczyłbym na śmiercionośny brzeszczot.

Postanowiłem ostrzec mieszkańców Wieży za pomocą myśli. Nie umiałem kontaktować się z innymi umysłami, ale miałem nadzieję, że system obronny Wieży

odkryje moją obecność i wszystkich zaalarmuje.

Raptem, ostra jak pchnięcie miecza odpowiedź przeszła mi mózg.

- Wiemy o tym.

Zwierzolak! Nawiązał ze mną łączność!

- Zabij mnie! - poprosiłem w myśli. Lepiej, żebym zginął, niż żeby Ursilla zdołała zrealizować swe potworne plany. Nie znałem ich; wiedziałem tylko, że muszę wrócić z kimś, kogo wybrała. Reszty mogłem się domyślać.

- Chodź...

Tym razem nie odezwał się śnieżny kot, tylko kobieta z Gwiazdnej Wieży. Nie wolno zrobić wyłomu w systemie obronnym... - przypomniały mi się jej słowa.

Gorączkowo próbowałem ukazać związane ze mną, grożące im Zło. Nie miałem pojęcia, jak wielką mocą Ursilla mogła władać za moim pośrednictwem. Obawiałem się jednak, iż to, co zgromadziło się w pieczarze, było silniejsze i dziwniejsze niż cokolwiek znanego obecnie w Arvonie. Lękałem się, że Gwiazdna Wieża nie zdoła się przed tym obronić.

Miałem już przed sobą ogród ziołowy i Gwiazdną Wieżę. Wciągnąłem do płuc mocny zapach ziół. Spodziewałem się muru obronnego stworzonego z mgły i otaczającego Wieżę. Miałem nadzieję, że powstrzyma siłę, którą przywołała Ursilla.

Nie zobaczyłem jednak mgiełki rozpościerającej się między wspornikami. Na dróźce przede mną pojawiły się trzy niewyraźnie majaczące postacie, jakby wyszły mi na powitanie. Z trudem pokonałem własne ciało, by zatrzymać się przed nimi. Dopiero teraz bowiem zrozumiałem, kogo miałem odnaleźć...

Księżycową Czarodziejkę!

- Zabijcie mnie! - Opuścił mnie lamparci instynkt samozachowawczy. Albo umrę tu i teraz, albo niemożliwa do opisanego zła moc, której nie umiałem sobie wyobrazić, pochłonie dziewczynę. Pozostali też być może zginą, ale Księżycowa Panna na pewno.

Żadne się nie cofnęło przede mną, Zwierzolak zaś nie posłuchał mojego błagania. Byli w tych samych strojach jak wtedy, gdy użyczyli mi swojej siły w komnacie Ursilli.

Trzymali wysoko w górze swoje symbole Mocy - gałązkę z jednym zielonym listkiem w kształcie grotu, oplecioną księżycowymi kwiatami różdżkę i miecz. Ten ostatni... Jego brzeszczot powinien być wycelowany w moje serce lub mierzyć w moją szyję.

Warknąłem i ryknąłem ze złością i bezsilną rozpaczą. Dlaczego mnie nie posłuchali!? Przyniosłem im nieszczęście, a oni nic nie robią!

Kobieta pierwsza wyciągnęła ku mnie różdżkę. Może skieruje nią jakąś siłę, która... mnie zniszczy... Oczekiwałem miłosiernego ciosu.

Zamiast tego do mojej skołatanej głowy napłynął taki sam kojący spokój jak wtedy, gdy jej zioła ukończyły ból w moim poranionym grzbiecie. Geas, który nałożyła na mnie Ursilla, został stłumiony, przygaszony...

- Jestem dla was niebezpieczny... - Miałem nadzieję, że przynajmniej Zwierzolak odczyta ostrzeżenie.

- Wiemy... widzieliśmy.

Jego odpowiedź zabrzmiała wyraźnie w moim umyśle. Pragnąłem zapytać, jak to jest możliwe, ale powstrzymałem niewczesną ciekawość. Musieli mieć jakieś własne sposoby wykrywania wymierzonych przeciw sobie czarów.

- Muszę zabrać... ją!

Magia Ursilli nie pozostawiała mi wyboru. Oni muszą to zrozumieć! Albo zabiorę Księżycową Czarodziejkę do podziemia, albo umrę. Zdecydowałem się na to drugie.

- Nie. - Znów dotarli do mnie słowa Zwierzolaka. - Wróżyliśmy z wody, z gwiazd i z ognia. Nasze losy są ze sobą splecione. Rachunki wyrównają się dopiero wtedy, kiedy stawimy czoło tej czarownicy z Car Do Prawn. Tak mówi przepowiednia. Jest czas topora - ciągnął - i jest czas miecza, a oba są czasem ludzi. Jest czas wiatru i czas Gwiazdy - są to czasy Wielkich Adeptów i Głosów Mocy. Jest też czas Zwierzolaka i czas przemiany - i to one wzywają nas teraz i nami rządzą.

To brzmiało niejasno i niezupełnie zrozumiałem, co chciał powiedzieć. Ale jego stwierdzenie, iż nasze losy się łączą, zdumiało mnie. Niemniej nawet na chwilę nie zwątpiłem w jego słowa. Bo chociaż nie był Głosem Mocy, to władał własnymi siłami i energiami. Moje rozmyślenia przerwał głos jego towarzyski dźwięczący w moich myślach.

- Ziemia i Powietrze, Ogień i Woda. Poprzez Świt ze Wschodu, Biały Miesiąc z Południa, Zmierzch z Zachodu, Czarny Mrok z Północy, poprzez cis, głóg i jarzębinę, poprzez Prawo Wiedzy, Prawo Imion, Prawo Prawdziwych Kłamstw, Prawo Równowagi - w taki sposób postępujemy.

Kiedy jej słowa przemknęły przez mój umysł, pozostawiwszy tylko zdumienie, podeszła do mnie Księżycowa Czarodziejka. Położyła mi dłoń na głowie,

tak jak wtedy, gdy poleciła mi szukać klucza do zmiany postaci. Jej dotknięcie zmniejszyło brzemień ciężące mi na duszy.

- Księżyc jest jeszcze w nowiu, ale rośnie - powiedziała głośno. - Przybywa go, a więc przybywa tego, co jest moją bronią. Zrobisz to, co trzeba. I myślę, że twoja czarownica przekona się, że nie tak łatwo stawić czoło przyszłości.

Odróciłem się plecami do Gwiazdnej Wieży. Nie odszedłem sam, gdyż obok mnie kroczyła Księżycowa Czarodziejka. Za nami szła nie znana mi z imienia kobieta, a u jej boku stąpał wielki śnieżny kot. Przebyliśmy rzekę, zdążając tam, skąd przyszedłem, i ten sam niewidzialny przewodnik - geas - prowadził mnie prosto jak strzeł.

Ulga, jaką mi przynieśli, pozwoliła mi iść nieco wolniej. Szliśmy spokojnie przez nocny mrok i nie musiałem już biec co tchu. Niekiedy dłoń Księżycowej Czarodziejki muskała moją głowę. I za każdym razem robiło mi się lżej na sercu i rosła we mnie nadzieja, że przyprowadzę Ursilli nie to, czego pragnęła, ale to, na co zasłużyła.

Blask przedświtów rozjaśnił niebo, gdy dotarliśmy do starożytnych ruin. Zbliżaliśmy się już do ciemnego wejścia do jaskini, gdy nagle... rozległ się krzyk kobiety.

Odróciłem się szybko. Stała w miejscu z wyciągniętymi przed siebie rękami i przesuwając nimi w dół i w górę, jakby macała jakąś powierzchnię. Nic tam nie widziałem, a przecież byliśmy z Księżycową Czarodziejką o kilka kroków od tego miejsca.

Śnieżny kot wspiął się na tylne łapy, a przednie oparł o niewidzialną zaporę. Warcząc wysunął pazury i próbował drapać jakąś pionową powierzchnię.

W jednej chwili straciłem całą nadzieję. Nikt nic nie musiał mi mówić. To było jakieś siłowe pole, które wpuściło mnie i moją ofiarę, ale nie tych, którzy mogliby nam pomóc. Zdecydowałem wycofać się i zabrać stąd Księżycową Pannę. Wziąłem do paszczy kilka łańcuszków z nanizanymi na nie dyskami z jej spódnicy i spróbowałem ją odciągnąć. Lecz tak jak tamtych dwoje nie mogło do nas dołączyć, tak ja nie mogłem zawrócić.

Przyciąganie geas było zbyt silne i zdawałem sobie sprawę, że długo nie zdołam mu się oprzeć. Wciągnie mnie pod ziemię i będę zmuszony poprowadzić ze sobą Księżycową Czarodziejkę. Lepiej by było, gdyby Zwierzolak posłuchał moich prośb i przebił mnie mieczem. Bez względu na to, czy nasze losy się połączyły, czy

nie, teraz nie mogli do mnie dotrzeć ani ja do nich.

**O tym, jak pani Heroise powiedziała prawdę,  
a ja stawiałem czoło Ursilli**

- Idź! - Rozkaz śnieżnego kota zaskoczył mnie. Poczułem się tak, jakby wydano mi dwa sprzeczne polecenia. Nie wiedziałem, co powinienem zrobić.

- Idź! - powtórzyła za nim kobieta z Gwiazdnej Wieży. - To nie jest potężny czar. Osłabił go upływ czasu i na pewno zdołamy go zniszczyć. Jeśli tu zostaniesz, ta, która na ciebie czeka, dowie się o wszystkim. A wtedy może przysłać coś, co tę zaporę tylko umocni.

Bardzo chciałem uwierzyć w jej słowa. Rósł we mnie lęk. Lecz gdy Księżycowa Czarodziejka znów położyła mi rękę na głowie i rezolutnie zwróciła twarz w stronę ciemnego wejścia, zrozumiałem, że choć ja połowicznie wierzyłem w moc tamtej dwójki, to ona nie miała najmniejszych wątpliwości. Wydawała się nieustraszona, ale pewnie nie zdawała sobie sprawy...

Niechętnie ruszyłem do przodu, a ona szła równo ze mną.

- Tam jest bardzo ciemno. Coś mnie prowadzi, lecz nie wiem co...

- Więc i mnie poprowadzi - odparła - ponieważ pójdziemy razem.

Tak oto wkroczyliśmy pod ziemię i ostrożnie zeszliliśmy po pierwszej pochylni. W gęstym mroku już wkrótce ja, lampart, przestałem ją widzieć, ale wciąż czułem dotyk jej dłoni.

W pewnym momencie obok mnie pojawiło się blade światelko. Coś podobnego do mgiełki otaczającej Gwiazdną Wieżę. To dyski tworzące spódniczkę Księżycowej Panny i srebrny półksiężyc na jej piersi emanowały blaskiem.

- Tutaj jest jakaś ogromna siła - powiedziała. - Pobudza wszystko, co jest zestrojone z Mocą. - Wysunęła do przodu oplecioną kwiatami różdżkę. Każdy z szeroko otwartych kwiatów świecił bladym blaskiem. - Księżycowa Macierz nie dociera w głąb ziemi, ale wyczuwam tu jej Moc. Przypuszczam, że dawno temu przebywał tutaj ktoś, kto znał Księżycową Magię i posługiwał się nią.

Wcale nie była przestraszona i to mnie zaniepokoiło. Mój lęk o nią chciałem wyrazić głosem, zapominając, że mogę wydawać tylko gardłowe kocie pomruki. Musiała jednak odczytać moje myśli, bo spróbowała rozwiać moje obawy.

- Nie, Kethanie, nie przeczę, że ta twoja Mądra Kobieta zna się na czarach znacznie lepiej ode mnie. Nie wiem jednak, czy zdaje sobie sprawę, że ja też mogę przywołać siły, które są jej całkowicie obce. Otrzymałam bowiem dobre

wykształcenie. Jeszcze nawet dobrze nie umiałam mówić, a już potrafiłam zaglądać do ludzkich umysłów. Moja matka, wróżąc z ognia i wody, dowiedziała się, że mam magiczny talent, w dodatku odmienny od jej własnego. Nie dziw się temu. Albowiem moja matka jest Czarownicą Zielonej Drogi, a mój ojciec był niegdyś Jeźdźcem Zwierzolakiem. - Powiedziała to tak dumnie, jakby recytowała listę spokrewnionych z nią bohaterów. - Moja matka wiedząc, że będę władczynią Mocy, zabrała mnie do świątyni Naeve. Jej kapłanki oceniły moje zdolności i orzekły, że będę Księżycową Czarodziejką. Kiedy nieco podrosłam, udałam się do Linarku i wiele tam się nauczyłam. Jeszcze więcej nauczyłam się od moich rodziców po powrocie do Reeth. Dawno temu w Reeth uprawiano Księżycową Magię i co nieco z niej pozostało, kiedy moi rodzice odkryli Wieżę i zamieszkali w niej.

Mówiła z ożywieniem, tak swobodnie, jakby rozmawiała z przyjacielem na przechadzce wśród pól. A przecież coraz głębiej schodziliśmy pod ziemię, a naszym celem było stawić czoło Mocy, która przewyższała wszystko, z czym zetknęli się ludzie mojej rasy.

Nie pomyliłem się przypuszczając, że śnieżny kot był niegdyś Jeźdźcem Zwierzolakiem. Ale dlaczego nie mieszkał w Szarych Wieżach?

- Moja matka - ciągnęła idąca obok mnie dziewczyna, może znów czytając pytanie w moich myślach - była Małżonką Z Krainy Dolin. Czy nie słyszałeś tej opowieści, Kethanie? Jest tak znana, że tkacze pieśni już umieścili ją w Kronikach Arvonu.

Tak, słyszałem. Jeźdźcy Zwierzolacy znaleźli się wśród banitów, kiedy dobiegła końca wojna Siedmiu Wielmożów. Skazano ich na wygnanie i mieli wędrować dopóty, dopóki w układach gwiazd nie znajdą pewne zmiany. Dopiero wtedy mogli prosić, by pozwolono im wrócić do ojczyzny. Wyruszyli na południe, do Krainy Dolin. Po jakimś czasie wybuchła tam wojna między ludźmi, a stało się to na długo przed moim urodzeniem. Wówczas zawarli układ z mieszkańcami Krainy Dolin, tymi, którzy zajęli opuszczone ziemie. Walczyli u ich boku i wyparli najeźdźców do morza albo ich wybili. Za swoje usługi Jeźdźcy Zwierzolacy wyznaczyli cenę: po zwycięstwie mieli otrzymać od wielmożów z High Hallacku dziewczyny z ich rodu.

I oto w Roku Jednorożca na skraj Ziem Spustoszonych przywieziono trzynaście panien. Wybrały one sobie mężów spośród Jeźdźców, razem z nimi przybyły do Arvonu i zamieszkały w Szarych Wieżach. Nie wiedziałem jednak, iż



była wśród nich jakaś czarownica.

- Oni nie mieli pojęcia, że w żyłach mojej matki płynie krew czarownic z za morza. Gdy była jeszcze dzieckiem, wzięto ją do niewoli. Żołnierze z High Hallacku znaleźli ją na zdobytym nieprzyjacielskim statku i jeden z wielmożów wziął na wychowanie. Nikt nie wiedział o jej wrodzonym czarodziejskim talencie. Tylko Jeźdźcy się zorientowali i zaniepokoiли, gdyż nie chcieli mieć w swym gronie władczyni mocy. Próbowali ją zniszczyć, usunąć, a nawet zabić w zaświatach. Moi rodzice stoczyli tam jednak zwycięski bój i powrócili do swoich ciał, które tutaj zostawili. Lecz po tym, co zaszło, mój ojciec nie chciał dłużej przebywać w Szarych Wieżach. To, co zrobili ze strachu jego pobratymcy, wzbudziło w nim gniew. A potem rodzice znaleźli Reeth, a raczej im o tym miejscu powiedziano. W ten to sposób Gwiazdna Wieża stała się naszym domem. Zrobiliśmy z niej miejsce, w którym złączyły się Zielona i Brązowa Magia, twierdzą broniącą Arvonu przed mocami Ciemności. Ale teraz w Arvonie znów jest niespokojnie. Mówi się o Bramach, które mają się otworzyć, i o powrocie banitów. Nie wszyscy z nich gotowi są zaakceptować pokój tak jak Jeźdźcy Zwierzolacy. Ostatnio Jeźdźcy do mojego ojca wysłali posłów ze słowami, iż zbliża się dzień, kiedy będą musieli bronić swoich ziem. Mój ojciec jeszcze nie udzielił im ostatecznej odpowiedzi. Myślę, że więzy pokrewieństwa skłaniają go do ugody, a dawne urazy do odmowy. Zanim sam tego nie rozstrzygnie, nie powie, czy robi to, czy tamto. Lecz ja i moja matka przypuszczamy, że Gwiazdna Wieża wywarła większy wpływ niż tamte przykre wspomnienia. Wróżby pokazały, że Reeth zajmie w Arvonie ważne miejsce. Długo był zapomniany, ale teraz żyje i rośnie w nim siła życia!

Gdy tak słuchałem jej opowieści, prawie widziałem w tych absolutnych ciemnościach Gwiazdną Wieżę, czułem zapach ziół rosnących w otaczającym ją ogrodzie. Tak bardzo chciałem znów tam się znaleźć, że to pragnienie sprawiło mi ból, było jak otwarta rana.

- Tak - powiedziała po chwili milczenia. Zrozumiałem, że wyczuła moją tęsknotę. - Reeth jest jak ciepła, opiekuńcza dłoń, która się wokół ciebie zamyka. Lecz przetrwanie zapewnia jej to, co razem robimy.

A ja? Cóż ja najlepszego robię? Poczulem mdłości. Po raz nie wiem już który usiłowałem powstrzymać swój bieg, pokonać geas, nałożony przez Ursillę. Nie! Nie wezmę udziału w tej wstrętnej grze! Nie chcę, żeby uczestniczyła w niej Księżycowa Czarodziejka!

Warczałem i prychałem. Moje kończyny nie reagowały na rozkazy Kethana. Nie mogły - przecież lampart był tworem Ursilli! Drżałem cały. Księżycowa Panna znów położyła mi dłoń na głowie. Nie byłem w stanie rozproszyć jej wątpliwości, a ona tak starała się mnie uspokoić. Może nie zrozumiała, dokąd ją prowadziłem i co tam na nią czeka?

- Kethanie - odezwała się z taką powagą, jakby śpiewała jakąś czarodziejską pieśń. - Mam na imię Aylinn. Moja matka nazywa się Gillan, a mój ojciec Herrel.

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie znaczenie jej słów. Wyznając mi własne i rodziców imiona przyznała poniekąd, że łączy nas pewne pokrewieństwo. Imię bowiem jest rdzeniem człowieka, zwłaszcza wtedy, gdy w grę wchodzi sprawy Mocy. I powierzając komuś ten sekret, okazuje mu się pełne zaufanie.

- Nie powinnaś była tego robić! - zaprotestowałem w myśli.

- Ale zrobiłam! - W jej głosie zabrzmiał stłumiony śmiech. Nie straszny chichot triumfującej Ursilli, ale wesoła, przyjazna nuta. Dźwięk ten ogrzał mnie lepiej niż najgorętszy płomień. Wielu mieszkańców Car Do Prawn było moimi kuzynami, ale nikogo z nich nie mógłbym nazwać przyjacielem. A mieszkańcy Gwiazdnej Wieży stali mi się tak bliscy jak towarzysze broni, których połączyło braterstwo dusz.

- To długa droga - zauważyła Aylinn, nieco onieśmielona, jakby już nie chciała mówić o tak osobistych sprawach.

- Tak i nie wiem, jak długa - odpowiedziałem. Kiedy opowiadała mi o sobie, nie zwracałem uwagi na przytłaczający mrok, który nas otulił, jakby chciał udusić w swych ciężkich fałdach. Żałowałem, że wychodząc stąd nie policzyłem pochylni. Wiedziałbym teraz, ile ich jeszcze mamy przed sobą. Lecz wówczas kierowała mną tylko jedna myśl: dotrzeć tam, dokąd wysłała mnie Ursilla.

Wciąż w dół. Spódniczka i wisior Aylinn nadal promieniowały jasnością, ale ten blask nie rozpraszał mroku. W tym jednak miejscu nawet to słabe światło dodawało otuchy istotom zrodzonym, by żyć w blasku słońca, a nie w głębi ziemi.

Wreszcie poczułem pod łapami kamienne podłoże. Skręciłem w lewo, kierując się ku środkowi gigantycznej pieczary. Byłem przekonany, że właśnie tam znajduje się krąg kamiennych postaci. Po chwili zamigotała w oddali błada iskierka.

Niewidzialna nić, która sprowadziła mnie z powrotem pod ziemię, napięła się i szarpnęła mną. Pomyślałem, że Ursilla dowiedziała się o naszym przybyciu i ostrzegłem moją towarzyszkę.

- Ona już wie - odrzekła spokojnie Aylinn. - Już szykuje się na spotkanie. Nie

wie tylko, Kethanie, że Gillan i Herrel rozerwali zaporę siłową i idą za nami.

Skąd o tym wiedziała?

- Kethanie, już wielokroć stapialiśmy się w jedno serce i jeden umysł podczas obrzędów związanych z Mocą. Każda cząstka ma świadomość, że całość jest w pobliżu... - Znow usłyszałem cichy śmiech. Nie do końca pojąłem te słowa, ale jej pewność dodała mi otuchy. Obawiałem się Ursilli, ponieważ nie znałem jej planów. Lecz ufność mojej towarzyszkę pozwoliła mi mieć nadzieję, że może tym razem Mądra Kobieta trafiła na przeciwnika, którego nie zdoła tak łatwo pokonać.

Teraz biegliśmy. Ja sadyłem wielkimi, nierównymi susami, gdyż niewidzialna smycz podrywała mnie do dalszego biegu, Aylinn zaś tak lekko i swobodnie, jakby przemierzała leśną polanę.

Tak oto dotarliśmy do kręgu postaci z jarzącymi się głowami. Ale było tu więcej osób... Maughus! Jak się tu przedostał? I pani Eldris! Mój kuzyn i moja babka stali nieruchomo, jak wykuci z tego samego kamienia, co siedzące postacie. Maughus miał puste ręce, obnażony miecz leżał u jego stóp.

Ursilla czekała z uniesioną ku nam różdżką, w postawie rybaka z wędką, który przyciąga złapaną rybę do brzegu. Aylinn pozostała w tyle. Obejrzałem się i w blasku świecących kloszy zobaczyłem jej twarz. Była spokojna i nieruchoma; jeszcze jedna nic nie wyrażająca maska. Żył tylko oczy.

Jej opleciona kwiatami różdżka leżała w zgięciu ręki, jakby była zerwaną po drodze wiązanką kwiatów o długich łodyżkach. Jeżeli Ursilla sądzi, że Księżycowa Czarodziejka istotnie stała się częścią jej połowu, może ją spotkać niespodzianka.

- Witaj, Kethanie - przerwała milczenie Ursilla. - Dobrze się sprawiłeś. A ty... - Przeniosła spojrzenie ze mnie na Aylinn, obejrzała ją od stóp do głów. Dostrzegłem w jej oczach błysk zaskoczenia, który szybko przesłoniła powiekami. Na pewno nie spodziewała się Księżycowej Czarodziejki. - Więc to tak... - syknęła. Poruszyła różdżką jak szermierz mieczem, zanim rozpocznie starcie. Z różdżki trysnęły iskry. Zobaczyłem, że Aylinn się uśmiecha, nie triumfująco czy kpiąco, lecz szczerze, tak jak mogłoby to zrobić dziecko.

- Wezwałaś mnie, Mądra Kobieto. Przybyłam więc. Czego ode mnie chcesz?

Moja matka, która stała z drugiej strony paleniska, zachwiała się na nogach, a na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

- Kim jesteś? - dyszała ciężko niby wyczerpany biegacz i przyciskała dłonie do piersi, jakby chciała zmniejszyć ból.

- Jestem tą, którą wezwała Mądra Kobieta - odrzekła Aylinn.

Wszyscy patrzyliśmy na nią, ona zaś przybrała tak dumną postawę, jaką miała moja matka, gdy włożyła swoje najpiękniejsze odświętne szaty.

- Nie! - Pani Heroise cofała się krok za krokiem, w miarę jak Aylinn zbliżała się do niej. Jej zdziwienie zamieniło się w strach. Z wyraźnym wysiłkiem przeniosła wzrok z Aylinn na Ursillę. - Sprowadziłaś niewłaściwą... - powiedziała piskliwie.

- Nie! - przerwała jej Ursilla. Opuściła różdżkę, ale nadal trzymała ją zwróconą ku Aylinn, która zdawała się tego nie zauważać. - Ten czar nigdy nie zawodzi, gdy wspiera go moc starożytnych. A to znaczy...

Moja matka pochyliła się do przodu, jakby nie mogła utrzymać się na nogach bez oparcia. Jej wyciągnięta ręka opadła na ramię Ursilli.

- To niemożliwe! - prawie wrzasnęła. - Czy myślisz, że nie rozpoznam krwi naszego klanu? Ale my mamy tylko niewielkie magiczne zdolności. Ona jest władczynią mocy!

Słuchałem zupełnie oszołomiony. Chodziło tu o coś, o czym wiedziały tylko moja matka i Mądra Kobieta, coś, co sprawiło, że pani Heroise zapomniała o wszystkim innym.

- Nie zapytałaś o ojca. - Ursilla wykrzywiła wąskie usta w uśmiechu podobnym do grymasu trupiej czaszki. - Czy znałaś jego krewnych?

Moja matka puściła ramię Ursilli i cofnęła się. Uderzyła pięścią o pięść.

- Nie! Kogo w takim razie wezwałaś do mojego łóża? Kogo urodziłam?

Ursilla zachichotała takim samym strasznym śmiechem jak wtedy, gdy powiedziała, że Maughus pożałuje tego, co zrobił.

- Wygląda na to, że kogoś lepszego niż myślałaś, pani. A co do pochodzenia twego partnera... Przecież to cię nie obchodziło. Liczyło się tylko dziecko. - Wolną ręką nakreśliła w powietrzu jakiś znak, który zapłonął pomarańczowym ogniem.

Nic z tego nie rozumiejąc, patrzyłem to na jedną, to na drugą. Maughus pierwszy odgadł tajemnicę, którą tak długo ukrywały. Jego ciało zakołysało się lekko; chciał się poruszyć, ale nie przełamał czaru. Dziki tryumf rozjaśnił mu twarz.

- Więc... więc to zrobiłaś! - warknął do stojących przed nim kobiet. - Teraz wszystko rozumiem. Udałaś się do świątyni Gunnory, żeby urodzić dziedzica, pani. Ale wszystkie twoje amulety zawiodły i wydałaś na świat córkę, a nie syna! W takim razie, skąd wytrzasnęłaś tego mieszańca z Ciemności rodem? - W jego spojrzeniu dojrzałem własną śmierć.

Tejże chwili odsłoniła się cała moja przeszłość. Maughus sprawił, że zrozumiałem wiele spraw. Tak, zrozumiałem, co się stało. Kiedy narodziny córki zamiast syna zniweczyły ambitne plany pani Heroise i Ursilli, uciekły się do zamiany dzieci. Jeżeli Ursilla rzuciła czar, który miał sprowadzić tutaj nieobecną córkę pani Heroise, to musiała być nią Aylinn. Ale kim byłem ja?

- Milcz! - Ursilla odwróciła się i skierowała różdżkę na Maughusa. Jego szczęki się zacisnęły, twarz zaczerwieniła z gniewu, lecz nie mógł wymówić ani słowa.

- Nic nie straciłyśmy - powiedziała stanowczo Mądra Kobieta. - Jak ci się zdaje, dlaczego ją wezwałam? - Wskazała gestem Aylinn. - Dopóki żyje, jest dla nas niebezpieczna. Tym bardziej, przyznaję to teraz, ponieważ jest tym, kim jest. Dlatego pozbedziemy się jej. A tymczasem - roześmiała się tym samym ohydny śmiechem - przykujemy do nas naszego pełnego szacunku syna w taki sposób, że nigdy nie zerwie swych kajdan. Uwolnimy się też od tego głupca o długim języku. - Wskazała głową Maughusa.

Pani Heroise cofnęła się jeszcze dalej. Patrzyła na Ursillę jak w transie. Lecz jej matka krzyknęła głośno, budząc dziwne, mrozące krew w żyłach echa w wielkiej pieczarze.

Ursilla sięgnęła do wewnętrznej kieszeni spódnicy. Wyjęła zwinięty pas, za pomocą którego zmuszała mnie do posłuszeństwa. Rozwinęła go jednym ruchem i wtedy zobaczyłem, że jest zeszyty w miejscu, gdzie rozdarły go szpony sokoła.

W tej chwili zdecydowałem się działać. Nie mogłem dopuścić, by skupiła na mnie całą siłę woli. Człowiek... Człowiek! Skoncentrowałem się na tym jednym pragnieniu, wspierając go zarówno energią lamparta, jak i człowieka.

Stałem się Kethanem. Lampart znikł.

Pani Eldris znów wrzasnęła. Tym razem zawtórowała jej pani Heroise. Z tyłu za Ursillą zobaczyłem Aylinn. Skinęła głową i skierowała ukwieconą różdżkę w moją stronę. Napłynęła stamtąd dodatkowa energia.

Odniosłem wrażenie, że moja przemiana nie zaskoczyła Mądrej Kobiety. Może nawet spodziewała się tego po mnie. Podniosłem miecz leżący dotąd u stóp Maughusa. On sam na próżno walczył z siłą, która go więziła.

Ursilla uniosła różdżkę. Przyszło mi na myśl, że mógłbym wytrącić ją z ręki starej wiedźmy stalowym ostrzem. Żelazo chroni przed pewnymi rodzajami czarów. Ale czy Ursilla pozwoliłaby mi się weń uzbroić, gdyby bała się żelaza? Uznałem, że

nie.

Ursilla jednak nie skierowała na mnie różdżki, lecz na palenisko. Dopiero teraz dostrzegłem, że znów były tam zioła gotowe do podpalenia. Z różdżki strzeliła iskra, pojawił się dym i język ognia.

Ursilla wybuchnęła śmiechem.

- To właściwe narzędzie, Kethanie, żeby wykonać to, co trzeba. To nie jest siedziba Ciemności takiej, jaką dzisiaj znamy. Lecz są tu moce, które przybędą napić się świeżo przelanej krwi. Kiedy się pożywią, pozwolą sobie rozkazywać - przez jakiś czas. A więc... będą miały swoją ucztę.

Wycelowwała różdżkę w moje serce.

- Zabij! - rozkazała mi tak spokojnie, jakby kazała służącemu zamknąć drzwi.

Chociaż wyteżyłem całą siłę woli, moje ramię podniosło się. Kilka chwil wcześniej podobnie walczyłem, by stać się człowiekiem. Rozkazałem teraz palcom, żeby rozluźniły uścisk na rękojeści miecza; żądałem, by upadł na nagromadzony od stuleci kurz.

Toczyłem równie zażarty bój jak przedtem Maughus, a mimo to zrobiłem krok do przodu, potem drugi. Mój miecz mierzył teraz w białe ciało Aylinn.

Nie! Zatrzymałem się i zachwiałem na nogach. Raczej pozostanę zwierzęciem do końca moich dni! Nie zrobię tego! Niech Ursilla porazi mnie całą mocą swoich czarów, wszystkimi niebezpiecznymi siłami, które kryją się w tym miejscu. Niech zabije moje ciało... niech zabije w nim duszę! Ale tego nie zrobię!

Cofnąłem się, potem postąpiłem krok do przodu, a czubek miecza zakołysał się w dół i w górę. Wola Ursilli walczyła z moją wolą o kontrolę nad ciałem Kethana.

- Uciekaj! - zawołałem i echo powtórzyło: Uciekaj... uciekaj... uciekaj...

Aylinn nie ruszyła się z miejsca. Spojrzała mi w oczy. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie ucieka. Czy Ursilla w jakiś sposób omotała ją czarem zastoju, który sparaliżował Maughusa i jego babkę?

- Zabij! - rozkazała ostrzejszym już głosem Ursilla. Wyczułem w nim gniew. Zebrałem resztki woli i... oparłem się jej rozkazowi.

A potem...

Ból, jakiego nigdy dotąd nie zaznałem, targnął moim ciałem! Krzyknąłem głośno.

Ursilla trzymała lamparci pas nad ogniem, wsuwając go powoli w płomień, kawałek po kawałku. Lizący sierść i skórę ogień zaczął trawić także moje ciało.

- Zabij! - wrzasnęła. - Zabij albo zginiesz w męce! Jeszcze może mnie zwyciężyć. Cóż za straszliwy ból przeszywa moje ciało i umysł! Ale dopóki zdołam go wytrzymać - nie ulegnę.

## **O pojedynku na czary i o tym, jak poznaliśmy nasze przeznaczenie**

Poprzez krwawą mgłę bólu zobaczyłem, że Aylinn zwróciła w moją stronę ukwieconą różdżkę. Ból zelżał na moment. Lecz tylko na moment. Znow zaczęły mnie palić niewidoczne płomienie. Te widzialne chciwie lizały pas, który trzymała nad nimi Mądra Kobieta.

Pomimo strasznych męczarni dostrzegłem jednak, że pas zaczął wić się w ręce Ursilli jak żywy. Wreszcie jednym gwałtownym szarpnięciem uwolnił się i uniósł w powietrze.

Męczarnie ustały. Oddychając ciężko zobaczyłem, że lamparci pas trzyma kobieta, którą Aylinn nazywała Gillan i Zieloną Czarownicą. Obok niej przeżył się do skoku śnieżny kot. W jego oczach odbijały się zaczarowane płomienie. Ursilla zachwiała się na nogach. Wyrwano jej pas z taką siłą, że straciła równowagę, a przez to omal nie utraciła kontroli nad siłami, które przywołała.

Najpierw z niedowierzaniem spojrzała na swoją pustą rękę, a potem powoli podniosła głowę i popatrzyła na Gillan i Herrela stojących w kręgu kamiennych postaci. Nie ukrywały ich ciemności. Może oświetlający ich blask brał się z Mocy, a może z jarzących się głów posągów.

Nie wiem.

Twarz Ursilli zmieniła się. W ciągu tych kilku chwil postarzała się i upodobniła do trupiej czaszki.

- Kim jesteście...? - Jej głos brzmiał jak krakanie.

- Tymi, których wezwałaś - odparła Zielona Czarownica. - Czy sądziłaś, Mądra Kobieto, że możesz wezwać naszą córkę, a my pozwolimy jej iść samej?

- Córkę! - Ursilla przyszła do siebie po przeżytym szoku. Odrzuciła do tyłu głowę i ohydnie zachichotała. - Czy uważasz ją za córkę? - Wskazała na Aylinn. - Mylisz się, kobieto! Ona nie jest krwią z twojej krwi. Ty i twój małżonek Zwierzołak nie macie z nią nic wspólnego! Jeśli chcesz zobaczyć dziecko, które naprawdę urodziłaś, to spójrz na tego durnia! - Wskazała palcem na mnie.

- Tak, słyszeliśmy... - Gillan nie była zdziwiona. - Rozmawialiście szczerze, a my mamy uszy. Synu - przeniosła na mnie wzrok - zabierz to, co do ciebie należy!

Rzuciła mi osmalony pas. Złapałem go z taką łatwością, jak przedtem moja prawdziwa matka, i owinąłem się nim. Gładząc go teraz palcami, nie wyczułem



najmniejszych śladów ognia.

Ursilla warknęła jak rozwścieczona bestia. Groźnie podniosła do góry różdżkę. Lecz ja już zdążyłem zapiąć cyrkonową klamrę. W prawej ręce trzymałem miecz. Spojrzałem na Aylinn. Jakie wrażenie wywarło na niej wydobywanie światła dziennej prawdy? Przecież tworzyła jedność z Gillan i Herrelem...

Ku memu zdziwieniu między nimi nic się nie zmieniło! Uświadomiłem to sobie, gdy wyczułem łączącą ich moc. Może nie była ich córką w swej cielesności, lecz pozostała dzieckiem ich serc i umysłów. Aylinn nie okazywała zaskoczenia. Zachowała spokój, jak człowiek, który dobrze wie, kim jest i gdzie jest jego miejsce.

- Czy sądziłaś, Mądra Kobieto, że można odwiedzić świątynię Naeve i nie wynieść stamtąd wiedzy, co chciano kiedyś ukryć? To tam wszystko wyszło na jaw. Aylinn jest naszą córką z woli tych, którzy są znacznie od nas potężniejsi... - mówiła Gillan.

Kiedy spojrzałem na Zieloną Czarownicę, która była moją matką, na mojego ojca Zwierzolaka i na Aylinn, ich przybrane dziecko, wtedy zrozumiałem, dlaczego wybrano właśnie ją. Poczułem pustkę w sercu. Samotność, którą znałem przez całe życie, dopiero teraz ujawniła swą prawdziwą istotę.

Nie byłem dziedzicem Car Do Prawn. Maughus otrzyma to, czego zawsze pragnął. A ponieważ prawda wyszła na jaw, przestanę być narzędziem Ursilli. Byłem bardzo samotny i nie miałem nikogo bliskiego.

Popełniłem błąd zagłębiając się w sobie. Ursilla bowiem niespodzianie zaatakowała. Podniosła błyskawicznie różdżkę i skierowała ją na Aylinn. Z różdżki strzeliły płomienie, otoczyły Księżycową Czarodziejkę i ukryły przed moim wzrokiem. Spoza zasłony ognia dobiegł mnie krzyk.

Skoczyłem bez namysłu w płomienie. Owinęły się wokół mnie i przez chwilę czułem przeraźliwy ból. Znalazłem się przy Aylinn i objąłem ją.

Oboje staliśmy w kręgu płomieni, które przybrały śmiercionośną barwę - purpurę Ciemności. Nie mogliśmy się już cofać. Plecami oparliśmy się o sztywne kolana siedzącego posągu, a ruchliwa purpurowa ściana podpełzała coraz bliżej.

Księżycowa Czarodziejka tuliła do piersi ukwieconą różdżkę. Stała niema, ale jej ciało pulsowało rytmem jakiejś pieśni. Teraz ja spróbowałem się odwdziżyć i dodać jej własnych sił, by mogła osiągnąć swój cel.

Upuściłem niepotrzebny miecz, objąłem Aylinn w pasie i podrzuciłem na kolana kamiennej postaci poza zasięg ognia. Gillan i Herrel może zdołają odeprzeć

atak Mądrej Kobiety, nim ogień dotrze i tam.

Poprzez szalejące płomienie widziałem całą trójkę. Ursilla pracowała gorączkowo. Nakreśliła różdżką krąg, zamykając w nim siebie i kamienne palenisko. Wyjęła coś zza pazuchy i wrzuciła do ognia. Buchnął dym, który całkowicie mi ją rzasłonił. Słyszałem jej śpiew - syczące, niewyraźne słowa, które miały obudzić nieznaną magię tego miejsca. Zaśpiew ucichł i wtedy rozległ się przenikliwy dźwięk kościanego gwizdka - gorączkowy zew.

- Kethanie, chodź tu! - To był głos Aylinn. Siedziała skulona w swoim dziwnym schronieniu i wyciągała ku mnie ręce. Ale dla mnie nie starczyłoby tam miejsca. Duszące wyziewy purpurowych płomieni zaparły mi dech w piersi. Zakrztusiłem się i ogarnęły mnie mdłości. Zdawało mi się, że całe zło świata skupiło się we wstrętnych oparach.

- Do góry! - Aylinn schwyciła mnie za ramię. Jej paznokcie pozostawiły czerwone pręgi na mojej skórze. Poczułem siłę jej woli - przyciągała mnie w taki sam sposób jak geas Ursilli.

Nie wiem jak, ale zdołałem się wspiąć i oboje skuliliśmy się na kolanach posągu. Okazało się, że to nie była postać trzymająca figurkę człowieka, i zrobiło mi się lżej na sercu. Szponiasta dłoń posągu ścisnęła na wpół otwarty kwiat. Aylinn przesunęła delikatnie palcami po kamiennych płatkach, tak samo dotykała swoich księżycowych kwiatów.

Już nie śpiewała przywołując Moc. Milczała i zdawało się, że na coś czeka...

Ochronny krąg Ursilli dotknął podstawy posągu z człowiekiem w ręce. Gęste kłęby dymu zawirowały wokół siedzącej postaci i samej Ursilli. Oczekiwałem, że to samo się stanie z pozostałymi posągami, ale dym nie sięgnął dalej. Ponad szarą zasłoną mgliście widzieliśmy rozjarzony klosz głowy. Kolory wewnątrz poruszały się coraz szybciej i ciemniały.

Wzniesione przez Mądrą Kobietę płomienie dopełzły już do stóp statui, na której się schroniliśmy. Wydawało mi się, że ten ogień płonął gniewem - jeśli można tak powiedzieć o ogniu - usiłował się wznieść jak najwyżej, starał się do nas dotrzeć. Lecz nawet najwyższe płomienie sięgały poniżej nas.

Przez chwilę (nie wiem, jak długo to trwało) wydawało się, że jesteśmy bezpieczni. Spojrzałem poza płomienny krąg. Ursillę wciąż skrywała szara dymna zasłona. Trójka mieszkańców Car Do Prawn tuliła się do siebie, patrząc szeroko otwartymi ze strachu oczami. Czar, który Mądra Kobieta rzuciła na Maughusa, powoli

tracił siłę. Pani Eldris przywarła do niego. Maughus zdołał uwolnić ramię i podniósł je ponad nią obronnym gestem. Tuż przy ich nogach przykucnęła z tyłu pani Heroise. Cała jej arogancja zniknęła. Przestała już nawet płakać. Błada i wystraszona, nie odrywała wzroku od chmury dymu spowijającej Mądrą Kobietę. To na niej skupiła się cała uwaga. Żadne nie zainteresowało się nami ani nie spojrzało na nas ponad purpurową obręczą ognia.

I mieli ku temu rzeczywiście ważne powody. Nawet najniewrażliwsza istota, pozbawiona krzty magicznych zdolności, wyczułaby obecność sił gromadzących się w tej dawno zapomnianej świątyni (jeżeli była to świątynia). Ursilla bowiem otwierała jakąś Bramę...

Aylinn zwróciła ku mnie twarz, gdy tylko ta myśl przyszła mi do głowy. Wyczytałem zdumienie w jej oczach. My, którzy urodziliśmy się po wielkiej walce między Mocami szalejącymi w Arvonie, tylko z legend znaleźliśmy tamte odległe czasy. Mielśmy Kroniki, które często wspominały o Bramach i o tym, co można przez nie przywołać. Znacznie trudniejsze było wypędzenie takich niesamowitych przybyszów przez te przejścia w powłoce naszego świata.

Ale w żadnej z tych opowieści nie mówiono otwarcie o naturze samych Bram, o kluczach, które je otwierały, ani o tym, gdzie mogą się znajdować. Była to zakazana część wiedzy i stronili od niej wszyscy władcy mocy. A może teraz wtrącili się słudzy Ciemności? Zawsze tylko z wielką trudnością utrzymywano w ryzach jej Wielkich Adeptów.

Pomyślałem, że to oczywiste, że w takim miejscu znajduje się jedna z Bram. A skoro Ursilla otworzyła ją w swym szaleństwie... Wolałem o tym nie myśleć.

Gdzie byli pozostali mieszkańcy Gwiazdnej Wieży? Najpierw oszołomiony niebezpieczeństwem, zagrażającym Aylinn, potem czarami Mądrej Kobiety prawie o nich zapomniałem. Teraz zmieniłem pozycję w naszym ciasnym schronieniu, usiłując coś dojrzeć. Zastłaniała ich jednak bryła posągu, za którym się ulokowaliśmy. Aylinn zacisnęła rękę na mojej dłoni.

Jej ukwiecona różdżka drgnęła i zwróciła się w stronę kwiatu w ręce posągu. Księżycowa Panna ostrożnie ją przechyliła i czubkiem dotknęła samego serca kamiennego symbolu.

- Daj! - powiedziała tak cicho, że tylko ja usłyszałem jej słowa. - Daj mi wszystko, co możesz dać, kuzynie!

Całą swoją uwagę skupiła na kwiecie i czubku różdżki. Po chwili pojąłem, że

stała się kanałem dla siły, częściowo przywołanej, częściowo zaś zaczerpniętej ode mnie. I mimo że brakowało mi doświadczenia i praktyki, starałem się przekazać jej całą swoją siłę.

Byłem tym tak pochłonięty, że mój świat zawęził się do punktu, w którym różdżka stykała się z rzeźbą. Czułem, jak wypływa ze mnie energia, jak Aylinn ją przechwytuje, oczyszcza, wzmacnia, przeplata z tym, co sama mogła dać. Dopiero wtedy uszlachetniona moc spływała w dół tej różdżki.

Oplatające pręt księżycowe kwiaty zaświeciły czystym, białym blaskiem ponad ponurą purpurą płomieni, które wciąż usiłowały nas dosięgnąć. Różdżka zamieniła się w snop księżycowej poświaty tak jasnej, że poraziła moje oczy.

Aylinn nadal czerpała ode mnie energię, ja zaś dawałem ją dobrowolnie, nie myśląc nawet o przyszłych tego kosztach.

Teraz w punkcie, którego dotykała różdżka, pojawił się bładny ogień. Zaczął rosnąć, rozjarzył się i rozszerzył, a kamienne płatki upodobniły się do płatków księżycowych kwiatów. Miałem wrażenie, że to siła naszego pragnienia zamieniła martwą rzeźbę w żywą roślinę.

Mimo głębokiej koncentracji niejasno wyczułem jeszcze coś. W postaci, na kolanach której się schroniliśmy, zachodziła jakaś zmiana. Okryte płaszczem ciało zaczęło pulsować! Nie było to drzenie oddechu czy bicie serca, ale... podobne!

Nie odważyłem się o tym myśleć. Najważniejsze teraz było to, co robi Aylinn. Wysiłkiem woli przegnałem wszelkie domysły na temat dziwnej przemiany.

Kamienny kwiat rozjarzył się srebrnym blaskiem. Z płatków strzelały wąskie świetlne spirale, aż w końcu wokół rzeźby uformował się w powietrzu znacznie od niej większy i wspanialszy kwiat. Kamienne płatki rozwarły się szeroko, jak pąki w południe ciepłego dnia, a ich promienne repliki, początkowo stulone wokół serca kwiatu, też się rozchyliły. Ze środka rozjarzonej rzeźby wynurzyła się strużka srebrnego blasku, za nią druga i trzecia... Wiele razy widziałem, jak polne kwiaty po przekwitnięciu rozrzucały nasiona z kitkami ułatwiającymi im podróż na skrzydłach wiatru. Z ożywionego kamiennego kwiatu wylatywało coraz więcej świetlistych skrawczków. Niektóre zniknęły w ścianie dymu, inne opadły w purpurowe płomienie u naszych stóp.

Aylinn podniosła różdżkę. Później spojrzała w górę, zdając się szukać wzrokiem gładkiej twarzy posągu. Wypływ energii ustał. Zanadto mnie osłabił, żebym mógł się poruszyć. Nie wiem, za jaką przyczyną, ale też zdołałem stanąć i odwrócić

się twarzą do posągu.

W świecącym owalu trwało nieprzerwane falowanie i przemiany uwieczonych w nim kolorów. Lecz - tam było jeszcze coś. A może tylko to sobie wyobraziłem? Oczy! Oczy patrzące na mnie jakby z wielkiej odległości, oczy senne, obojętne wobec mnie... Wówczas nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Jeżeli nawet popatrzyły na nas takie oczy, to szybko zniknęły. Różdżka w dłoni Aylinn pociemniała i zgasła, a oplatające ją księżycowe kwiaty zaczęły usychać i opadać jeden po drugim. Kamienny kwiat i otaczająca go poświata zniknęły w mroku. Ale tam, gdzie upadły świetlne nasiona, zaszły pewne zmiany.

Po nasionach, które wpadły do purpurowych płomieni, nie pozostał żaden ślad. Jedynym skutkiem ich działania było to, że w tych miejscach ogień zgasł, pozostawiając przejścia, których nie zdołały zamknąć ocalałe języki ognia. Inne nasiona przebiły w ścianie dymu duże otwory. Przez nie mogliśmy widzieć, co się stało, kiedy Ursilla wezwała wszystko, co tylko mogła, aby służyło jej tu i teraz. Widziałem, jak Gillan i Herrel podchodzą do jednej z tych wyrw. Śnieżny kot przypadł do ziemi, prężąc się do skoku. Wspomnienie lamparta sprawiło, że moje własne mięśnie też się napięły na widok drgającego czarnego koniuszka srebrzystobiałego ogona.

Zwierzołak skoczył zręcznie w chmurę dymu. Za nim Gillan wepchnęła różdżkę i skierowała ją w stronę Ursilli. Mądra Kobieta stała z odrzuconą do tyłu głową i zamkniętymi oczami. Z jej ust płynął potok syczących, bełkotliwych słów. Na widok Herrela jej głowa pochyliła się do przodu. Zamilkła. W tejże chwili śnieżny kot zadał wielką łapą potężny cios. Uderzył w kamienne palenisko przewracając je. Z zagłębienia wysypała się płonąca zawartość, którą Ursilla przygotowywała z takim staraniem. Rozrzucony żar gasł szybko i zamieniał się w popiół. Nie buchnął już nowy kłęb dymu, a wisząca w powietrzu chmura zaczęła się rozpraszać.

Nagle... Okrzyk wydarł mi się z piersi, a zawtórowały mu inne ochryple krzyki. Siedząca kamienna postać w pobliżu Ursilli - poruszyła się!

Figurka człowieka wypadła ze szponiastej ręki, odrzucona na bok jak coś, co utraciło wszelką wartość. Później szpony zawisły nad śnieżnym kotem i zaczęły się zamykać. Rozległ się wyzywający ryk Zwierzołaka. Z ust Ursilli wykrzywionych w grymasie wydobywały się nieludzkie dźwięki. Mądra Kobieta zamachnęła się na śnieżnego kota, który cofnął się przed jej różdżką. Zagnała go pod powoli opuszczającą się kamienną rękę.

Byłem przerażony. Skulona obok mnie Aylinn coś krzyczała. Nie mogłem zrozumieć, o co jej chodzi. Nagle wiedziałem, co trzeba zrobić.

Listek na czubku różdżki Gillan zadrżał. Później obdarta z kory gałązka zakołysała się tam i z powrotem. Twarz Zielonej Czarownicy ściągnął strach. Bała się o Herrela.

A potem... Nie wiem, jak zszedłem z kolan posągu, ale znalazłem się na kamiennej posadzce. Podniosłem upuszczony miecz. Ściskając go w dłoni, ruszyłem do przodu chwiejnym krokiem, wysiłkiem woli zmuszając do posłuszeństwa osłabione ciało.

Śnieżny kot zdołał się wymknąć kamiennym szponom i bez trudu przeskoczył przez otwór w szarej zasłonie, który zamknął się tuż za nim. Nie miałem czasu na poszukiwania innego wejścia, zresztą zabrakłoby mi siły na przeskoczenie go. Dysponowałem tylko mieczem - a już rzekłem, że dla pewnych rodzajów czarów żelazo jest śmiertelnie niebezpieczne.

Nie wiem, skąd wziętem siłę, ale uniosłem brzeszczot na wysokość ramienia i cisnąłem nim jak włócznią. Przeleciał przez otwór w zasłonie dymnej. Jednak żelazny pocisk nie przeszył Ursilli. Źle wycelowałem i za słabo rzuciłem. Czubek miecza tylko uderzył lekko w jej różdżkę.

Oślepił mnie nagły błysk. Zasłoniłem oczy ręką. Nie udało mi się. Poczuję ogromne rozczarowanie, wręcz zalała mnie rozpacz.

- Kethanie!

Aylinn oparła mi na ramionach ręce. Poznałem jej dotknięcie, ale wciąż nic nie widziałem. Zamrugałem oczami. Przed sobą miałem tylko mieniącą się kolorami mgiełkę. W tej tęczowej mgiełce kroczyło na czterech łapach jakieś zwierzę. Śnieżny kot!

Gillan dołączyła do nas w tej samej chwili, kiedy Herrel zbliżył się do nas. Przetarłem oczy, by usunąć mgłę przesłaniającą mi wzrok.

Nie wiadomo skąd powiał wiatr i rozproszył resztę dymu. Mądra Kobieta przycupnęła u stóp posągu, który odpowiedział na jej wezwanie. Przed nią leżał miecz o poczerńiałym, na poły stopionym ostrzu. Nigdzie nie widziałem różdżki. Ośrodkiem huraganowego wiru stała się Ursilla. Przypadła do ziemi, pragnąc uchronić się przed jego smagnięciami... Zniknęła! Na kamiennej posadzce pozostał tylko czepiec i splecione szaty. Mądra Kobieta zniknęła. Nad miejscem, w którym przedtem się kuliła, zawisła szponiasta ręka, sięgająca po nową zabawkę.

- Uciekła... - Głos Gillan dotarł do mnie poprzez wycie niesamowitej wichury.  
- ...kiedy jej moc została zniszczona. Koniec z nią!

- Niech się tak stanie! - Rozległ się czyjś głos. Znałem go!

Maughus zostawił przerażone kobiety i podszedł do nas.

Patrzył błędnym wzrokiem.

- Jeżeli zamierzasz wziąć Car Do Prawn... - zaczął, jak gdyby wszystko, co tu się wydarzyło, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Zwracał się do Aylinn.

Księżycowa Czarodziejka roześmiała się.

- A po co mi twój Zamek? - Podeszła bliżej do Gillan. - Nie potrzebuję żadnego spadku. Mam swoje własne miejsce.

- A ty - Maughus odwrócił się do mnie. - Ty nie masz do niego żadnych praw...

- I wcale go nie chcę - odpowiedziałem. Czułem straszliwe zmęczenie. - Car Do Prawn jest twój, Maughusie. Teraz, nikt nie będzie kwestionował twoich praw.

Przyjrzał mi się z powątpiewaniem. Pewnie nie mógł uwierzyć, że nie będę walczył o Zamek. Na moim miejscu z pewnością by to zrobił. Ale dla mnie Car Do Prawn wydawał się równie daleki jak gwiazda i zupełnie go nie pragnąłem.

- Tak, paniczu Maughusie, Car Do Prawn jest twój... Wszyscy odwróciliśmy się jednocześnie. Za kręgiem posągów ktoś stał. Potem szybkim krokiem wszedł w wyspę gasnącego blasku. Mijając miejsce, w którym jeszcze tańczyło kilka purpurowych języków ognia, machnął ręką. Płomienie zniknęły.

- Ibycus... - Byłem skrajnie wyczerpany i nie chciało mi się nawet zastanawiać, co w tej godzinie sprowadziło tu kupca.

Uklonił się i rzekł:

- Właśnie, Kethanie. Widzę, że bardzo dobrze wykorzystałaś otrzymany dar...

Dotknąłem pasa. Jakaś częśćka mojej istoty pragnęła zedrzeć go... i wyrzucić. Jednak jakaś inna nie godziła się na to. W razie potrzeby znów będę mógł stać się zwierzęciem, ale odtąd Kethan zawsze będzie kontrolował lamparta.

Skinął głową. Zrozumiałem, że czytał moje myśli tak łatwo, jakby były runicznym zapisem.

- To prawda - dodał. Po czym odwrócił głowę i spojrział na Gillan i stojącego za nią Herrela, który ponownie przybrał ludzką postać. Oboje nagle wykonali jednocześnie pełen szacunku gest. Kiedyś widziałem, jak Pan Na Zamku witał w ten sposób wysłannika Głosów Mocy.

- Uważasz pewnie, że splełataliśmy wam kilka złośliwych figli, pani? - Ibycus zapytał Gillan.

- Myślę, że raczej chodziło o to, by uczestnicy waszej gry nie zrozumieli jej znaczenia - odparła z wahaniem.

- Masz całkowitą rację. Ursilla chciała dostarczyć dziedzica pani Heroise, która stała się jej narzędziem. O tych wysiłkach dowiedział się jeden z tych, których zadaniem jest utrzymanie równowagi sił w Arvonie. Wykorzystaliśmy więc ambicję Ursilli, żeby zahartować przyszłych bojowników słusznej sprawy. Przy tobie, pani Gillan, Aylinn stała się taka, jaką być powinna. W Car Do Prawn - gdyby Ursilla nie prowadziła własnej gry - ta panna nigdy nie poznałaby dogłębnie swych magicznych zdolności. A tymczasem Kethan - uśmiechnął się de mnie - został poddany próbie, tak jak świeżo wykuty miecz, i udowodnił, że jest dostatecznie silny. A co do ostatniej przygody - we czworo utkaliście coś, co przetrwa niejedną burzę...

Ibycus zamilkł na chwilę i wtedy przemówił Herrel.

- Twoje słowa roją się od zamaskowanych aluzji, Wysłanniku. Czy jeszcze raz będziemy musieli stanąć do walki?

- Tyle wyczytaliśmy w przyszłości, ale nasza wiedza w tym zakresie jest ograniczona. Twój kuzyni Zwierzolacy wraz ze swymi małżonkami z Krainy Dolin stworzyli nową rasę. Tych dwoje - wskazał na Aylinn, później zaś na mnie - również się do niej zalicza. Powiedziano nam, że ma to wielkie znaczenie i że z czasem dowiemy się, jakie. A teraz... - Oparł ręce na biodrach i przyjrzał się nam po kolei. - To nie jest miejsce dla mieszkańców Arvonu. Jest stare, naprawdę bardzo stare i lepiej, żeby o nim zapomniano. Opuśćcie je...

Wskazał szybko palcem na Maughusa, na panią Eldris i na Heroise. Nie dowierzałem własnym oczom: zniknęli!

Potem objął nas wszystkich szerokim zamachem ramienia. Spadł na mnie chłód i mrok, a po chwili...

Staliśmy w porannym słońcu. Troje mieszkańców Reeth spoglądało na mnie ciepło, a ich spojrzenia grzały goręcej niż słońce.

- Witaj w domu, Kethanie - powiedział mój ojciec, kiedy Aylinn prowadziła mnie do ogrodu ziołowego, na dróżkę wiodącą prosto do drzwi Gwiazdnej Wieży.